

Henry Kuttner
SZACHOWISKO

Przełożył Jacek Manicki

Gałka u drzwi otworzyła niebieskie oko i spojrzała na niego. Cameron znieruchomiał. Nie dotknął gałki. Cofnął rękę i gapił się osłupiały.

Potem, kiedy nic więcej się nie wydarzyło, odstąpił w bok. Czarna źrenica oka przesunęła się za nim. Obserwowała go.

Odwrócił się ostentacyjnie plecami do drzwi i przeszedł powoli do zaworu okiennego. Gdy się doń zbliżał, okrągła szyba rozjaśniła się do przezroczystości. Po chwili stał już przed nią, sprawdzając sobie dwoma palcami tętno i jednocześnie licząc automatycznie oddechy.

W oknie roztaczał się zielony, pagórkowaty krajobraz upstrzony ciemniejszymi plamami cieni rzucanych przez płynące w górze obłoki. W złocistych promieniach słońca jaśniały wiosenne kwiaty na zboczach wzgórz. Po błękitnym niebie sunął bezgłośnie helikopter.

Tęgi, siwowłosy mężczyzna skończył sprawdzać sobie puls i czekał, odwołując moment, w którym będzie musiał się odwrócić. Patrzył w zadumie na sielski krajobraz. Po chwili z cichym pomrukiem zniecierpliwienia dotknął przycisku. Szyba odsunęła się w bok znikając w ścianie.

Za oknem zalegał czerwony mrok dudniący łomotem.

W ciemnościach spowijających podziemne miasto majaczyły zarysy ogromnych, kanciastych kolosów z kamienia i metalu. Gdzieś w głębi rytmiczne posapywanie zlewało się w odległy ryk; stukot tytanicznych pomp zakłócały mecha-

niczne rżenia. Od czasu do czasu mrok rozświetlały błyskawice wyładowań elektrostatycznych, ale trwały zbyt krótko, by odsłonić więcej Dolnego Chicago.

Cameron wychylił się zadzierając głowę. Tam wysoko widział tylko gęstniejący mrok rozpraszany sporadycznie przez naszyjniki białych błyskawic przemykających po kamiennym nieboskłonie. W dole była tylko nieprzenikniona czern.

Była to wciąż rzeczywistość. Masywne, realistyczne maszyny pracujące w schronie dawały solidny fundament logiki; logiki, na której opierał się dzisiejszy świat. Cameron, podniesiony trochę na duchu, cofnął się i zasunął szybę. Za oknem znowu roztaczał się krajobraz zielonych wzgórz na tle błękitnego nieba.

Cameron odwrócił się. Gałka u drzwi była gałką i tylko tyle. Prostym w kształcie, solidnym kawałkiem metalu.

Obszedł biurko i ruszył szybko w stronę drzwi. Wyciągnął rękę i stanowczo zamknął dłoń na gałce.

Palce nie napotkały oporu. To nie był metal; to była na wpół ścięta galareta.

Robert Cameron, Cywilny Dyrektor Departamentu Psychometrii, wrócił za swoje biurko i usiadł. Wyciągnął z szuflady butelkę i nalał sobie jednego. Oczy miał rozbiegane. Omiatały blat biurka niezdolne do zatrzymania się, choć na chwilę na czymkolwiek. Nacisnął klawisz.

Do gabinetu wszedł zaufany sekretarz Camerona, Ben DuBrose, niski, krępy mężczyzna około trzydziestki, o bystrych, błękitnych oczach i zmierzwionych włosach koloru toffi. Nie wyglądało na to, by miał jakiegokolwiek trudności z gałką u drzwi. Cameron umknął wzrokiem przed spojrzeniem tych jasnoniebieskich źrenic.

- Zauważyłem właśnie, że mój monitor jest wyłączony - burknął niechętnie. - Czy pan to zrobił?

DuBrose uśmiechnął się. - Ależ szefie, co za różnica? Wszystkie rozmowy z zewnątrz i tak przechodzą przez moją centralkę.

- Nie wszystkie - warknął Cameron. - Te z Kwatery Głównej nie. Robi się pan za chytry. Gdzie jest Seth?

- Nie mam pojęcia - odparł DuBrose marszcząc lekko czoło. - Sam chciałbym to wiedzieć. On...

- Zamknij się pan. - Cameron przełączył monitor na odbiór. Rozległ się histeryczny sygnał brzęczyka. Dyrektor spojrzał oskarży cielsko na sekretarza. DuBrose zauważył zmarszczki napięcia wokół oczu starego i poczuł w żołądku skurcz zimnej, szalonej paniki. Przyszedł mu do głowy rozpaczliwy pomysł roztrzaskania monitora - ale teraz nawet to by nie pomogło. *Gdzie podziewał się Seth?*

- Szyfrator - rozległ się głos w głośniku.

- Szyfrator włączony - mruknął Cameron. Jego silne dłonie o wydatnych knykciach przesuwają się wprawnie po klawiaturze. Na ekranie monitora pojawiła się twarz.

- Cameron? - zaczął Sekretarz Wojny. - Co tam się wyprawia w waszym biurze? Próbuję pana złapać...

- No to mnie pan złapał. To musi być coś ważnego, skoro używa pan tego numeru. O co chodzi?

- To nie jest rozmowa na telemonitor. Nawet poprzez szyfrator. Być może popełniłem błąd zbyt wtajemniczając tego pańskiego człowieka - DuBrose'a. Czy można mu ufać?

Cameron napotkał obojętny wzrok DuBrose'a. - Tak - powiedział powoli. - Tak, nie mam do niego zastrzeżeń. No więc?

- Za pół godziny będzie u pana człowiek ode mnie. Chcę, żeby rzucił pan na coś okiem. Zwykle środki ostrożności. To bezwzględny priorytet. Zrozumiał pan?

- Będę czekał, Kalender - powiedział dyrektor i przerwał połączenie. Położył dłonie płasko na biurku i obserwował je.

- No cóż, proszę mnie oddać pod sąd - odezwał się DuBrose.

- Kiedy Kalender tu był?

- Dziś rano. Niech pan posłucha, szefie, zrobiłem to ce-

lowo. Miałem powód. Usiłowałem wyjaśnić to Kalenderowi, ale to zakuty łeb. Mam za mało gwiazdek na pagonach, żeby go przekonać.

- Co panu powiedział?

- Coś, czego, jak sądzę, nie powinien pan jeszcze wiedzieć, Seth też przyznał mi w tym względzie rację. Jemu pan przecież ufa. I - wszak przeszedłem z wyróżnieniem wszystkie psychotesty, bo inaczej nie byłoby mnie tutaj z panem. Mamy tu do czynienia z problemem psychologicznym, a okoliczności nakazują, by nie był pan wprowadzany w sprawę, dopóki...

- Dopóki co?

DuBrose przygryzł paznokcie kciuka. - Przynajmniej dopóki nie porozumiem się z Sethem. To ważne, żeby nie był pan na razie wmieszany w tę sprawę. Rzecz wygląda paradoksalnie. Mogę się mylić, ale jeśli mam rację... nie wyobraża pan sobie nawet, co to za facja!

- Sądzi więc pan, że Kalender popełnia błąd zwracając się z tym do mnie bezpośrednio - mruknął Cameron. - Dlaczego?

- Tego właśnie nie chcę panu powiedzieć. Bo gdybym to zrobił, wszystko... wzięłoby w łeb.

Cameron westchnął i potarł dłonią czoło. - Zapomnijmy o tym - zaproponował znużonym głosem. - To ja kieruję tym departamentem, Ben. Ja jestem odpowiedzialny za wszystko, co się tu dzieje. - urwał i spojrzał bystro na DuBrose'a. - To słowo musi mieć dla ciebie spore znaczenie emocjonalne.

- Jakie słowo? - spytał bezbarwnym głosem DuBrose.

- Odpowiedzialność. Dziwnie na nie zareagowałeś.

- Pchła mnie ugryzła.

- Ach, tak? W każdym razie to prawda. Jeśli wynika sprawa dotycząca departamentu psychometrii, i to sprawa, której nadano bezwzględny priorytet, moim obowiązkiem jest być o niej poinformowanym. Wojna się nie skończy, kiedy ja wezmę sobie urlop.

DuBrose wziął z biurka butelkę i potrząsnął nią.

- Strzel pan sobie jednego - zaproponował Cameron podsuwając mu kubek. Sekretarz nalał sobie bursztynowego płynu. Udało mu się wpuścić do whisky pastylkę nie zwracając uwagi Cameronu.

Ale nie wypił. Podniósł kubek, powąchał zawartość i odstawił go. - Chyba za wcześnie jak dla mnie. Najlepiej pije mi się w nocy. Czy orientuje się pan, gdzie mogę znaleźć Seta?

- Och, zamknij się pan - burknął Cameron. Siedział zapatrzony w kubek niewidzącymi oczyma. DuBrose podszedł, do okna i spojrzał na wyświetlany w nim krajobraz.

- Chyba pada.

- Tu pod spodem nic nie pada - mruknął Cameron. - Nie ma prawa.

- Ale na powierzchni... proszę popatrzeć. Wracając do *rzeczy*, niech mi pan pozwoli sobie towarzyszyć.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo mi niedobrze, kiedy na pana patrzę - warknął Cameron. DuBrose wzruszył ramionami i ruszył w stronę drzwi. Sięgając do klamki poczuł na sobie baczne spojrzenie dyrektora, ale się nie obejrzał.

Zamknąwszy za sobą drzwi podszedł od razu do centralki łączności, ignorując zmysłowy uśmiech dziewczyny siedzącej przed migającym kolorowymi lampkami pulpitem.

- Niech mi pani złapie Seta Pella - polecił, osobliwie świadomy tonu tępej bezsilności przebijającego z jego głosu. - Proszę próbować wszędzie. Aż do skutku.

- To coś ważnego?

- Taaak... bardzo!

- Ogólnym kanałem łączności?

- Ja... nie - zająknął się DuBrose. Machinalnie przeczesał palcami żółtą czuprynę. - Nie wolno mi. Nie mam upoważnienia. Myślała pani, że te zakute pały z góry pozwoliłyby na...

- Szef by to załatwił.

- Tak się pani tylko wydaje. Lepiej nie ryzykować, Sally. Niech pani się tylko postara. Ja może wyjdę na chwilę, ale odezwę się. Pani niech się dowie, gdzie mogę złapać Seta.

- Coś się musiało stać - zauważyła Sally. DuBrose obdarzył ją bladym, wymuszonym uśmiechem i odwrócił się. Modląc się w duchu wszedł z powrotem do gabinetu Cameronu.

Dyrektor stał przy otwartym oknie zapatrzony w podbarwiony czerwienią mrok zalegający na zewnątrz. DuBrose rzucił ukradkowe spojrzenie na biurko. W kubku nie było już whisky i DuBrose'a przeszedł mimowolny dreszcz ulgi. Ale nawet teraz...

Cameron nie odwrócił się. - Kto tam? - zapytał tylko. Laik nie zauważyłby różnicy w głosie dyrektora, ale DuBrose nie był laikiem. Wiedział dobrze, że alkaloid dotarł już krwioobiegiem do mózgu Camerona.

- To ja, Ben.

- Aha.

DuBrose patrzył na otyłą postać chwiejącą się lekko przy oknie. To powinno jednak wkrótce minąć; okres dezorientacji był bardzo krótki. Błogosławił szczęśliwy traf, że miał akurat w kieszeni paczuszkę Głupich Jasiów. Nie był to właściwie przypadek; nosiła je przy sobie większość wojskowych. Gdy pełni się służbę w nie normowanym, maksymalnie wyśrubowanym czasie pracy, powolny proces upijania się jest utrapieniem, a kac ryzykiem zawodowym. Pewien zdolny chemik eksperymentując w wolnych chwilach z alkaloidami wynalazł Głupie Jasie, małe pastylki bez smaku, porównywalne w działaniu ze stuprocentową szkocką. Wywoływały one i podtrzymywały ten różowy żar syntetycznej euforii, tak popularny od chwili, kiedy człowiek po raz pierwszy zaobserwował fermentację winorośli. Była to jedna

z przyczyn, dla których pracownicy departamentu wojny godzili się na harówkę do upadłego nad powierzonymi sobie, nie- mającymi końca zadaniami, w tym długim klinczu trwającym od czasu, gdy oba narody zdecentralizowały się i oko-pały. Co ciekawe: ludność wiodła życie bardziej chyba bezpieczne i dostatnie niż przed wojną; planowaniem i prowadzeniem działań wojennych zajmowała się wyłącznie Kwatera Główna i podległe jej instytucje. W niebywale wyspecjalizowanej wojnie jest miejsce tylko dla specjalistów, zwłaszcza od kiedy żaden z krajów nie używał już do walki żołnierzy. Nawet zupacy byli z metalu.

Sytuacja ta byłaby niemożliwa bez impulsu, jaki dała druga wojna światowa. Tak jak pierwsza wojna światowa zaowocowała użyciem sił powietrznych w drugim konflikcie globalnym, tak wojna toczona w latach czterdziestych dwudziestego wieku stała się bodźcem do rozwoju rozmaitych dziedzin techniki - między innymi elektroniki. I kiedy nastąpił pierwszy zmasowany atak Falangistów na drugą stronę planety, półkula zachodnia była nie tylko przygotowana do jego odparcia, ale również zdolna do uruchomienia z graniczącą z cudem szybkością i precyzją własnej maszyny wojennej.

Wojna nie potrzebuje motywu. Ale motywem stojącym za napaścią Falangistów był przede wszystkim imperializm. Stanowili rasę hybrydową, tak jak niegdyś Amerykanie; na zgliszczach drugiej wojny światowej powstał nowy naród. Splątany węzeł społecznych, politycznych i ekonomicznych uwarunkowań europejskich doprowadził do powstania wolnego państwa, całkowicie nowego kraju. W żyłach Falangistów płynęła wymieszana krew tuzina ras - Chorwatów, Niemców, Hiszpanów, Rosjan, Francuzów, Anglików. Bo Falangiści byli emigrantami napływającymi z całej Europy do wolnego państwa o arbitralnie ustanowionych i dobrze strzeżonych granicach. To był nowy tygiel ras.

I w końcu Falangiści zjednoczyli się, obierając sobie nazwę rodem z Hiszpanii, przejmując niemiecką technikę i ja-

pońską filozofię. Stanowili taką zbieraninę, jak żaden naród dotąd; w tym kotle, pod którym rozniecono ogień, mieszały się ze sobą czarni, żółci i biali. Głosili nową jedność rasową; nieprzyjaciele nazywali ich kundlami i trudno było rozstrzygnąć, po której stronie leży racja. Amerykańscy koloniści podbijali niegdyś zachód. Nie było jednak żadnych nowych krain dla Falangistów.

I w końcu dwa wielkie narody świata zwały się na całe dziesięciolecie w toczącej się ze zmiennym szczęściem wojnie, przykładając jeden drugiemu nóż do opancerzonego gardła. Ekonomia społeczna obu krajów przystosowała się stopniowo do nowych warunków wojennych - co doprowadziło do powstania takich właśnie wynalazków, jak Głupi Jaś!

Produkcję Głupich Jasiów sponsorował Wydział do spraw Nastrojów Społecznych wspierany przez Departament Psychometrii. Istniało też wiele innych szybko działających zamienników podtrzymujących na duchu ludzi pracujących na rzecz aparatu wojny. Takie na przykład Gęsie Skórki wywołujące natychmiastowy szok emocjonalny dla tych, którym nie wystarczały wrażenia czerpane z filmów subiektywnych. I Twardy Sen i Bajkowe Krainy, które mogły częściowo kompensować brak dzieci czy zwierząt domowych - a nawet spełniać rolę środków psycholeczniczych. Niewielu ludzi potrafiło trwać w kompleksie niższości, kiedy nic nie stało na przeszkodzie, by zostać Jehową w fantastycznie przekonywających iluzjach własnych małych światków zaludnionych istotami przez siebie samego projektowanymi i tworzonymi. Nie były to stworzenia żywe: po prostu kukły, ale o tak złożonej konstrukcji, że wielu ludzi, obserwując Bajkową Kraję budzącą się do życia pod ich palcami naciskającymi klawisze sterujące, miało trudności z decyzją powrotu do rzeczywistego świata. Jako mechanizm ucieczki od rzeczywistości urządzenia te spełniały swoją rolę idealnie.

DuBrose obserwował bacznie Camerona. Chciał załatwić swoją sprawę, zanim minie dezorientacja.

- Lepiej się przygotujmy.

- My?

- Zmienił pan zdanie? - DuBrose nadał swemu głosowi ton zdziwienia. - Nie chce więc pan, żebym też poszedł?

- Och. Czyja... myślałem...

- Lepiej nie zostawiać otwartego okna. Pod naszą nieobecność może tu nalecieć jakiegoś paskudztwa.

- W Dolnym Chicago nie ma żadnych niebezpiecznych gazów - mruknął Cameron przyjmując za rzecz naturalną, że DuBrose będzie mu towarzyszył. - Nawet w Przestrzeniach.

- To prawda, ale unosi się tam wiele cuchnących wydzielin - powiedział DuBrose.

- To podziemne miasto...

- Wiem. Bez względu na stopień zaawansowania rozwiązań technicznych, pozostaje ono pod ziemią. Ale to przecież pan wprowadził do projektu okna skaningowe. Czemu sam pan z nich nie korzysta?

Cameron zasunął szybę i zapatrzył się na zielone wzgórza, na które padał teraz cień gęstniejących deszczowych chmur. - Nie cierpię na klaustrofobię - powiedział. - Mogę miesiącami przebywać pod ziemią i nic mi nie jest.

- Ze mną jest gorzej. - DuBrose zauważył, że Cameron dobrze się trzyma po jego zastępczym trunku. To świetnie; nie chodziło mu przecież o to, by upić dyrektora do nieprzytomności. Jego plany obliczone były na dłuższą metę. Wysłannik Sekretarza Wojny prawdopodobnie nie zauważy nawet podniecenia Camerona. Przypomniało mu się, że ma poczęstować szefa pastylką odświeżania

oddechu, zanim...

Zdążył w samą porę. Do gabinetu, po obowiązkowym sprawdzeniu tożsamości, wprowadzono chudego mężczyznę o zgorzkniałej twarzy, z dwoma pistoletami zwisającymi u pasa.

- Moje nazwisko Locke - przedstawił się przybysz. - Jest pan gotów, panie Cameron?

- Tak. - Dyrektor doszedł już do siebie. - Dokąd idziemy?

- Do sanatorium.

- Na powierzchnię?

- Na powierzchnię.

Cameron skinął głową i ruszył ku drzwiom. Zatrzymał się przed nimi i zmarszczył brwi.

- No więc? - ponaglił.

- Przepraszam. - Locke otworzył drzwi i przepuścił Camerona przodem. Gdy DuBrose chciał pójść w ślady dyrektora, wysłannik rządu zastąpił mu drogę.

- Pan nie jest...

- Wszystko w porządku.

Locke potrząsnął głową. - Panie Cameron, czy ten człowiek idzie z nami?

Dyrektor zerknął przez ramię z wyrazem zaskoczenia na twarzy. - On... co, Ach, tak. On idzie z nami.

- Jak pan każe. - Locke zrobił jeszcze bardziej zgorzkniałą minę, ale przepuścił DuBrose'a i sam ruszył za nim.

Gdy przechodzili przez centralkę, sekretarz posłał Sally pytające spojrzenie. Dziewczyna wzruszyła ramionami w geście bezsilności. DuBrose westchnął głęboko. A więc wszystko spadało teraz na jego barki. A bardzo obawiał się tego, co mogą zobaczyć w sanatorium.

Dźwig zwiózł ich na niższy poziom i teraz Locke objął przewodnictwo. Doszli za nim do ekspresowej trasy przelotowej. DuBrose siadł w fotelu i usiłował się odprężyć. Patrzył, jak zasuwa się nad ich głowami podświetlony sufit kanału w kolorze spłowiej kości słoniowej, ale ta gładka, syntetyczna substancja nie stanowiła żadnej bariery dla jego myśli. Przenikały przez nią w ryczący zgiełk Przestrzeni, gdzie maszyny dudniące rytmem miasta wypełniały te otchłanie własnym hałaśliwym życiem. Nie pracował tam ani jeden człowiek. Ludzie obsługujący maszyny siedzieli wygodnie w klimatyzowanych, dźwiękoszczelnych budynkach, a okna skaningowe dawały im złudzenie, że nie znajdują się pod ziemią. Jeśli nie otwierało się zaworów okiennych, można było spędzić w Dolnym Chicago całe życie nie zdając sobie nawet sprawy, że to prawie dwa kilometry pod

powierzchnią ziemi.

Jednym z głównych problemów była klaustrofobia. I zanim rozwiązano problemy i poczyniono niezbędne kroki w ten sposób, wiele nerwic rozwinęło się w pełne psychozy. Nerwice te dręczyły tylko ludzi pracujących na rzecz wojny, ponieważ większość cywilnej populacji nie musiała zamieszkiwać pod ziemią. Decentralizacja chroniła ich przed wyborem za cele dla bomb.

- Tu się przesiadamy - rzucił przez ramię Locke. DuBrose dotknął przycisku pod poręczą swego fotela. Trzy krzeselka zsunęły się z pasa szybkiego ruchu do zatoczki, zwolniły i zatrzymały. Locke wprowadził ich w milczeniu do podstawionego pneumowagonu. Zamknął drzwi i sięgnął do pulpitu sterowniczego. DuBrose złapał za uchwyt w tym samym momencie, kiedy szczupły palec pchnął dźwignię przyspieszenia na maksimum.

Żołądek przywarł mu do kręgosłupa. Po chwilowym zamroczeniu wrócił mu wzrok. DuBrose przystąpił automatycznie do tej starej gry, którą uprawiał każdy wojskowy - do beznadziejnej próby zorientowania się w położeniu i odgadnięcia kierunku, w jakim mknie pneumowagon. Nie było to oczywiście możliwe. Tylko dwudziestu ludzi - najwyżsi rangą sztabowcy z Kwatery Głównej - wiedzieli, gdzie znajduje się Dolne Chicago. Labirynt tuneli rozgałęziających się od schronu kończył się w wielu rozmaitych miejscach odległych nawet do tysiąca kilometrów od niego. A do tego tunele te biegły tak dobraną, krętą trasą, że dotarcie do dowolnego miejsca przeznaczenia zajmowało wagonikom niezmiennie piętnaście minut.

Dolne Chicago mogło leżeć pod łanami zbóż Indiany, pod jeziorem Huron albo pod ruinami starego Chicago - tyle

wiedzieli szeregowi wojskowi. Wystarczyło zgłosić się przy jednej ze znanych sobie Bram, poddać identyfikacji i wsiąść do pneumowagonu. I po upływie kwadransa było się już w Dolnym Chicago. Tak po prostu. Ten sam system - środek zabezpieczenia przed bombami drażącymi - obowiązywał we wszystkich podziemnych miastach. Stosowane były też inne formy zabezpieczenia, ale DuBrose nie był technikiem. Powiedziano mu tylko, że triangulacyjne namierzenie radiowe miasta jest niemożliwe i on przyjmował ten fakt do wiadomości. Współczesna wojna bardziej przypominała grę w szachy niż serię bitew.

Wagonik zatrzymał się; przeszli krótkim korytarzykiem do kabiny helikoptera. Rozległ się wizg łopatek wirnika. Śmigłowiec wzniósł się w powietrze i dygocząc obrócił w miejscu o czterdzieści pięć stopni. DuBrose ujrzał przez iluminator odpływające w dół pierzaste gałęzie drzew. Gdy wzlecieli wyżej, roztoczył się pod nimi spalony słońcem, pagórkowaty krajobraz. DuBrose ciekaw był, jaki to stan. Illinois? Indiana? Ohio?

Nagle zaniepokojony pochylił się w przód. Coś tam było... - He? - Cameron zerknął na niego.

DuBrose obrócił szybko podziałkę na oprawie iluminatora; plastik pośrodku szyby pogrubiał tworząc kolistą soczewkę przybliżającą odległy szczegół terenu. Spojrzał przez nią i uspokoił się.

- Niewypał - rzucił przez ramię Locke. DuBrose'owi wydawało się, że pilot nie zauważył jego ruchu.

- To tylko jedna z kopuł - mruknął Cameron poprawiając się w fotelu. Ale DuBrose nie odrywał

wzroku od srebrzystego, skorodowanego tworu wyrastającego ze zbocza wzgórza.

Była to półkula o średnicy jakichś trzydziestu metrów i po całej Ameryce rozrzucono ich w sumie siedemdziesiąt cztery - wszystkie dokładnie takie same. DuBrose nie przypominał już sobie, kiedy ostatnio były idealnie nieprzezroczystymi, lustranosrebrzystymi skorupami; miał osiem lat, kiedy

pojawiły się nagle znikąd, wszystkie na raz, nieodgadnione w swej tajemnicy, której nigdy nie rozwiązano. Nikomu nie udało się dostać do ich wnętrza i nic realnego nigdy się z nich nie wydostało. Siedemdziesiąt cztery błyszczące półkule pojawiły się jak spod ziemi, wywołując popłoch graniczący z paniką. Kolejna tajna broń wroga.

Spodziewając się w każdej chwili wybuchu tych tworów, na czas, kiedy eksperci usiłowali rozwikłać problem, ewakuowano z ich sąsiedztwa wszystkich cywilów w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Minął rok, a specjaliści nie doszli jeszcze do niczego.

Pięć lat później kontynuowali badania, ale już bardziej sporadycznie.

Potem nieskalana gładź kopuł zaczęła ulegać erozji. Polerowana substancja, niebędąca materia, pokrywała się zwolna siecią rys. Pajęczyna ta rozrastała się niczym siatka pęknięć na warstwie odblaskowej lustra i po jakimś czasie skorupy zmatowiały i popękały. Można było wtedy zajrzeć do ich wnętrza, ale niczego tam nie było - po prostu naga ziemia.

Mimo to nikt nie był w stanie wejść do kopuły. Dostępu do nich broniła wciąż jakaś niewyjaśniona siła; coś w rodzaju materialnej energii tworzyło nieprzeniknioną barierę dla ciał stałych.

Już dawno opinia publiczna, nadal uważająca te tajemnicze twory za sekretną broń nieprzyjaciela, która zawiodła, nazwała je Niewypałami. Nazwa się przyjęła.

- Niewypał - wyjaśnił Locke i uruchomił pomocnicze silniki rakietowe. Krajobraz w dole rozmazał się i znikł.

DuBrose zerknął na Camerona, ciekaw, jak długo działać będzie jeszcze alkaloidowa namiastka. Głupi Jaś nie był środkiem niezawodnym. Czasami...

Ale widok spokojnej, odprężonej twarzy dyrektora rozproszył jego obawy. Wszystko będzie dobrze. Musi być.

Cameron patrzył na wysokościomierz z tablicy przyrządów. Wskaźnik uśmiechał się do niego.

2

Doktor Lomar Brann, naczelny neuropsychiatra sanatorium, był krępy, wytwornym, żwawym mężczyzną o pociągniętych woskiem wąsikach i lśniących czarnych włosach. Miał zwyczaj połykania końcówek słów, co sprawiało, że wydawał się bardziej szorstki niż w rzeczywistości. Teraz przymrużył nieco oczy na widok Camerona, ale jeśli nawet zauważył podniecenie dyrektora, nie dał tego po sobie poznać.

- Cześć, Cameron - zawołał rzucając na biurko trzymany w ręku plik kart chorobowych. - Spodziewałem się ciebie. Jak leci, DuBrose?

Cameron uśmiechnął się. - Działam na mocy tajnych rozkazów, Brann. Nie wiem nawet, po co tu jestem.

- No cóż... ja wiem. Ja też mam swoje rozkazy. Jesteś tu, żeby zbadać przypadek M-204.

Dyrektor wycelował kciukiem w ekran monitora zainstalowanego na ścianie. Widniał na nim pacjent wierzący się nerwowo na krześle, a umieszczony nieco wyżej owalny ekran pomocniczy ukazywał w zbliżeniu twarz mężczyzny. Z głośnika dochodził cichy głos:

- Wciąż za mną chodzili, a ptaki, których draki nigdy nie ustają i szelesty drzew, co mrozą, srożą, słowa są zawsze słowami...

Brann wyłączył monitor. Szpula z taśmą przestała się obracać, nagrany głos przycichł i zamilkł. - To nie ten - wyjaśnił Brann. - To...

- Dementia praecox, co?

- Tak, d.p. Dezorientacja, rymowanie słów - zwykła historia choroby. Nie będę miał jednak żadnych problemów z jego wyleczeniem. Dwa miesiące i będzie na farmie na powierzchni.

Była to normalna procedura leczenia pacjentów cierpiących na zaburzenia psychiczne, którzy przeszli kurację

w podziemnym mieście-szpitalu. Oddawani byli później pod opiekę specjalnie dobranym sponsorom, gdzie leczenie mogło być kontynuowane w bardziej normalnych warunkach. Du-Brose zapoznał się z tym systemem pracując jako psycholog. Brann wyglądał na lekko zakłopotanego. Zauważył euforię Camerona - ale nie będzie tego komentował w obecności DuBrose'a i Locke'a. - Rzućmy lepiej okiem na tego M-204 - powiedział.

- Czy jego personalia są utajnione? - spytał Cameron.

- To nie moja sprawa. Nie martw się, Sekretarz Wojny wszystko ci później wyjaśni. Ja mam ci tylko pokazać pacjenta. Panie Locke, zechce pan tutaj poczekać...

Przewodnik skinął głową i usadowił się wygodnie w fotelu. Brann wyprowadził Camerona i DuBrose'a drzwiami na chłodny, zalany łagodnym światłem korytarz. - To mój prywatny przypadek. Nikt prócz mnie go nie odwiedza, nie licząc dwóch pielęgniarek. Oczywiście jest pod stałą opieką.

- Agresywny?

- Nie - odparł Brann. - To... właściwie nie moja specjalizacja. Ten człowiek... - przekreślił klucz w zamku. - Tędy. Ten człowiek ma halucynacje. Gdyby nie pewien szczegół, byłby to idealnie zwyczajny przypadek.

Cameron chrząknął. - Jaka jest diagnoza?

- No cóż, podejrzewamy paranoję. Przyjął inną osobowość. Raczej... hmm, tego... egzaltowaną.

- Chrystus?

- Nie. Pacjentów podających się za Chrystusów mamy wielu, Cameron. M-204 utrzymuje, że jest

Mahometem.

- Symptomy?

- Bierny. Karmimy go dożylnie. Widzisz, on jest Mahometem po śmierci Mahometa.

- Stara śpiewka - skomentował Cameron. - Odwrót do łona... mechanizm ucieczki od rzeczywistości?

- Jaka jest pozycja? - spytał DuBrose i Brann pokiwał z uznaniem głową.

- Otóż właśnie. Nie przyjął wcale pozycji płodowej.

Leży na plecach, nogi wyprostowane, ręce skrzyżowane na piersi. Nie odzywa się. Oczy ma stale zamknięte. - Neuro-psychiatra przekręcił klucz w zamku kolejnych drzwi. - Trzymamy go w tej izolatce. Pielęgniarsz!

Wkroczyli do komfortowo urządzonej sali szpitalnej witani przez krzepkiego, rudowłosego mężczyznę. W kącie stał stolik służbowy; sprzęt do odżywiania dożylnego spoczywał pod szklaną obudową, a w przeciwległej ścianie znajdowały się plastikowe drzwi z przezroczystymi szybami. Pielęgniarsz wskazał te drzwi ruchem głowy.

- Pacjent jest właśnie badany, proszę pana.

- To jakiś technik - zwrócił się Brann do Camerona. - Nie ma nic wspólnego z medycyną. Zdaje się, że jest fizykiem.

DuBrose gapił się na sześcioszczeblową rozkładaną drabinkę, która zupełnie nie pasowała do schludnej, sterylnej sali. Plastikowe drzwi otworzyły się. Wypadł przez nie zaaferowany człowieczek, popatrzył na nich mrugając powiekami poprzez grube szkła okularów, po czym ze słowami - Potrzebne mi to - porwał drabinkę i znikł.

- No, dobrze - powiedział Brann. - Rzućmy okiem.

Sąsiednia salka była izolatką, ale dosyć komfortową. Łóżko odsunięto od ściany. Na podłodze stało kilka przyrządów pomiarowych, a fizyk pchał właśnie drabinkę w kierunku łóżka.

M-204 leżał płasko na wznak z rękami złożonymi na piersi i zamkniętymi oczami, a jego poryta zmarszczkami twarz była idealnie pusta i bez wyrazu. Nie leżał jednak na łóżku. Unosił się w powietrzu, jakieś półtora metra ponad nim.

DuBrose automatycznie poszukał wzrokiem przytrzymujących go sznurków, chociaż wiedział, że to nie miejsce na jakieś czary-mary. Sznurków nie było. M-204 nie spoczywał też na żadnym podwyższeniu ze szkła czy plastyku. On... le-witował.

- No i co wy na to? - spytał Brann.

- Trumna Mahometa... zawieszona w połowie drogi między niebem a ziemią - mruknął Cameron. - Jak to jest zrobione, Brann?

Doktor musnął palcami wąsik. - To nie moja specjalizacja. Przeprowadziliśmy rutynowe badania.

Morfologia, badanie moczu, elektrokardiogram, podstawowa przemiana materii... a z tym mieliśmy sporo kłopotu - dodał krzywiąc się. - Musieliśmy przywiązać pacjenta pasami do łóżka, żeby go prześwietlić. On... unosi się w powietrze!

Fyzyk, balansując niepewnie na drabince, wyczyniał tajemnicze manipulacje przewodami i sondami. Po chwili wydał stłumiony okrzyk. DuBrose obserwował technika przesuwającego powoli, tam i z powrotem, jakiś przyrząd pomiarowy.

- To niedorzeczne - wykrztusił.

- Jest tutaj od wczorajszego ranka - powiedział Brann.

- Znalaziono go w jego laboratorium, zawieszono w powietrzu. Zachowywał się już wtedy nieracjonalnie, ale rozmawiał. Oświadczył, że jest Mahometem. Po upływie pół godziny przestał reagować na otoczenie.

- Jak go tu przetransportowaliście? - spytał DuBrose.

- W taki sam sposób, w jaki sprowadzilibyśmy tu balon - powiedział doktor szarpiąc palcami koniuszek wąsika.

- Możemy nim dowolnie manewrować. Gdy go puścimy, znowu podrywa się w górę. Tak to wygląda.

Cameron przypatrywał się pacjentowi ochrzczonego kryptonimem M-204. - Mężczyzna około czterdziestki... zwróciliście uwagę na paznokcie u rąk?

- Ja zwróciłem - powiedział Brann. - Najdalej tydzień temu były dobrze utrzymane.

- Czym się zajmował przez ten ostatni tydzień?

- Pracował nad czymś, o czym mnie nie poinformowano. Tajemnica wojskowa.

- A więc... odkrył sposób neutralizowania grawitacji... i szok wywołany tym odkryciem... nie. Wtedy byłby przygo-

towany na taki rezultat. A jeśli pracował nad, powiedzmy, celownikiem bombowym i nagle stwierdził, że unosi się nad podłogą... - Cameron nachmurzył się. - Ale jak człowiek może...

- On nie może - wtrącił się fizyk z drabiny. - To po prostu niemożliwe. Nawet w teorii, do wywołania siły anty-grawitacyjnej potrzebne są maszyny. Mój przyrząd wariuje.

- Jak to? - spytał Cameron.

Technik podniósł miernik w górę. - Działa... widzi pan wskazówkę? Teraz niech pan patrzy. - Dotknął metalową sondą zainstalowaną na końcu przewodu do skroni M-204. Wskazówka spadła z powrotem do zera, a potem wyskoczyła dziko do końca skali, zawahała się tam i powoli wycofała znowu do kreski podziałki oznaczonej cyfrą zero.

Technik zszedł z drabiny. - Świetnie. Moje przyrządy nie działają, kiedy usiłuję przeprowadzić nimi pomiary na tym facecie. Działają za to w każdym innym miejscu. Ale... sam nie wiem. Może on doznał jakiejś chemicznej lub fizycznej przemiany. Chociaż nawet wtedy nie powinienem mieć

żadnych trudności z przeprowadzeniem analizy jakościowej. To niedorzeczne. - Mrużąc pod nosem zajął się pakowaniem sprzętu.

- Istnieje jednak teoretyczna możliwość unoszenia się obiektu w powietrzu, prawda? - odezwał się Cameron.

- Ma pan na myśli obiekty cięższe od powietrza. Oczywiście. Hel nadmie sterowiec. Siła magnetyczna podtrzyma w powietrzu opilek *żelaza*. W teorii jest zupełnie możliwe, żeby ten człowiek się unosił. To żaden problem. W teorii możliwe jest praktycznie wszystko. Ale musi istnieć jakaś logiczna przyczyna. Jak mogę wykryć tę przyczynę, skoro moje przyrządy nie działają?

Wykonał zdesperowany gest, a jego pomarszczoną twarz gnoma zdeformowały bruzdy rozdrażnienia. - A w ogóle każą mi pracować na ślepo. Muszę się dowiedzieć, nad czym ten człowiek pracował. Tylko na tej podstawie mogę znaleźć wyjaśnienie. Nic tutaj po mnie!

Brann zerknął na Camerona. - Masz jakieś pytania?

- Nie. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- No to wracajmy do mojego gabinetu. Gdy tam weszli, Locke nadal czekał. Na ich widok wstał zniecierpliwiony.

- Już, panie Cameron?

- Dokąd teraz?

- Do Sekretarza Wojny. DuBrose jęknął w duchu.

3

W ciągu następnych czterech godzin...

Inżynier techniki raketowej sprawdził obwód po raz dziewięćdziesiąty czwarty, opadł na oparcie fotela i wybuchnął śmiechem. Jego śmiech przeszedł w przeraźliwy pisk, w nieustający wrzask. Lekarz z ambulatorium zrobił mu w końcu zastrzyk z apomorfiny w ramię i wypędzłował zdarte gardło. Ale natychmiast po przebudzeniu inżynier znowu zaczął krzyczeć. Dopóki hałasował, był bezpieczny.

Obwód badany przez inżyniera był częścią urządzenia zrzuconego w wielkich ilościach przez nieprzyjaciela. Cztery z tych urządzeń eksplodowały zabijając siedmiu techników i demolując cenny sprzęt pomiarowy.

Fizyk wstał od biurka zawalonego papierami, przeszedł spokojnie do pracowni i zmontował wydajny generator wysokiego napięcia. Następnie popełnił samobójstwo włączając się do obwodu.

Robert Cameron wrócił z aktówką pod pachą do Dolnego Chicago i w pośpiechu udał się do swojego biura. Gałka u drzwi, gdy ujął ją w dłoń, była w dotyku normalna. Podszedł do biurka i

rozłożył aktówkę wysypując z niej fotokopie i wykresy. Rzucił okiem na zegar i stwierdził, że jest za minutę siódma. Porównał to z zegarkiem na ręku.

Cameron czekał na siedem melodyjnych uderzeń. Kiedy się nie rozlegały, znowu zerknął na białą, opatrzoną cyframi tarczę zegara. Tarcza otworzyła usta i powiedziała: - Godzina siódma.

Seth Pell był asystentem Camerona i jego alter ego. Liczył sobie trzydzieści cztery lata, miał siwe włosy i okrągłą, rumianą twarz, która równie dobrze mogłaby należeć do nastolatka. Oprócz dyrektora Pell był chyba najbardziej kompetentnym człowiekiem w zakresie psychometrii - a prawdopodobnie nawet lepszy od niego w neuropatologii, choć brakowało mu szerszej wiedzy technicznej Camerona.

Wszedł teraz do biura z uspokajającym uśmiechem przeznaczonym dla DuBrose'a. - Czego się napijesz? - spytał. - Uspokajacza, czy mocnego drinka?

DuBrose nie potrafił się dostosować do tej beztroskiej nonszalancji. Czuł tępe pulsowanie za gałkami ocznymi.

- Seth. Gdybyś się wreszcie nie zjawił...

- Wiem. Nastąpiłby koniec świata.

- Czy szef mówił ci, co się stało?

- Nie pozwoliłem mu na to - powiedział Pell, - Namówiłem go na mały seans Twardego Snu i wyłączył się na dziesięć minut. Potem podałem mu środek psychotropowy. Znajduje się teraz w stanie głębokiej hipnozy.

DuBrose odetchnął głęboko. Pell przysiadł na krawędzi swojego biurka i zajął się przycinaniem paznokci u rąk.

- No, dobrze - powiedział. - Uwierzyłem ci na słowo, że trzeba szybko wprowadzić szefa w stan hipnozy. Jesteś jedynym facetem, któremu ufam na tyle, żeby zrobić to w ciemno. Zwykle nie kupuję kota w worku. A więc?

DuBrose poczuł się słabo. Gdyby nie udało mu się teraz przekonać Setna... ale miał pewność, że mu się uda. Niebezpieczeństwo było zbyt realne, zbyt oczywiste, by go nie dostrzec.

Zaczął mówić. - Dziś rano wpadł tu Sekretarz Wojny -

wiesz, ten Kalender. Szef był zajęty, spytałem więc, czy mogę w czymś pomóc, Kalender był bardzo zdenerwowany, inaczej nie chciałby w ogóle ze mną rozmawiać, chociaż wie, że szef darzy mnie zaufaniem. Trochę pogadaliśmy - niewiele, ale wystarczyło, abym zwęszył kłopoty. Pojawił się pewien problem. Ale - w tym właśnie sęk. Każdy, kto próbował go rozwiązać, postradał zmysły.

- Taaak - westchnął Pell nie podnosząc wzroku.

- Nie chcę, żeby szef zwariował - ciągnął monotonnym głosem DuBrose. - Udało mi się wrzucić mu ukradkiem do whisky pastylkę Głupiego Jasia, zanim Kalender go dorwał. Tylko tyle mogłem zrobić. Ale jeśli uważasz, że konieczne będzie wywołanie sztucznej amnezji, to jeszcze nie jest za późno.

- Zabiegi nad pamięcią to moja specjalność - powiedział Pell. - Ale lepiej chodźmy zobaczyć. - Zsunął się z biurka.

DuBrose podążył za nim. - Kalender nie wpuścił mnie do środka, kiedy przed chwilą rozmawiali z szefem. Nie wiem więc, czego dotyczyła ta rozmowa.

- Dowiemy się. Chodź.

Cameron leżał spokojnie na kozetce w gabinecie, a na ścianie wisiał jeszcze rozwinięty ekran Twardego Snu. Dyrektor oddychał powoli i równomiernie. Pell ujął nieprzytomnego mężczyznę za przegub, a DuBrose przysunął tymczasem fotele.

- W porządku. Teraz popytamy. Cameron, słyszy mnie pan?

Nie trwało to długo. Pell był ekspertem psychotropii i cieszył się całkowitym zaufaniem Camerona, co też pomogło. Po chwili Pell wyciągnął się w fotelu krzyżując przed sobą nogi.

- Co to za konszachty z Sekretarzem Kalenderem, Bob?

- On...

- Wiesz, kim jestem?

- Tak. To ty, Seth. On... powiedział mi...

- Co ci powiedział?

Cameron nie otwierał oczu. - Musisz iść w przeciwnym kierunku, żeby napotkać Czerwoną Królową - wyrzucił z siebie. - Biały Goniec zsuwa się po pogrzebaczu.

Pell zaniemówił. - Źle z jego równowagą psychiczną - szepnął DuBrose.

Te słowa sprowokowały odpowiedź. - Coś w tym rodzaju - wymamrotał Cameron. - Czy to ty, Seth?

- Oczywiście - zapewnił go Pell. - Co z tym Kalende-rem?

- To wielki kłopot. Wpadła w nasze ręce formuła, która zdaje się nic nie *oznaczać*. Jednak ma ona wielkie znaczenie dla nieprzyjaciela. Nadal nie wiem, jak znaleźliśmy się w posiadaniu tego równania. Prawdopodobnie zdobył je nasz wywiad. Ale jest ważne i trzeba je rozwiązać, a nie ma w nim żadnego sensu.

- Czego ono dotyczy?

- Istnieją zastosowania ogólne i konkretne. Takie, na przykład, jak prawo grawitacji. Wchodzą tu w grę pewne stałe, ale... wygląda na to, że suma poszczególnych członów nie równa się całości. Równanie *in toto* nie ma żadnego sensu. Ma go *in partibus*. Wynika z niego, że można zawiesić prawa logiki. I nieprzyjaciel właśnie to czyni. Zrzucili kilka bomb, które potrafią przeniknąć poprzez pola siłowe. Co przecież jest niemożliwe. Kiedy badano te bomby, też nie znaleziono w nich żadnego sensu. Ale one mają związek z tym równaniem. Technicy usiłują je rozwiązać. Ale... jeden po drugim popadają w obłąd.

- Dlaczego?

Cameron nie odpowiedział bezpośrednio. - M-204 był jednym z pierwszych, którzy się tym zajęli. Nie rozwiązał równania. Dowiedział się tylko, jak neutralizować grawitację i zwariował. A może odwrotnie. Musimy znaleźć rozwiązanie, Seth. Rzuciłem okiem na to równanie... leży na moim biurku...

Pell dał znak kciukiem; DuBrose wstał i zgarnął papiery

układając je w zwarty plik. Wręczył go Pellowi, ale ten nawet nie spojrział.

- Musimy znaleźć odpowiedź - ciągnął Cameron. - Bo inaczej-nieprzyjaciel zyska nieograniczoną moc...

- Rozwiązali to równanie?

- Wątpię. Co najwyżej częściowo. Ale uczynią to, jeśli ich nie uprzedzimy.

Pell uśmiechał się, ale DuBrose zauważył kropelki potu perlące się na jego czole pod linią srebrzystych włosów.

- Musimy je rozwiązać - powtórzył Cameron.

Pell wstał i skinieniem ręki zaprosił DuBrose'a do swojego gabinetu. - To ci dopiero - powiedział. - Mądrze postąpiłeś.

- Kamień spada mi z serca. Nie byłem pewien...

- Gdy żona łamie nogę - powiedział Pell - mąż odchodzi od zmysłów, dopóki nie przybędzie lekarz. Wtedy mu mija - może złożyć odpowiedzialność w bardziej kompetentne ręce i odprężyć się. To już nie jego sprawa. Ale lekarz wie, co robić ze złamaną nogą. Odpowiedzialność go nie przytłacza.

- A w tym przypadku nie wiemy, co robić?

- Nie przyglądałem się jeszcze temu równaniu - powiedział Pell rzucając plik papierów na swoje biurko - i wcale nie jestem pewien, czy to zrobię. Już sobie wyobrażam, co ten głupiec Kalender naopowiadał szefowi. Los narodu spoczywa w pańskich rękach. Jest pan odpowiedzialny za wyszukanie kogoś, kto potrafi rozwikłać ten problem. Jeśli pan nie znajdzie kogoś takiego, będzie pan winny naszej klęski w tej wojnie. No i co? Takie postawienie sprawy zwała całą odpowiedzialność na barki szefa - i szef musi rozwiązać równanie, albo zwariować. Tak sobie to przedstawiłeś?

- Mniej więcej. - DuBrose przygryzł wargę. - Ten pacjent M-204 przekonał się, jakie znaczenie ma równanie i uciekł w szaleństwo. W jego przypadku w paranoję,

jak powiedziałaś. Musiał rozwiązać część równania i nie znalazł w nim sensu. To równanie jest bronią, a nie jej produkty uboczne.

- Jeśli nikt nie będzie nad nim pracował, nieprzyjaciel rozwiąże je pierwszy. Już teraz nie straszne im pola siłowe. Do czego będą zdolni, kiedy uzyskają wszystkie odpowiedzi...! Nie, musimy pracować nad tym nadal, ale nie tak, jak to sobie wyobraża Kalender. Ten idiota myśli, że można wyleczyć trąd rozkazem dziennym.

- Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy wymazać wspomnienia szefa z dzisiejszych wydarzeń - mówił powoli DuBrose. - A na ich miejsce wprowadzić nieszkodliwe pseudowspomnienia. I zreferować mu całą sprawę dopiero wtedy, kiedy już pozbawimy ją zębów jadowych.

- Sprytnie pomyślane - pochwalił go Pell. - Ta sztuczka uchroni szefa przed uświadomieniem sobie ciężającej na nim odpowiedzialności. Ty się tym zajmiesz. Nie jestem jeszcze przekonany... - Zerknął na zegarek. - Przede wszystkim trzeba zająć się szefem. Poczekaj tu na mnie.

Wyszedł. DuBrose zbliżył się do biurka i *zaczai* przeglądać fotokopie i papiery. Niektóre symbole wydały mu się znajome; innych nigdy dotąd nie widział. Zauważył jednak, że liczbie Jt przyporządkowano arbitralną i błędną wartość. Czy w tym tkwiło sedno sprawy?

Lepiej nie patrzeć. Spojrzał na próbę w jedno z okien, ale krajobraz rozmazał mu się przed oczyma. Czy równanie może doprowadzić do obłędu?

Oczywiście. Każde równanie jest po prostu konkretnym zapisem określonego problemu abstrakcyjnego. Weźmy na przykład znane doświadczenie z wywoływaniem nerwicy lękowej u białego szczura. Zatraskuje się z hukiem drzwi, kiedy szczur się tego nie spodziewa, uniemożliwiając mu w ten sposób dostanie się do jedzenia. Po niedługim czasie szczur kuli się ze strachu i dygocze. Załamanie nerwowe.

Zakończenie tej przewlekłej, nie mającej końca wojny byłoby błogosławieństwem. Ale w roli pokonanego...!

Nie przez tego nieprzyjaciela. Prowadzona przez pokolenia indoktrynacja sprawiła, że taka ewentualność była w ogóle nie do pomyślenia. Ludzie przywykli już do wojny. Nie odczuwali nawet nienawiści do wroga. Ale bardzo dobrze wiedzieli, że nie wolno im przegrać.

Po obu stronach spadały bomby. Swoje mechaniczne bitwy staczały roboty. Ale faktycznymi wojownikami byli technicy, którzy przesuwali figury po szachownicy i tworzyli nowe gambity. Nie istnieli już dyplomaci; nie byli potrzebni. Jeśli nie liczyć niespodziewanych przesyłek, które z rykiem spadały z nieba, z nieprzyjacielem nie utrzymano żadnej łączności.

Przesyłki takie odbierano - i wysyłano. Ale nie były one dostatecznie przekonujące. Torpedy powietrzne nie mogły zaszkodzić ściśle strzeżonym centrom nerwowym żadnego z obu krajów.

- Panie Pell - odezwał się spiker. - Kurier od Sekretarza Wojny.

- Pan Pell jest zajęty - powiedział DuBrose. - Każ mu poczekać.

- Twierdzi, że to pilne.

- Każ mu zaczekać!

Zapadła chwila ciszy. Po czym...

- Doktorze DuBrose, on nalega. Chce się widzieć z dyrektorem, ale pan Pell wydał polecenie, aby wszystkie napływające sprawy trafiały najpierw do jego biura, a więc...

- Przyślij go do mnie - zdecydował DuBrose i odwrócił się do otwierających się drzwi.

Brązowoczarny mundur kuriera coś oznaczał; można było po nim poznać agenta Tajnej Służby. Ludzie noszący w klapie odznakę w kształcie strzały byli rzadkością - a podlegali bezpośrednio Kwaterze Głównej. Ten człowiek...

Był potężnie zbudowany, miał byczy kark, a w zimnym świetle metalicznie połyskiwały jego krótko przystryżone,

rude włosy. Ale DuBrose'a zafascynowały jego oczy. Czaił się w nich dziwny ogień hamowanego podniecenia, trzymanego na wodzy radosnego, dzikiego tryumfu. Cienkie usta znajdowały się pod żelazną kontrolą. Zdradzały go tylko te czarne oczy.

Przybysz pokazał swój dysk. - Daniel Ridgeley - odczytał DuBrose i automatycznie porównał fotografię z twarzą mężczyzny. Nie było to wcale konieczne; po zdjęciu odznaki identyfikacyjnej z przegubu właściciela wszystkie zawarte na niej informacje ulegały trwałemu wymazaniu.

- Panie Ridgeley - powiedział DuBrose. - Pan Pell będzie wolny za kilka minut.

Głęboki, powolny głos Ridgeleya zdradzał niecierpliwość. - To sprawa najwyższej wagi. Gdzie on jest?

- Powiedziałem już panu...

Kurier zerknął na drzwi i postąpił krok w ich kierunku. DuBrose zastąpił mu drogę. Dziwne, gorączkowe podniecenie zatliło się w czarnych jak smoła oczach Ridgeleya.

- Nie może pan tam wejść.

- Zejdź mi pan z drogi. Wykonuję rozkaz.

DuBrose nie poruszył się. Kurier wykonał błyskawiczny, pozornie niedbały ruch i sekretarz z trudem łapiąc równowagę przeleciał przez pokój. Nie próbował już przeszkadzać Ridgeleyowi; zamiast tego dopadł biurka Pella i jednym szarpnięciem otworzył szufladę. Spoczywał w niej wibro-pistolet, śliczny, skomplikowany mechanizm z solidnego kryształu i połyskliwego metalu.

DuBrose mocował się z bronią rękami niezdarnymi jak wypchane kleistą papką rękawiczki. Czuł się komicznie me-lodramatyczny; dziwne, że w tej wojnie obliczonej na wyczerpanie przeciwnika ludzie mieli tak mało doświadczenia w walce fizycznej. O ile się nie mylił, ten wibropistolet nie był jeszcze nigdy używany.

Wymierzył z niego do kuriera i zawołał: - Spokojnie!

Ridgeley stał naprzeciw pochylając szerokie bary i sprężając nieco swe zwaliste cielsko. W jego

oczach gorzał teraz

niewytłumaczalny diabelski wyraz pomieszanego z kpina zachwytu, a towarzyszyło mu coś w rodzaju szybkiej, chłodnej kalkulacji.

Ridgeley ruszył na DuBrose'a.

Sunął ku niemu na ugiętych nogach miękko jak kot; zatrzymał się na metr przed sekretarzem i zamarł w bezruchu z napiętym, nieprzeniknionym wyrazem twarzy. DuBrose poczuł łaskotanie zimnego potu spływającego mu strużkami po plecach.

- Mam rozkaz - powtórzył Ridgeley.

- Może pan poczekać?

- Nie - warknął kurier - Nie mogę. - Zdawało się, że przysiadł niczym ogromny kot gotujący się do skoku. Chociaż nie miał przy sobie żadnej broni, sprawiał bardziej złowrogie wrażenie niż uzbrojony DuBrose.

Rozległ się trzask zamka. Otworzyły się drzwi do konsultacyjnego gabinetu Pella. Na progu stał młodzieniec w wieku około dwudziestu lat, chudy, blady, przygarbiony, ubrany w wygniecioną tunikę i szorty. Oczy miał zamknięte. Poruszał spazmatycznie wargami, a z jego krtani dobywał się nieprzerwanie chrapliwy, nieprzyjemny dla ucha bełkot, to przybierając na sile, to cichnąc.

- *K-k-k-k-k-k-kuk!*

Ruszył przed siebie. Na jego drodze stał fotel. Chłopak obszedł go wkoło i wyminął biurko, chociaż powieki miał wciąż mocno zaciśnięte.

- *K-k-k-k-k-uk! Kuk-kkkkk!*

DuBrose spóźnił się z reakcją. Wprawny cios wybił mu wibropistolet z dłoni. Ridgeley cofnął się o krok i patrzył rozbieganymi oczyma na DuBrose'a i chłopaka, przenosząc czujny wzrok z jednego na drugiego.

- Kto to? - spytał.

- Nie wiem - odparł DuBrose. - Nie wiedziałem, że Pell przyjmuje pacjenta... to pewnie pacjent. Ale...

- *K-k-k-k-k-kuk!*

Podniecenie chłopaka rosło. Zatrzymał się, a całe jego

ciało wpadło w niekontrolowane drzenie. Nieprzyjemny bełkot przeszedł w gardłowe, grube krakanie,

- *Kuk-k-k-k-k-kuk!*

- No, nic - powiedział Ridgeley. - Muszę się widzieć z dyrektorem. On tam jest?

- Jest zajęty - powiedział Seth Pell. - Może pan rozmawiać ze mną. Jestem jego zastępcą.

Asystent stał przy drzwiach prowadzących do gabinetu Camerona, uśmiechając się niewinnie i nie zwracając uwagi na wibropistolet w ręku Ridgeleya. - Ben - zwrócił się do DuBrose'a - odprowadzisz pacjenta do jego sali? Jeśli będzie trzeba, zaaplikuj mu lekki zastrzyk. Ale środek uspokajający powinien wystarczyć.

DuBrose przełknął głośno ślinę, skinął głową i ujął chłopca pod ramię.

- K-k-k-kkkk!

Wprowadził dygoczącą, roztrzęsioną postać z powrotem do salki konsultacyjnej i szybko ułożył ją na kozetce. Podgrzewany koc, różowa pastylka, chłopak uspokoił się i przestał drżeć. DuBrose nastawił alarm na wypadek, gdyby pacjent spadł z kozetki, i pośpiesznie wrócił do gabinetu Pella.

Wibropistolet leżał na biurku. Ridgeley wykladał cichym głosem swoje racje. Pell ruszał się.

- na rozkaz. Mam dostarczyć tę kasetę dyrektorowi. Zlecił mu to osobiście Sekretarz Wojny.

- Ben, daj mi Kalendera na mój monitor, dobrze? - powiedział Pell. Skinął głową Ridgeleyowi, odwrócił się i zniknął w drzwiach znajdujących się za jego plecami. Gdy wrócił, na ekranie widniała już ponura, surowa twarz Kalendera.

Kurier wyjął z kieszeni cylindryczną, metalową kasetę. Robert Cameron, który wszedł do gabinetu za Pellem, zignorował ją. Podszedł prosto do monitora i spojrział na twarz Kalendera.

- O, Cameron - odezwał się Sekretarz Wojny. - Dostałeś tę...

- Posłuchaj - przerwał mu Cameron. - Wszystkie raporty i przesyłki mają aż do odwołania przechodzić przez ręce mojego asystenta, Seta Pella. Zabraniam dostarczania czegokolwiek bezpośrednio mnie. Od tej chwili można się ze mną kontaktować tylko za pośrednictwem Pella. Dotyczy to również połączeń z Kwaterą Główną i spraw priorytetowych.

Co takiego? - Kalendera zatkało. Jego wielka szczęka wysunęła się do przodu. - Tak, tak - wyrzucił z siebie niecierpliwie. - Ale ja chcę rozmawiać z tobą. Mój kurier.

- Nie rozmawiałem z nim. Musi to załatwić z Pellem.

- To sprawa oficjalna, Cameron - warknął Kalender - i priorytetowa! Nie zgadzam się, aby mieszać w to podwładnych! Żądam...

- Panie Sekretarzu - przerwał mu spokojnie Cameron. - Niech pan posłucha. Nie podlegam Kwaterze Głównej. Kieruję Departamentem Psychometrii po swojemu i wypraszam sobie podważanie mojego tutaj autorytetu. Jeśli życzę sobie wykorzystać Seta Pella w charakterze filtra, to jest to moja sprawa. Niech mi pan pozwoli, z łaski swojej, *rządzić* się na moim podwórku, jak mi się podoba, dopóki rząd nie rozszerzy pańskich kompetencji ponad te, które posiada pan w tej chwili. Skończyłem!

Nacisnął energicznie klawisz rozłączając się z bliskim apopleksji Sekretarzem Wojny i odwrócił

się, żeby wejść z powrotem do gabinetu. Kurier postąpił krok naprzód.

- Panie Cameron...

Cameron obrzucił go zimnym spojrzeniem. - Słyszał pan, co powiedziałem panu Kalenderowi?

- Mam rozkaz - nie ustępował Ridgeley. Wyciągnął rękę z metalową kasetą.

Dyrektor zawahał się. Potem wziął ją. - No dobrze - powiedział. - Wykonał pan swoje zadanie. - Wręczył ka-

setę Pellowi i wszedł do siebie. Drzwi zamknęły się za nim cicho.

Pell postukiwał metalowym cylinderkiem o grzbiet dłoni. Czekał przyglądając się Ridgeleyowi.

- Niech będzie - powiedział kurier. - Tak czy inaczej, doręczyłem to dyrektorowi. - Jego oczy napotkały na chwilę spojrzenie DuBrose'a, potem zsalutował niedbale i wyszedł.

Pell rzucił cylinderek na biurko. - Nieźle - powiedział. - Całe szczęście, że szef mnie poparł.

DuBrose z namaszczeniem dotknął palcem wibropistole-tu. - Ja... czy szef...

- Wszystko w porządku - uśmiechnął się Pell. - Mamy teraz trochę czasu, żeby popracować nad tym problemem. Podałem naszego starego stosownemu zabiegowi - szybka obróbka pamięci. Nie pamięta niczego, co się dzisiaj wydarzyło. Wprowadziłem mu na to miejsce trochę wspomnień zastępczych. Możemy mu teraz podsunąć ten problem bez wywoływania poczucia odpowiedzialności - jeśli znajdziemy sposób, jak to zrobić.

- Nie wzbudziłeś jego podejrzeń?

- Szef mi ufa. Całkowicie. Powiedziałem mu, że chcę przez jakiś czas spełniać rolę filtra i żeby nie pytał mnie, dlaczego. Będzie się oczywiście zastanawiał, ale nie znajdzie prawdziwej odpowiedzi. Wymazałem mu niebezpieczne wspomnienia.

- Całkowicie?

- Całkowicie.

Cameron otworzył okno i patrzył, jak czerwony mrok pulsuje i pełza. Prześladowały go jakieś niejasne wspomnienia, ale tylko trochę. Wiązało się to po prostu z zadaniem, które mu przypadło - zadaniem, które sam musi rozwiązać. Musi istnieć jakaś przyczyna. Musi. Jeśli podda się badaniu psychiatrycznemu, to jest... nie. Nie tędy droga. Wzrokowe i słuchowe - i dotykowe - halucynacje...

Powróciły te przyćmione wspomnienia. Nie mógł sobie poradzić z uporządkowaniem ich w kolejności wydarzeń tego dnia - całkiem nudnego i zwyczajnego dnia. Nie ruszał się z biura, łączył się z kilkoma osobami - ale te wspomnienia, ta gałka u drzwi, ten zegar i uśmiechający się wysokościerz dobijały się z łagodną natarczywością do jego umysłu.

Człowiek unoszący się w powietrzu.

Halucynacje.

- Szef wyszedł do domu - oznajmił DuBrose.

- No i dobrze. - Pell rozłożył papiery na biurku.

- Czy któryś z nas nie powinien...

Asystent rzucił DuBrose'owi ostre spojrzenie. - Uspokój się, Ben - powiedział lekko. - Napięcie daje o sobie znać. Szef nie będzie odbierał żadnych telefonów. Kazał je kierować do mnie. Hmmm - zawahał się. - Słuchaj. Porozmawiamy, a ty weź te karty i poukładaj je tymczasem w porządku alfabetycznym. Albo może zaaplikuj sobie seans Twardego Snu.

DuBrose wziął karty i zaczął je automatycznie porządkować. - Przepraszam - powiedział - to wszystko wytrąciło mnie chyba trochę z równowagi.

Siwe włosy Pella pochylającego się nad wykresami błyszcząły. - A niby dlaczego?

- Sam nie wiem. Empatia...

- Gadanie - wpadł mu w słowo Pell. - Gdybym chciał, mógłbym być tak samo roztrzęsiony jak ty. Ale studiowałem historię i literaturę. Także architekturę i wiele innych *rzeczy*. Po to tylko, by zrównoważyć jakoś tę robotę w psychologii. Dużo więcej jest perfekcji w kolumnie doryckiej niż w tobie.

- Tak. Ale ja mogę zbudować kolumnę dorycką.

- Możesz również zbudować wygodkę za domem. W tym

sęk. Równie dobrze możesz zrobić jedno, jak i drugie. - Zachichotał. - „Nie lubię ludzkiej rasy... nie podoba mi się jej durna gęba.”.

- Co to?

- Gość o nazwisku Nash. Nigdy o nim nie słyszałeś. Rzecz w tym, że jestem po części mizoginistą, Ben. Jeśli ktoś chce, żebym go polubił, musi najpierw dowieść, że jest tego wart. Niewielu ludziom się to udaje.

- Och, filozofujesz - parsknął DuBrose upuszczając kartę. - Co to jest? Deformacja podniebienia objawiająca się w wieku dwudziestu lat...

- Grupa przypadków, które badałem - odparł Pell. Niestety, praca ta ma wartość czysto akademicką. Nie, to nie filozofia; mnie po prostu nie może podniecić nic, co przeraża ludzi w tym zbiorowisku. Ludzie nie dysponują zmysłem selektywnego wyboru. *Zatracili* go rezygnując z instynktu na rzecz inteligencji. A jak dotąd nie nauczyli się jeszcze dyscyplinować swoich sił twórczych. Nawet ptak uwije gniazdo będące istną perełką inżynierii budowlanej.

- Ślepy zaułek.

- Do ptaków też nie podchodzę bezkrytycznie - przyznał Pell. - Jak na mój gust, zbyt dużo mają w sobie z gadów. Ale ludzie - za jakieś pięćdziesiąt tysięcy albo trzy razy tyle lat, ludzie nauczą się być może sztuki selektywnego wyboru. Zyskają na tym wszyscy. Obecnie rodzaj ludzki brnie przez bagna, a ja jestem zde gustowany.

- Czego to dowodzi? - spytał z irytacją DuBrose.

- Mojego egotyzmu - roześmiał się Pell. - I wyjaśnia, dlaczego to konkretne zagrożenie nie rajcuje mnie ani nie zbija z tropu.

Ale, pomyślał DuBrose, to nie wyjaśnia, dlaczego Pell zdaje się nie przejmować niebezpieczeństwem grożącym dyrektorowi. Cameron jest przecież jego najbliższym przyjacielem; tych dwóch mężczyzn łączy ciepła nić sympatii. Asystent ma na myśli coś jeszcze, utajoną siłę, *żelazną* dyscyplinę, która pozwala mu na zachowanie równowagi.

DuBrose nie znał Pella. Podziwiał go i ufał mu, ale nigdy nie próbował się wdziierać w pewną głęboko skrywaną sferę jego osobowości, którą Pell maskował beztróską nonszalancją. Często się nad tym zastanawiał. Krążyło wiele plotek, skandalizujących nawet w tych amoralnych czasach, o prywatnym życiu Seta Pella...

- Mhmm - mruknął asystent. - Niezły problem. Każdy, kto pracował nad tym równaniem, wykazuje objawy przemęczenia albo wariuje. O ile - i tu jest haczyk - o ile nie może przełać odpowiedzialności na kogoś innego. Nieprzyjaciel zrzuca bomby, które przenikają przez pola siłowe. Kilka eksplodowało. Większość nie. Na zdrowy rozum ta konstrukcja nie ma prawa działać. W jej skład wchodzi podzespół, którego współpraca z innym w tym samym układzie jest niemożliwa. Oszałało już dwunastu specjalistów z rozmaitych dziedzin techniki. Dwóch wykazujących skłonności samobójcze odebrało sobie życie. Niejaki Pastor - fizyk - twierdzi, że za kilka dni będzie miał rozwiązanie równania. W tej chwili nie ma jak tego sprawdzić. I tak dalej, i tak dalej. Będziemy musieli przeprowadzić kilka osobistych rozmów. Naszym zadaniem jest zbieranie danych i korelowanie ich. Włączając w to fakt, że jeden z członów równania dotyczy sposobu kompensowania siły grawitacyjnej.

DuBrose zakończył już układanie kart w porządku alfabetycznym. Siedział teraz bawiąc się nimi machinalnie.

- Jak mamy przedstawić ten problem szefowi?

- No cóż - nie może sobie zdawać sprawy z jego wagi. Wydaje mi się, że najlepiej będzie zataić go przed nim. Bagatelizować przed nim całą sprawę. I nie pokazywać mu równania. Jest zbyt dobrym naukowcem o rozległej wiedzy, by mu to powierzyć. Gdyby pokusił się o samodzielne jego rozwiązanie... a wszystko wskazuje na to, że ten wzór ma swoisty urok. Nie, musimy gromadzić wszystkie związane z tą sprawą informacje, upewniać się, że są nieszkodliwe, i dopiero wtedy podsuwać je szefowi. A to znaczy, że czeka nas dużo chodzenia.

- Czy możemy działać w ten sposób? Czy nie istnieje niebezpieczeństwo takiego zatarcia ważnych

czynników, że...

- Musimy stwierdzić bez żadnych wątpliwości, dlaczego technicy usiłujący rozwiązać równanie dostają pomieszania zmysłów - odparł Pell. - A szef musi *znaleźć* kogoś, kto może je rozwiązać.

Wstał. - Na razie wystarczy. Koniec na dzisiaj. - Zgarnął papiery do szuflady i dokonał codziennych manipulacji. Wokół biurka pojawiła się nagle kopuła lodowato białego światła.

- Pola siłowe mogą już nie stanowić niezawodnego zabezpieczenia, skoro nieprzyjaciel potrafi rzucać przez nie bomby - zauważył DuBrose.

- Nastawiłem też zapalnik - odparł Pell. - Ale któż chciałby wykraść to równanie? Nieprzyjaciel już je ma. - Wszedł do sali konsultacyjnej. DuBrose podążył za nim. Chłopak leżał wciąż na wyściełanej kozetce i spał. Oczy miał zamknięte, oddech równomierny.

- Kto to? - spytał DuBrose.

- Nazywa się Billy Van Ness. Typowy przypadek - jeden z tej grupy z kart, które układałeś. Opóźnione dojrzewanie, wiek dwadzieścia dwa lata, gwałtowne zmiany fizyczne i psychiczne rozpoczęły się przed dwoma miesiącami. Jediną cechą wspólną jest fakt, że wszyscy ci chorzy urodzili się w promieniu trzech kilometrów od Niewypału.

- Promieniowanie uszkodziło geny rodziców? - DuBrose przywołał z pamięci obraz srebrzystej, popękanej kopuły ze zbocza nagiego wzgórza.

- Być może.

- Nieprzyjaciel?

- Jeśli tak, to ta broń nie zadziałała. W sumie tylko czterdzieści przypadków. Dziwne; jeszcze dwa miesiące temu wszyscy oni byli idealnie normalni - no, może nie

licząc opóźnionego dojrzewania. Wtedy weszli w okres dojrzewania i nastąpiły jakieś dziwne zmiany fizjologiczne. Deformacja podniebienia... ale bardziej interesujące są tutaj przemiany psychiczne. Nigdy nie otwierają oczu - dosyć znany symptom. Rozpoznajesz go?

- Naturalnie.

- Ale...

- Zaczekaj - przerwał mu DuBrose. - Ten chłopiec widzi. Ominął krzesło, które stało mu na drodze.

- To taka ich sztuczka - uśmiechnął się Pell. - Wygląda mi to na postrzeganie pozazmysłowe. Kiedy chodzą - a robią to rzadko - nigdy na nic nie wpadają, ale też nigdy nie idą po linii prostej. Zawsze jakimś zygzakowatym, poplątanym kursem, jak gdyby omijali nie tylko obiekty, które faktycznie tam są, ale i takie, których tam nie ma.

- Zakłócenie zmysłu równowagi?

- Nie, zachowują równowagę. Oni chodzą po prostu tak, jakby przedostawali się przez pokój pełen jaj. A swoją drogą, co tak podnieciło tego chłopca?

DuBrose wysunął kilka przypuszczeń.

- To niezwykle - stwierdził Pell. - Kiedy nie znajdują się w pobliżu Niewypału, rzadko otrząsają się ze swej pasywności. Niewypał zdaje się ich pobudzać. Wydają z siebie wtedy ten zabawny bełkot. Nie jest przyjemny dla ucha, prawda?

- Masz już jakąś diagnozę, Seth?

Pell pokręcił głową. - Jeśli wszystko inne zawiedzie, zamierzam przeprowadzić próbę z sondowaniem pamięci. Może uda mi się cofnąć zmysł tego chłopca do jego bardziej normalnej przeszłości. No dobrze, zostawmy te karty. - Rzucił je na stół i zadzwonił po asystenta. - Billy może zostać na dzisiejszą noc w izbie chorych - w izolatce. Weź płaszcz, Ben. Wychodzimy.

- A jakiś sprzęt...

Pell zachichotał. - Chłopie, nie będzie nam potrzebny. Na kilka godzin - ale dobrych - stajemy się ciekawymi

świata ekstrawertykami. Stwierdzam u ciebie ciężki przypadek nadciśnienia. Twardy Sen go nie wyleczy. Gdybym ci kazał wyjść i połknąć Głupiego Jasia, zrobiłbyś to, ale nadal odczuwałbyś podświadomy niepokój. A tak będziesz się mógł odprężyć, bo jestem twoim zwierzchnikiem i na mnie spoczywa odpowiedzialność.

- Ale... posłuchaj, Seth...

- Dziś wieczór przejdziesz ciężką próbę - przerwał mu Pell. - Jutro obaj zwariujemy.

Tylko helikopter mógł wylądować w tej najwyżej położonej części Gór Skalistych. Szczyt wwiercał się dziko w niebo; w rozrzedzonej atmosferze świeciły jasno nawet niewielkie gwiazdy. Wstęga Drogi Mlecznej tryskała swymi kataraktami ku wschodniemu horyzontowi, w kierunku Wyoming, a mięśnie szczęk DuBrose'a reagowały skurczem na przenikliwy, zimny wiatr. Potem pole siłowe ponownie się uniosło wymazując niebo w zsiadłej kopule trzaskającego cicho światła.

Dom pod polem przypominał schronisko, ale jego strome dachy były funkcjonalne w okolicy, gdzie opady śniegu liczy się w metrach. Śnieg teraz nie padał; pod stopami DuBro-se'a chrzęścił nagi, kruchy grunt. Podeszli z Pellem do ganku i wkrótce stali w ogromnym pokoju, który urządzał chyba daltonista. Reprezentowanych tu było kilkanaście okresów sztuki wystroju wewnątrz; pod starym gobelinem przycupnęła sofa z epoki Ludwika XIV, a zwężająca się ku górze smukłość „Ptaka w przestworzach” Brancusiego przysiadła niestosownie na marmurowym blacie wiktoriańskiego piedestału. Wschodnie kobierce gryzły się dziko z niedźwiedzimi skórąmi rozesłanymi na podłodze i łbami myśliwskich trofeów wiszącymi na ścianie. Całą jedną ścianę pokoju tworzył segmentowy ekran projekcyjny. Pod nim stała aparatura Baśniowej Krainy i pulpit sterowniczy, jeden z najbardziej skomplikowanych, jakie DuBrose dotąd widział.

- Ciekawe, czy Pastor sam urządzał to mieszkanie? - mruknął DuBrose.

- Oczywiście - rozległ się głos za jego plecami. - Dokładnie tak, jak chciałem. Czasami niektórych przeraża. Bezpiecznie wylądowaliście? Prądy termiczne są tu zdradliwe.

- Poradziliśmy sobie - powiedział Pell. DuBrose przypatrywał się podobnemu do gнома człowieczkowi o pomarszczonej twarzy dziadka do orzechów. Doktor Emil Pastor też mu się przyglądał zza grubych szkieł, mrugając powiekami.

- Ach, to pan - wykrzyknął. - Nie zapamiętałem pańskiego nazwiska.

- DuBrose. Ben DuBrose. Spotkaliśmy się z doktorem Pastorem w sanatorium, Seth - badał tam tego pacjenta M-204. Tego, który lewituje.

- Lewituje - parsknął Pastor wydymając ekspresyjnie policzki. - Nie wie pan nawet połowy. Doszedłem już, nad którym członem równania pracował. Coś wspaniałego, czysta logika symboliczna, z jednym wyjątkiem. A raczej z dwoma. Jeśli zneutralizuje pan całkowicie grawitację, siła odśrodkowa wyrzuci pana po stycznej w Kosmos. Zgodna? Ale M-204 unosi się tylko w powietrzu. Zgodnie z jego obliczeniami - przeprowadzonymi na podstawie tego równania - ta sztuczka jest teoretycznie możliwa. Wystarczy tylko podstawić arbitralne wartości, jakie równanie przyporządkowuje dwóm symbolom - orbitalnej prędkości ziemi i sile koniecznej do wyniesienia ciała poza grawitacyjne oddziaływanie ziemi.

- Arbitralne wartości? - spytał DuBrose.

- Oczywiście. W rzeczywistości są one stałymi. Wartość pierwszej wynosi 11,6 kilometra na sekundę, a drugiej 6 000 000 kilogramometrów. Równanie mówi, że wystarczy oddalić się tylko na 10 kilometrów od ziemi, aby się uwolnić od grawitacji, i wtedy pierwszą stałą można zignorować. Jest zerem. Ziemia wcale się nie obraca.

- Co takiego? - zdumiał się Pell.

Pastor wykonał znaczący gest. - Wiem, wiem. M-204 jest szalony. Ale jego szaleństwo wynika z czegoś szczególnego. On sądzi, że może lewitować, ponieważ ziemia się nie obraca. No i - lewi tutaj. A ziemia mimo wszystko wiruje!

- A co z tymi dziesięcioma kilometrami? - spytał asystent. - Energia...

Pastor pokiwał głową. - To też. Żeby zachować w ten sposób równowagę sił - antygravitację - trzeba bez przerwy wydatkować energię. O ile nie ma się wystarczającej prędkości orbitalnej, tak jak Księżyc. Ale M-204 nie wydatkuje energii, prawda? A może ją wydatkuje?

- Pańskie przyrządy wariowały, jak sam pan mówił - odpowiedział DuBrose.

- I to daje do myślenia - przyznał fizyk. - Może dla obserwatora znajdującego się na miejscu M-204 Ziemia się nie obraca. Ale moje przyrządy nie są w stanie tego zarejestrować; zostały zbudowane na ziemi, która się obraca. - Roześmiał się i zaraz spoważniał. - Jestem tym tak pochłonięty, że zapomniałem o dobrych obyczajach. Zdejmijcie panowie płaszcze. Napijcie się czegoś? Może Twardego Snu?

DuBrose rozmagnetyzował zapinkę u szyi i rzucił płaszcz w kierunku wieszaka, który pochwycił go zręcznie. - Nie, dziękujemy. Nie zajmiemy panu wiele czasu. Chcieliśmy...

- Rozwiązałem już to równanie - powiedział Pastor - gdyby grube ryby nie przepędziły mnie z

Dolnego Manhattanu. Dowiedzieli się, że niektóre bomby wybuchają, i doszli do wniosku, że mogą im zdemolować schron. Przeniosłem się więc tu, na górę. Jeśli spowoduję detonację, pole siłowe ograniczy straty.

- Te bomby mogą przecież przenikać przez pola siłowe, czyż nie? - zauważył Pell.

- Rzeczywiście mogą. Proszę tu wejść. - Pastor wepchnął ich przed sobą do laboratorium zawalonego sprzętem w dużej mierze osobliwie niezwykłym i tandetnym. Na

zagraconym stole wyszperał fotokopię schematu. - Oto układ mechanizmu bomby. Znacie się panowie coś niecoś na elektronice?

- Bardzo słabo - przyznał Pell, podczas gdy DuBrose tylko pokręcił przecząco głową.

- Mhmm. No dobrze. W każdym razie widzicie ten chytry interes? Będzie działał tylko w układzie jednego typu, ale już nie w innym. Ten drugi podzespół będzie działał tylko w tym drugim typie układu. Ale oba na raz funkcjonują bez problemów w tym samym układzie. Próbowaliśmy zamienić je miejscami, próbowaliśmy stawać na głowach i patrzeć zezem, ale fakt pozostaje faktem. Dwa wzajemnie niezgodne elementy wspianiale ze sobą współpracują. To nie może być. Ale jest.

Pell gapił się na schemat.

- I co panowie na to? - spytał Pastor.

- Wydaje mi się, że inżynierowie pracujący nad znalezieniem przyczyny umożliwiającej bombom przenikanie pól siłowych mają twarde orzechy do zgryzienia.

- Na razie mogę tylko powiedzieć - podjął fizyk - że równanie oparte jest na czymś w rodzaju logiki niestałej. Pełno w nim wzajemnie wykluczających się zasad.

- Dwa plus dwa równa się pięć? - wtrącił DuBrose.

- Dwa plus pi równa się pi razy drzwi - poprawił go Pastor. - Nie da się tego wyrazić w języku potocznym. Puryści językowi splunęliby z odrazą. Tutaj jest powiedziane - wskazał na arkusz papieru - że ciało swobodnie spadające przyspiesza z każdą sekundą o półtora metra na sekundę, a później, w tym samym równaniu, to samo ciało przyspiesza z każdą sekundą o dwadzieścia centymetrów na sekundę. I w tym rzecz!

- Czy w ogóle widzi pan w tym jakiś sens? - spytał Pell.

- Coś mi tam świta - przyznał Pastor. Podszedł do miski i zaczął myć ręce. - Zamierzam na razie trochę odpocząć. Zażyję chyba Twardego Snu... ale możemy przedtem

porozmawiać. Chociaż nie bardzo wiem, co mogę panom jeszcze powiedzieć.

Pell zawahał się. - Mówi pan, logika niestała - nasza nauka przyjmuje pewne stałe jako podwaliny, truizmy, na których opiera się cała wiedza.

- A co jest prawdą? - spytał Pastor rozkładając ręce. - Sam się czasami zastanawiam. W każdym razie...

Wrócili do wielkiego, zagraconego pokoju. Fizyk podszedł do pulpitu sterowniczego Bajkowej Krainy i *zaczai* niespiesznie naciskać klawisze. - Sam nie wiem - mruzczał pod nosem. - Staram się myśleć logicznie. W tym, że bomby potrafią przebić się przez pola siłowe, brak na pewno logiki, zwłaszcza że te bomby nie mają prawa działać.

- Czy może to mieć jakiś związek z Niewypałami? - zasugerował DuBrose. - Przypuszcza się, że to broń nieprzyjaciela, która nie zadziałała. No i stanowią one niemożliwe do sforsowania pola siłowe.

Pastor nie obejrzał się. - Tak, niemożliwe do sforsowania. Ale czy pola siłowe... tego nie jestem taki pewien. Wchodziłem w skład kilku komisji oddelegowanych do zbadania Niewypałów i mam pewną teorię, a nawet dwie, których nikt nie chce zaakceptować. Oczywiście, dwadzieścia dwa lata temu mój umysł był bardziej elastyczny... - Uśmiechnął się. - Jeśli poszperalibyście panowie w raportach dotyczących tej sprawy, dowiedzielibyście się, że człowiek nazwiskiem Bruno twierdził, iż wykrył twarde promieniowanie emitowane przez jeden z Niewypałów.

Pell siedzący na kanapie pochylił się w przód. - Muszę *przyznać*, że przeglądałem te materiały. Ale nie znalazłem tam żadnych szczegółów.

- Bo nie było dowodu - powiedział Pastor. - Promieniowanie trwało około godziny, w tym czasie włączony był tylko przyrząd Bruna, a nie można sporządzić wykresu dysponując tylko jednym punktem. W emisji tej występowały

jednak pewne prawidłowości. Bruno uważał, że to jakaś próba komunikacji.

- Tak, wiem - przyznał Pell. - W tym miejscu raport się urywał.

- Reszta to tylko przypuszczenia. Kto porozumiewa się za pośrednictwem twardego promieniowania?

DuBrose przypomniał sobie Billy Van Nessa, jego zamknięte oczy i ochrypy bełkot „*K-k-k-kuk!*”. Wypaczenie podstawowych genów utajone aż do opóźnionego wejścia w okres dojrzewania, a później objawiające się nie wyjaśnionym dotąd psychopatycznym odchyleniem...

- Czy obecnie nie stwierdza się żadnej radioaktywności w pobliżu Niewypałów? - spytał.

- Nic takiego nie wykrywamy.

Dlaczego więc chorzy, tacy jak Billy Van Ness, otrząsają się ze swego otępienia, kiedy znajdują się w pobliżu jednej z popękanych srebrnych kopuł? Trudno podejrzewać, że je rozpoznają nawet dzięki postrzeganiu pozazmysłowemu. Takie wspomnienie musiałyby być nabyte, nie odziedziczone.

- Och, według mnie występuje tam jakiś rodzaj energii - powiedział Pastor - bo inaczej Niewypały nie zachowywałyby swej nieprzenikalności. Ale nie potrafimy jej wykryć. Mam wątpliwości co do związku Niewypałów z... tym równaniem.

- Dopóki pan go nie rozwiąże - powiedział Pell. - Wie pan, że wchodzi tu w grę pewne ryzyko zawodowe?

- Obłąd. Chce pan zbadać mój odruch kolanowy?

- Prawdę mówiąc, chciałbym - przyznał asystent. - Ma pan coś przeciw temu?

- Zupełnie nic.

- Ben.

To była rutyna. DuBrose notował i przyglądał się, jak Pell bada fizyka zadając mu pozornie nie związane ze sobą pytania, które nabierały jednak sensu, gdy zebrało się je w całość. Skończyli wreszcie i Pastor usiadł uśmiechając się.

- W normie. Jest pan jednak typem aspołecznym.

- Ale nie antyspołecznym. Mam żonę i dwójkę dzieciaków - pokazał palcem trójwymiarowy portret w sześcianie z przezroczystego plastiku - i nieźle się przystosowuję do tego czy owego.

- Nigdy nie widziałem tak skomplikowanego zestawu do Baśniowej Krainy - zauważył Pell. - Często pan z niego korzysta?

- Często. - Pastor podszedł do pulpitu. - Wiele lat temu zerwałem swoje kontakty towarzyskie. Tworzę teraz własne systemy i paradoksy...

Na ekranie zapłonęły migotliwe pasma i zygzaki barw. Była w nich nawet jakaś prawidłowość.

- W tej sekwencji - ciągnął fizyk - przyporządkowałem kolorom ludzkie emocje. Tworzę scenariusz na gorąco.

Wpatrywali się przez chwilę w skrzący się ekran. Potem Pell wstał.

- Życzymy panu Twardego Snu, doktorze Pastor. Da nam pan znać, gdyby wyszło coś nowego?

- Ma się rozumieć. - Pastor wyłączył Bajkową Krainę. - Ale będę miał rozwiązanie tego równania w przeciągu kilku dni. Jestem tego pewien.

- Na ile pewien? - spytał później DuBrose w helikopterze.

- Nie wydaje mi się, żeby obiecywał gruszki na wierzbie. On ma dobrze poukładane pod sufitem. Typowy ekscentryk, Ben.

- Brak mu jakiegokolwiek poczucia estetyki.

- Nie wiem. Może ma swoje własne. Muszę mieć szczegółową charakterystykę psychologiczną Pastora na podstawie tego, co zaobserwowaliśmy dzisiejszego wieczoru. Przygotuj ją jak najszybciej i przedłóż mi do uzupełnienia, dobrze? Jeśli Pastor rozwiąże równanie, to nie ma sprawy. Jeśli mu się jednak nie uda...

- Podejrzewasz, że jest typem psychopatycznym?

- Tak czy inaczej, zwariować może każdy. Pastor nie jest potencjalnym samobójcą ani mordercą. Ma może skłonności do schizofrenii... sam nie wiem. Wracamy teraz do Dolnego Chicago. Jeśli do rana uda nam się zebrać posiadane informacje w wyważony raport, będziemy go mogli dostarczyć na biurko szefa.

DuBrose wyciągnął z tablicy przyrządów dymmrkę i wdychał głęboko. Usta miał szczelnie zaciśnięte. Pell zachichotał.

- Bierze cię, Ben?

- Trochę. - W rzeczywistości było gorzej niż trochę - napięta, rozdygotana przepona, niewidzialne mrówki pełzające po skórze. DuBrose poprawił się niespokojnie w wyściełanym fotelu, a trybiki jego myśli ślizgały się nie zazębiając o siebie.

- *Cui bono?* - powiedział Pell. - Pamiętaj, że nie na nas ciąży odpowiedzialność.

- Nie na nas?

- My nie potrafimy rozwiązać tego równania. My nie potrafimy znaleźć człowieka, który sobie z nim poradzi - o ile nie jest nim Pastor. Tylko szef ma kwalifikacje niezbędne do połączenia w ostateczną całość poszczególnych czynników.

- Niby tak - przyznał DuBrose, a maleńkie mrówki spełzały mu po ramionach.

Po lustrze rozchodziły się zmarszczki. Koncentryczne kręgi wydobywały się z jednego punktu zniekształcając twarz Camerona. Odstąpił w bok obserwując, jak zmarszczki stopniowo zanikają.

Potem przesunął się z powrotem i stanął znowu na wprost lustra. Ledwie na szkłe pojawiło się odbicie jego twarzy, zmarszczki ponownie zaczęły się rozchodzić. Czekał. Zmniejszyły się i znikły.

Jednak każde mrugnięcie powiekami wzbudzało mniejsze kręgi, po jednym na każde oko, rozchodzące się po gładkiej powierzchni.

Kąt padania równy jest...

Cameron patrzył na zmęczoną twarz pod strzechą siwych włosów. Usiłował utrzymać powieki w bezruchu.

Mrugnięcie.

Zmarszczka.

Wprost niemożliwe.

Odwrócił się plecami do lustra. Rozejrzał się po pokoju. Nie był to już pokój, który można przyjmować, jakim jest. Nie był to już pokój, który znał od lat, znajdujący się w znanym od lat domu. Jeśli mamilo go lustro, to tak samo mogła go *zdradzać* rozwarstwiająca się, podatna podłoga. Mógł stół bilardowy. Mógł jarzący się sufit i...

Odwrócił się gwałtownie i wszedł na schody nie dotykając uruchamiającego je przycisku. Pragnął poczuć pod stopami twardy grunt, a nie łagodny ruch ślizgowy, który przypominał mu, że ziemia nie jest już tak zupełnie stabilna, jak zwykle.

Całe jego ciało wzdrygnęło się dziko. Tylko nieugięte panowanie nad sobą uchroniło go przed...

To nic takiego. Postawił tylko nogę na ostatnim stopniu, którego tam nie było. Takie rzeczy się

zdarzają.

Czy widział ten nieistniejący górny stopień? Usiłował to sobie przypomnieć i nie mógł.

Nie był to pierwszy raz. Kiedy osłabiał czujność, kiedy zapominał, wówczas ów stopień, którego normalnie nie było, pojawiał się u szczytu schodów. Ale nie namacalnie. Chyba nawet nie optycznie.

Zaszumiał monitor. Cameron znalazł się przy nim uprzedzając Neli. Wzruszyła ramionami i odwróciła się. Jej głowa z gładko zaczesanymi czarnymi włosami wydała mu się nagle straszna. Stał z ręką na przełączniku patrząc, jak Nela wraca na swój fotel. Zastanawiał się gorączkowo, co by zrobił, gdyby twarz, twarz Neli, pojawiła się niespodziewanie z tyłu jej głowy.

Albo gdyby to nie była twarz Neli.

Czekał. Bał się spuścić z niej wzrok, dopóki się nie odwróci. Ale to była Nela, jej chłodne, rozbawione, ciemne oczy i jej zadarty nos. Był rad, że nigdy nie poddała się kuracji odmładzającej. Stare, mądre oczy nie pasowały jakoś do zbyt młodej twarzy. Nela była atrakcyjną kobietą, a teraz jej dojrzała twarz działała nań uspokajająco.

- No co? - spytała unosząc brwi. - Odbierasz?

- Co? Aha... - Cameron nacisnął klawisz. Na ekranie pojawiła się grubiańska, ponura twarz Daniela Ridgeleya, kuriera. Uniósł rękę, żeby pokazać dysk identyfikacyjny na przegubie.

- Sprawa priorytetowa. Wiadomość od Sekretarza Wojny...

- Seth Pell ją odbierze - powiedział chłodno Cameron.

Coś tryumfalnego i radosnego zamigotało w tych czarnych oczach. - Sekretarz nalega, sir...

Cameron wdusił z rozdrażnieniem klawisz, Ekran zgasł. Po chwili szum powrócił. Cameron wyłączył aparat.

Oparł łokieć o półkę nad kominkiem i zapatrzył się w przestrzeń. Łokieć zaczął mu powoli grzęznąć w drewnie. Wyprostował się gwałtownie, rzucając spłoszone spojrzenie Neli. Uklepywała poduszki na kanapie.

Nie zauważyła. Nikt nigdy nie zauważał. Nie można oczekiwać, że będą zauważali.

- Nerwowy jesteś - powiedziała Nela. - Chodź, połóż się.

- Ty jedna to spostrzegłaś - powiedział Cameron. - Nela, ja...

- Co?

- Nie, nic. Chyba jestem trochę przepracowany. Idę wkrótce na urlop.

Podszedł do spolaryzowanych okien. Mógł przez nie wyglądać na zbocze wzgórza skryte w cieniu drzew i popstrzone gdzieś jaśniejszymi plamami księżycowej poświaty, ale przez szyby nie przedostawał się na zewnątrz ani jeden

promyczek światła, który mógłby ściągnąć uwagę nieprzyjacielskiego samolotu. O ile taki samolot

zdołałby się przedrzeć przez ogień zaporowy nadbrzożnych baterii.

- Chodź, połóż się.

Gdyby to uczynił, kanapa mogłaby się pod nim roztopić. Ten pokój był zbyt znajomy. Przesycał go utajony horror. Zdradzały go właśnie dobrze znane przedmioty.

Lepiej *znaleźć* się między przedmiotami nieznanymi. Nawet gdyby zachowywały się dziwnie, mógłby tego tak łatwo nie zauważyć. Czy rozumuje prawidłowo? W każdym razie warto spróbować.

Podszedł do kanapy od tyłu i pocałował Nelę we włosy. - Wychodzę na chwilę. Nie czekaj na mnie.

- Chłopcy dzisiaj telefonowali. Nie widziałeś nagrania.

- Jeszcze zdążę. Jak im leci w szkole?

- Narzekają, jak zwykle. Ale są zadowoleni. Dorastają, kochanie. W tych szkolnych mundurkach... - Nela roześmiała się cicho. - Pamiętasz?

Pamiętał. Bliźnięta, przed czternastu laty. Oboje byli zaskoczeni. Ale snuli plany, długofalowe plany...

Pocałował Nelę jeszcze raz i wyszedł szybko. Doleciał helikopterem do Bramy. Szybki pneumowagon dowiózł go do Dolnego Chicago, ale nie udał się do biura. Ono też było zbyt znajome.

Odszukał służę i wyszedł w Przestrzeń, automatycznie zdejmując reflektorek z wieszaka, ale wsuwając go od razu do kieszeni. Gigantyczna arteria Drogi za jego plecami kojarzyła mu się z ogromnym węzłem Midgardu, którego sploty toną w mroku.

Otoczył go pomruk basowych grzmotów. Grunt pod nogami był szorstki i twardy. Szedł powoli, rozglądając się dookoła po tytanach usługujących miastu.

Pompy posapywały i krztusiły się; w karmazynowym półmroku biło serce Dolnego Chicago. Tuż obok uniosła się

część jakiegoś mechanizmu i zniknęła w zalegającym w górze cieniu. Z ciemności wypadł wprost na niego tłok o średnicy piętnastu metrów, zawahał się i cofnął się gwałtownie. Wysunął znowu i cofnął, wysunął i cofnął, wysunął...

Po sklepieniu przykrywającym Dolne Chicago pełzały błyskawice wyładowań.

Br-r-ruuum-tlik!

To tłok.

Ssssssss...

Sprężone powietrze.

Ruuuum... ruuum...

Pompa.

Stopy grzęzły w sproszkowanym żużlu. Tam w dole coś się poruszało. Przykucnął i patrzył w osłupieniu na czerwone i czarne obiekty sunące szybko i bezszelestnie po popiołach...

Figury szachowe.

Ręka przeniknęła przez nie.

Złudzenie. *Figury szachowe maszerowały dwójkami.* Projekcja jego myśli zaabsorbowanych światem po drugiej stronie lustra, gdzie to, co spodziewane, nie zawsze się zdarza. Nie było ich tam...

Nie spojrział już pod nogi, żeby się upewnić. Zawrócił i ruszył pośpiesznie ku najbliższej Drodze, nie słysząc basowego grzmotu Przestrzeni otaczającego go zewsząd i zwielokrotnionego echem.

Śluza otworzyła się; przekroczył ją i zajął fotelik na jednym z pasów. Położył otwartą dłoń na wyściełanym oparciu. Nagle coś mu w nią wciśnięto; instynktownie zacisnął palce.

Metalowy cylinder.

Obejrzał się. Jego fotelik sunął przed siedzeniem znajdującym się na wolniejszym pasie, które przed chwilą mijał. Zajmował je kurier Daniel Ridgeley z płonącymi podnieceniem, czarnymi jak smoła oczami.

Cameron podniósł rękę i cisnął cylindrem prosto w Ridgeleya.

Kurier rzucił się w bok i pochwycił go. Jego usta rozchyliły się w bezgłośnym śmiechu.

Palce dyrektora dotknęły klawisza; fotelik zsunął się w zatoczkę. Po chwili Cameron już w nim nie siedział; przepełniała go zwierzęca, zimna panika. Teraz pragnął nie tego mrocznego, obcego ogromu Przestrzeni, a rzeczy znajomych. Znajdował się przed ambulatorium swojego departamentu, mógł się tu schronić przed...

Przed czym?

Obejrzał się przez ramię, ale Ridgeley już znikł. Panika jednak go nie opuszczała. Wszedł do windy. Wsiadł z niej nie zwracając uwagi, które to piętro. Stał w skąpo oświetlonej sali zastawionej jasnymi prostokątami kilkunastu łóżek.

Postąpił kilka kroków i zatrzymał się chłonąc spokój przepełniający to miejsce.

- Wszystko w porządku? - rozległ się głos pielęgniarki.

- W porządku - odezwał się Cameron. - To ja, dyrektor.

- Słucham, panie Cameron...

Winda syknęła. Włączył się cichy brzęczyk; sygnalizował wtargnięcie do budynku kogoś nieupoważnionego. Głos pielęgniarki, przekazywany przez głośnik monitora, *zaczai* coś mówić i urwał. Cameron odwrócił się na pięcie i *zaczai* się cofać.

Wyczuł za sobą taflę drzwi. Namacał gałkę, a ta ustąpiła pod jego palcami jak plastelina. Ktoś nadchodził korytarzem, ktoś wydający z krtani urywane, chrapliwe dźwięki.

Ale w przeciwległej ścianie sali odsunęły się drzwi windy i stanęła w nich zwalista, przygarbiona postać kuriera, bezkształtna sylwetka podświetlana blaskiem bijącym z kabiny.

W korytarzu za drzwiami, o które opierał się Cameron, ktoś bełkotał - *Kuk-k-k-k-k*.

Ridgeley ruszył. Cameron widział w jego dłoni cylinder.

Dyrektor puścił bezużyteczną gałkę u drzwi. - Nie wolno panu tu przebywać - odezwał się piskliwie. - Proszę wyjść.

- Mam rozkaz. To sprawa najwyższej wagi.

- Niech się pan z tym zwróci do Setha Pella.

- Sekretarz Wojny polecił mi dostarczyć to panu do rąk własnych.

Cameron zdawał sobie po części sprawę, jak irracjonalny jest ten koszmar. Wystarczyło tylko odebrać od kuriera przesyłkę i wręczyć ją, nie otwierając, Pellowi. Takie proste. Ale nie wiedzieć czemu, nie wydawało mu się to wcale takie proste, kiedy miał przed sobą tę potężną, przygarbioną postać sunącą nieubłaganie w jego kierunku.

- *K-k-k-k-k-kuk!*

Ridgeley włożył Cameronowi cylinder w dłoń.

Drzwi za dyrektorem otworzyły się wpuszczając do środka smugę jasnego światła. Cameron odwrócił głowę mrugając powiekami. Ujrzał połyskujące siwe włosy Pella stojącego w progu z ręką zaciśniętą na ramieniu młodzieńca w szpitalnej piżamie. Chłopiec drżał na całym ciele, oczy miał zamknięte, a z jego krtani wydobywał się rżący, chrapliwy bełkot.

Był też z nimi DuBrose; jego młoda twarz pełna była napięcia. Przecisnął się obok Camerona do ambulatorium.

- Spokojnie, Ben - powiedział Pell. - Szefie...

- Ty lepiej to weź - Cameron podał mu cylinder. - Kurier Kalendera...

Pacjent przestał dygotać. Charkot zamarł mu w krtani. Przemówił niemodulowanym, szybkim, urywanym głosem:

- Wszyscy są zbyt niskimi, płaskimi ludźmi, oprócz tego nowego... Już go widziałem... sięga w dobrą stronę, daleko, daleko, o wiele dalej niż wszyscy inni, którzy tu są... nie tak daleko, jak błyszczące twory, ale jest bardziej kompletny w swym trwaniu...

Chłopiec zamilkł. DuBrose, patrząc na Ridgeleya, dostrzegł w twarzy tego człowieka jakiś nowy wyraz - coś na kształt dzikiego, niewytłumaczalnego zachwyty.

- Przepraszam, jeśli wywołałem trochę zamieszania -

powiedział bez zająknięcia kurier. - Wykonałem powierzone mi zadanie. Pójdę już. Nikt go nie zatrzymywał.

W godzinę później Cameron przeżywał Twardy Sen w swoim gabinecie, a DuBrose z Pellem pracowali nad Bil-lym Van Nessem. Chłopiec znajdował się w stanie hipnozy trzeciego stopnia i z gmatwaniny pomruków zaczynały się wyłaniać pojedyncze słowa. Ale dużo czasu upłynęło, zanim ułożyły się one w jakąś logiczną treść.

DuBrose kręcił tarczą semantycznego integratora dykto-grafu i obserwował słowa pojawiające się na podświetlanym ekranie. Odczytywał je poruszając ustami. Za plecami słyszał cichy, spokojny oddech Pella.

- A więc to nie jest postrzeżenie pozazmysłowe - stwierdził Pell. - To postrzeżenie ponadczasowe. To by wyjaśniało coś, co nie dawało mi spokoju. Trasy, po których poruszają się chorzy cierpiący na to samo, co Van Ness, kiedy chodzą. Pewne symptomy dezorientacji. Oni po prostu omijają krzesła, których nie ma tam w danym momencie, ale stały w tym miejscu, albo będą stać. Sięgają po obiekty, które zabrano przed tygodniem. Są zdezorientowani w czasie - bo postrzegają trwanie.

- To niedorzeczne - zachnął się DuBrose.

Pell wpatrywał się w ekran. - Co byś powiedział na taką hipotezę? Pewna rasa, odległa daleko w czasie, organizuje ekspedycję. Nie wiem w jakim celu. Muszą się niewyobrażalnie różnić od człowieka. Żyją pięćdziesiąt, a może sto milionów lat w przyszłości. Może stanęli w obliczu zagłady i umknęli przed nią nie w przestrzeni, a w czasie. Przybyli tutaj dwadzieścia dwa lata temu w Niewypałach. Nie przetrwali. Przebywając tu, a trwało to godzinę... rozmawiali? - w sobie właściwy sposób. Nie za pośrednictwem fal dźwiękowych. Nie za pomocą wibracji. Za pośrednictwem

twardego promieniowania. A może zawsze emitowali tego rodzaju promieniowanie.

DuBrose, wpatrując się w zahipnotyzowanego chłopca, z trudem przełknął ślinę. Pell ciągnął spokojnym, beznamiętnym głosem:

- Twarde promieniowanie. Bombardowanie genów - mutacja. Ale bardzo dziwny rodzaj mutacji. Jedyne możliwe spotkanie. Było to jakby biologiczne spotkanie dwóch krańcowo różnych gatunków. Spotkanie na poziomie umysłu. Rodzaju Homo z rodzajem X!

Reprezentowali sobą być może ostateczną formą życia na Ziemi. Ich rasa nigdy nie miała nic wspólnego z ludźmi; wykiełkowali z innych nasion w niewyobrażalnej, nawet dla siebie, przeszłości. I potrafili na swój sposób przemieszczać się w czasie. Nie przychodziło im to łatwo, bo istnieć mogli tylko w pewnych określonych, niemal niepowtarzalnych warunkach.

W świecie rodzaju Homo zaistniały nagle siedemdziesiąt cztery czasowe kopuły ochronne. Z wnętrza tych muszli rodzaj X patrzył na planetę tak fantastycznie dla niego obcą, jaką byłby dla ludzi wrzący gnejs pokrywający wzburzoną skorupę roztopionej Ziemi.

I przez godzinę wydobywało się z tych kopuł twarde promieniowanie, promieniowanie będące częścią podstawowej matrycy rodzaju X. Ludzka plazma genowa zareagowała. Uległa przeobrażeniu.

Rodzaj X, zanim przemiął, zdążył jeszcze przekazać kilku nie narodzonym osobnikom rodzaju Homo pewne utajone zdolności, niepojęte predyspozycje, które objawiły się dopiero przy wchodzeniu w opóźniony wiek dojrzewania. A wtedy były dla rodzaju Homo bezużyteczne.

Spadkobiercy umieli postrzegać trwanie w czasie. Ale zanim stali się do tego zdolni, byli już nieodwracalnie szaleni.

- To co pozostało z Niewypałów, musi być podtrzymywane przez jakiś rodzaj energii - ciągnął Pell. - Ci mutan-ci wyczuwają ją, a może nawet widzą...

- No a Ridgeley?

- Poszperałem trochę w dokumentacji. To pierwszy w praktyce przypadek, kiedy ci chorzy budzą się z letargu nie przebywając w sąsiedztwie Niewypału. Pamiętasz, co powiedział ten chłopiec, kiedy zobaczył... wyczuł... Ridge-leya?

- To ma związek z resztą materiałów - powiedział Du-Brose. - Istnieje kilka możliwych wyjaśnień. - Wskazał ruchem głowy ekran.

- Tak. Kомуś, kto potrafi postrzegać trwanie, dziecko musi się wydawać zupełnie płaskie. Nie, źle mówię. To będzie zależało od długowieczności tego dziecka. Gdyby miało dożyć stu lat, nie wyglądałoby płasko. Ale Billy utrzymywał, że wszyscy są za niscy z wyjątkiem Ridgeleya. Ridgeley rozciągał się, według niego, w dobrą stronę dalej niż ktokolwiek z obecnych wtedy w ambulatorium - ale nie tak daleko jak te błyszczące twory.

- Niewypały. Zaczekaj, Seth. Jeśli Billy może postrzegać trwanie, to mogłoby to oznaczać, że Ridgeley dożyje podeszłego wieku.

Pell chrząknął. - Czy uświadamiasz sobie, z jak dalekiej przyszłości musiały przybyć Niewypały? Nie można porównywać długości mrówek posługując się Mount Everestem w charakterze przymiaru. Jeśli czas trwania Ridgeleya jest dla percepcji Billy'ego zauważalnie długi, to musi on ciągnąć się dosyć daleko wzdłuż linii temporalnych.

- Wsuwasz pochopne wnioski. Za mało mamy danych...

- Słyszałeś, jak wypytywałem chłopca. Słyszałeś jego odpowiedzi. Patrz, jak interpretuje je integrator! - Pell wskazał kciukiem na ekran. - Co myślisz o tej liście? Pytałem naszego pacjenta, co wyczuwa - w naszym pokoju i...

Lista była kompletna i niezgodna ze stanem faktycznym. Wymieniała sprzęty znajdujące się aktualnie w gabinecie, wyposażenie, którego nie było tu już od lat, diatermę, której dostawę zapowiadano na następny tydzień, wirówkę będącą od miesiąca w naprawie i wiele materiałów, których w ogóle się nie spodziewano, włącznie z urządzeniami, których prawdopodobnie jeszcze nie wynaleziono.

- Teraz niewiele *znaczy* dla Billy'ego Van Nessa - podjął Pell. - Powiedział nam, co wyczuwa w tym pokoju w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Zwróć uwagę na wnioski wypływające ze związku tych słów. Wszystkie wskazują na trwanie, a Ridgeley ma z tym coś wspólnego. Kiedy zadawałem te pytania, przyświecał mi pewien cel, Ben.

DuBrose zwilżył językiem zeschnięte wargi. - No tak, a więc... jaki?

- Podejrzewam, że Ridgeley może pochodzić z przyszłości. Nie z tak niewyobrażalnie odległej przyszłości jak Niewypały, ale z przyszłości nam bliższej.

- Seth, na miłość boską! Nie ma żadnym dowodów...

- Żadnych. Wiem. A jedyny dowód, jaki uda mi się może zdobyć, będzie, będzie prawdopodobnie, empiryczny. Ale to jedyna odpowiedź, która pozwala ułożyć w całość wszystkie elementy tej łamigłówki.

- Jeśli zignoruje się zasady prawdopodobieństwa, rozwiązanie z sufitu można przyjąć dla każdego problemu - zaprotestował DuBrose. - Równie dobrze mógłbyś twierdzić, że Ridgeley jest goblinem, który znalazł lampę Alladyna!

- Niczego z góry nie przesądzam. To tylko hipoteza. Nic więcej. Billy Van Ness dysponuje darem postrzegania ponadczasowego. Z jego obserwacji trwania wynika, że - w przybliżeniu, dla Ridgeleya wynosi on mniej niż okres połowicznego rozpadu radu, ale tyle co *żelaza*. Gdyby chłopak był metalurgiem, mógłbym więcej z niego wyciągnąć. Nie wiem, jaki gatunek *żelaza* ma na myśli. Ale jak wynika z postrzegania ponadczasowego Billy'ego, trwanie Ridgeleya jest, z grubsza rzecz biorąc, równe średniej długości życia zwykłego *żelaza*.

- A ile to wynosi?

- Przekonamy się. Przejdźmy do mojego gabinetu, dobrze?

Gdy się tam znaleźli, Pell zarządał przesłania siecią telewizyjną informacji na temat Daniela Ridgeleya. - Teraz poczekamy i zobaczymy. Siadaj, Ben. O czym myślisz?

DuBrose opadł na poduszki fotela. - Wciąż mi się wydaje, że pochopnie wyciągasz wnioski. Mogą istnieć inne wyjaśnienia. Po co zaraz przyjmować najbardziej fantastyczną hipotezę?

- Nie odrzucasz jednak koncepcji, że Niewypały mogą pochodzić z przyszłości.

- To co innego - zaprzeczył nielogicznie DuBrose. - One nic nie robią. A do czego zmierza Ridgeley? Chce rozwalić cały sklepik? Wypełnia rozkazy Kalendera?

- Sekretarz Wojny to tępą zupką, ale nie zdrajca. Ridgeley może - i prawdopodobnie tak jest - działać na własną rękę. Może też znajdować się na żołdzie nieprzyjaciela. Przez cały czas, Ben, zastanawia mnie jedna rzecz: w jaki sposób Falangiści zdołali wyprowadzić to równanie. Oni nie są z przyszłości. Poziom ich techniki nie przewyższa zbytnio naszego, jeśli w ogóle go przewyższa. My panujemy nad tą stroną świata, Falangiści nad tamtą; ale żyjemy w tych samych czasach. Ani nie są nadludźmi, ani nie pochodzą z jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości. To tacy sami jak my śmiertelnicy. Ale Ridgeley - hmm, podejrzewam, że przybył tu z przyszłości i natknął się na konflikt, który go nie dotyczy. A może dotyczy w jakiś sposób? Nie wiem. - Pell skrzywił się. - No nic, zgłodniałem. Zamówmy coś na ząb. Jesteśmy na nogach całą noc, a już trzecia nad ranem. - Wyłączył pole siłowe strzegące jego biurka i rzucił kilka słów do mikrofonu.

- Co do raportu, który zamierzamy przedłożyć szefowi - powiedział dotykając palcem leżącej

przed nim świeżej porcji papierów i taśm - to jest już chyba zredagowany i gotowy do dostarczenia. Usunęliśmy wszystko, co niebezpieczne. Niezła robota.

- Co się tyczy Ridgeleya, Seth...

- Nie wszystko na raz. Podejrzewam, że Ridgeley ma coś wspólnego z tą aferą z równaniem. Nie ustaje w wysiłkach, by dostarczyć niebezpieczne informacje bezpośrednio do rąk szefa. Tak, od tej chwili będziemy na to uczuleni. Ta ostatnia przesyłka od Sekretarza Wojny - zwariowało siedmiu kolejnych techników. Pastor nie; nadal pracuje w tej swojej podniebnej samotni w Górach Skalistych. Ale niebezpieczeństwo jest teraz bliżej określone. Równanie musi być rozwiązane, zanim rozwiąże je nieprzyjaciel.

- Mogą oszaleć wszyscy technicy w kraju - zauważył DuBrose.

- Nad takim czymś pracować mogą tylko najwybitniejsze jednostki. Inni nie mają odpowiednich kwalifikacji. Ale to właśnie ci najlepsi są gwarancją, że nie przegramy wojny. To oni obmyślają szybko ofensywy i strategie obrony. Jeśli popadać będą w obłęd nasi najzdolniejsi technicy - a lista dotkniętych nim stale rośnie - i nieprzyjaciel przypuści szturm, nie będziemy mieli żadnych szans. Możemy się pocieszać tylko jednym. Tych techników da się wyleczyć.

DuBrose zastanawiał się przez chwilę nad tym, co usłyszał. Ach... tak, rozumiem, o co ci chodzi. Uciekli w szaleństwo, bo nie potrafili rozwiązać tego równania i nie mogli udźwignąć ciężącej na nich odpowiedzialności. Pokazać im rozwiązanie równania, a otrząsną się z tego. Prawda?

- Mniej więcej. *Żadna* z historii chorób tych pacjentów - postukał palcem w plik kart leżących na biurku - nie wskazuje na występowanie nieodwracalnych stanów patologicznych. Kiedy już urwał zatrzymując wzrok na czymś za plecami DuBrose'a.

- Cześć, Ridgeley - powiedział.

DuBrose zerwał się bezwiednie na równe nogi i odwrócił twarzą do kuriera. Ridgeley stał przy zamkniętych drzwiach z jak zawsze błyszczącymi oczyma i kamienną twarzą. W u-niesionej ręce trzymał coś tak jasnego i połyskliwego, że DuBrose nie mógł się zorientować, co to jest.

- To zbyt proste - odezwał się Ridgeley.

- A pan woli komplikacje, prawda? Nie wydaje mi się, żeby uznał pan to za proste.

- Nie?

- Skąd pan wie, o czym rozmawialiśmy? Jakież promienie skanujące?

- Coś w tym rodzaju - przyznał Ridgeley. Przedmiot w jego dłoni zadrżał lekko; wiązka niewiarygodnie jasnego światła oślepiła na chwilę DuBrose'a.

- A więc nie mylimy się. Pochodzi pan z przyszłości.

- Tak.

- Czemu pan tam nie wraca? - warknął DuBrose.

Po raz pierwszy dostrzegł jakiś wyraz na tej nieprzeniknionej twarzy - coś bardzo podobnego do strachu. Ale Ridgeley powiedział tylko: - Nie podoba mi się to. O ile się orientuję, nikt nie wie o mnie tyle, co wy dwaj. Tak więc...

DuBrose zerknął na Pella czekając na jakiś znak. Ale asystent nie podniósł się nawet z fotela. Uśmiechnął się tylko do kuriera i powiedział: - Za wcześnie wyłączył pan swój skaner. Nie wie pan, że w ramach regularnej kontroli zażyczyłem sobie przesłania na mój monitor wyciągu z pewnych akt. Pańskich akt, Ridgeley. Jeśli zostaniemy znalezieni martwi lub znikniemy, ktoś *zacznie* się zastanawiać, dlaczego korzystając po raz ostatni z sieci telewizyjnej pytałem o pana.

- Nie znajdą was - powiedział Ridgeley, ale w jego głosie nie było już takiej pewności. Wahał się.

Napięcie w pokoju rosło. Nagle w oczach kuriera znowu zapłonęło to niepoohamowane, radosne podniecenie.

- W porządku - wycedził. - Zrobimy to w sposób bar-

dziej skomplikowany. - Pomacał ręką za plecami, otworzył drzwi i wyslizgnął się na zewnątrz. DuBrose skoczył za nim, ale powstrzymał go opanowany głos Pella.

- Daj spokój, Ben. Tylko bez bohaterzczyzny. Nie masz nawet pistoletu.

DuBrose wydał niecierpliwy pomruk. - No to róbmy coś! Nie każemy... nie każemy zwinąć tego faceta? Albo...

- Zastanowię się - zachichotał Pell. - Nie przejmuj się tak. Za bardzo się podniecasz. Masz. - Rzucił na biurko niebieski, plastikowy klucz. - Może byś się tak odmeldował na parę godzin?

- Ja... co to jest? - DuBrose wziął klucz i oglądał go ze wszystkich stron.

- Niewielu ludzi ma takie, Ben - powiedział Pell. - Otwierają drzwi do superwyrafinowanego hedonizmu. Pokaż ten klucz na Dolnym Manhattanie w Rajskim Ogrodzie, a doświadczysz najpełniejszej dawki ekstrawersji, jaką tylko możesz sobie wyobrazić. To pomaga na ciśnienie. Spróbuj Gęsich Skórek, które tam serwują - to katharsis. Idź już, wynocha stąd. To rozkaz. Potrzebne ci coś w rodzaju... tego niebieskiego klucza.

- A ty? - spytał DuBrose. - Jeśli Ridgeley wróci...

- Nie wróci. Spływaj. Oczekuję cię rano odświeżonego i gotowego na wszystko. Odmaszerować! DuBrose wyszedł.

6

Zza krzywizny światła wylewał się różowo-szary brzask, a za nim wstawało opieszale słońce. Zimne światło wyluskiwało z mroku spokojną krainę. Widać już było maleńkie osady rozsiane z rzadka po kontynencie i tylko kilka płomienistych smug, które równie dobrze mogłyby znaczyć tory meteorów, nasuwało podejrzenie, że złudny jest ten spokój. Nawet na szarych bliznach miast -

Nowego Jorku i Detroit,

i San Francisco - z dziczy, która ongiś była miejskimi parkami, wypełzała zaborcza zielen.

Nieruchome powietrze cięły wirnikami helikoptery, ciągnące za sobą sznury transportowych szybowców. Wschodzące słońce połyskiwało tu i ówdzie na nielicznych srebrzystych, popękanych muszlach, pomnikach rasy X. Do terminali pneumowagonów zaczęli napływać wojskowi.

Przed świtem...

Postradało zmysły kolejnych trzech techników, w tym dwóch niezastąpionych specjalistów od elektroniki.

Późny ranek. Pell wszedł do gabinetu DuBrose'a uśmiechnięty i wesoły.

- Zrobiłeś użytek z tego klucza?

- Hmmm, tego... nie - przyznał DuBrose. - Byłem skonany. Zażyłem Twardego Snu. Lepiej się teraz czuję.

- Twoja sprawa - Pell wzruszył ramionami. - Mam ten raport w sprawie Ridgeleya. Jest wysoce zaufanym i pewnym pracownikiem Tajnych Służb. Nie tylko kurierem. Był odpowiedzialny za kilka podejrzanych akcji, które jednak przyniosły korzyść naszej stronie. Pracuje w tym fachu od siedmiu lat. Co jakiś czas znika. Nie podano żadnych przyczyn. Niezdyscyplinowany, ale... wartościowy.

- Dla kogo? - spytał DuBrose. - Dla nieprzyjaciela?

Pell spojrzał na niego zdziwiony. - Jest wartościowy dla nas, Ben. I to mnie zaskakuje. Wygrzebał skądś plany paru urzędów, które bardzo nam się przydały. Nigdy nie było żadnej wątpliwości co do jego lojalności.

- Zamierzasz coś z tym zrobić?

- Nie... jeszcze nie - rzekł powoli Pell. - Włożę tylko do swojego sejfu kilka dokumentów, tak na wszelki wypadek. Kombinację zna szef. Zapamiętaj.

DuBrose zmienił temat. - A co z szefem?

- Roztrzęsiony. Nerwowy. Nie wiem dlaczego. Dwie godziny temu wręczyłem mu ten materiał o równaniu - razem

ze związanymi z nim problemami, które mi się nasunęły - żeby nie zaczął węszyć podstęp. Przedłożyłem mu to jako materiał semiteoretyczny. Nie mogłem mu powiedzieć, jakie to pilne - gdyby się dowiedział, domyśliłby się wagi sprawy. Ale te dodatkowe pozycje nafaszerowałem słowami kluczowymi, od których będzie podświadomie stronił - fałszywymi wskaźnikami emocjonalnymi jego osobowości. Zacznie od przestudiowania materiałów dotyczących równania.

- Czy nie zwróci uwagi na rolę Ridgeleya?

- Zwaliłem to na zupaków. Powiedziałem, że Ridgeley starał się tylko spełnić swój obowiązek - dostarczyć przesyłkę do rąk własnych Dyrektora Departamentu Psychometrii. Nie mam pojęcia, czy

szefto przełknął, ale podsunąłem mu jeszcze coś do przemyślenia - kilka aluzji, które będzie teraz trawił. Tak na wszelki wypadek, gdyby *zaczai* się zastanawiać, dlaczego chciałem go odizolować i przyjąć na siebie rolę filtra. Załatwiłem to. Wkrótce dojdzie do wniosku, że nieprzyjaciel nastaje na jego życie. Po prostu próba zamachu. Prawdopodobnie trucizna. Niech sam do tego dojdzie. Zagrożenie osobiste tego rodzaju w najmniejszym stopniu go nie wzruszy.

- Aha. No a u mnie nic nowego. Billy Van Ness jest te raz całkowicie bierny. Jak zwykle karmienia dożylnie. Miałem też rozmowę z doktorem Pastorem. Telefonował z Gór Skalistych. Twierdzi, że do wieczora będzie miał rozwiązanie równania.

- Świetnie. Jak wygląda?

- Nie za dobrze. Powiadomiłem służbę medyczną stanu Wyoming, żeby miała się na baczności. Chociaż nie zauważyłem u niego szczególnie niepokojących objawów. Trochę za szybko mówił - ale żadnych odchyłeń psychopatycznych. Nie widać po nim, żeby przejmował się odpowiedzialnością.

- Nieźle - powiedział Pell. - Teraz chodź ze mną. Szeft chce się ze mną widzieć w sprawie równania.

- Już?

- On jest szybki.

Cameron siedział za biurkiem i patrzył, jak pada. Podejrzewał, że gdyby mógł wyjść przez drzwi, deszcz może by ustał; ale nic z tego. Już próbował. Brodzenie w głębokiej po kolana, niewidzialnej wodzie nie należało do przyjemności.

Ściany oglądane poprzez strugi zacinającego deszczu wydawały się szare i tejemnicze. Czuł delikatne bębnienie kropli spadających na jego odkrytą głowę, na twarz i na dłonie. Wkładał ogromny wysiłek w to, by się nie poruszać. Pod skórą skręcał się i wił.

Ma w głowie jakiś miernik, myślał, a wskazówka zbliżyła się niebezpiecznie do czerwonej kreski. Długo już tego nie wytrzyma. Co zatrzymuje Pella?

Deszcz przestał padać, gdy otworzyły się drzwi. Cameron spojrzał na grzbiety swych dłoni; były zupełnie suche. Tak samo blat biurka i dywan.

Pulsowanie rozsadzało mu czaszkę.

Właściwie żałował, że Pell z DuBrose'm przyszli. To oznaczało, że będzie musiał coś robić. Dopóki pozostawał w idealnym bezruchu i starał się o niczym nie myśleć, niełatwo było go przyłapać. Deszcz niech sobie pada, ale dopóki powstrzymywał się od sięgania, przedmioty nie będą mu się wyslizgiwały z palców ani rozpadały w mydlane bańki.

Cameron odetchnął głęboko.

Głos, który z siebie wydobył, był bardziej opanowany, niż się tego spodziewał.

- Ben?

- Chciałem, żeby tego posłuchał - wyjaśnił Pell. - Ma pan dla mnie odpowiedź?

- Chyba tak - zaczął ostrożnie Cameron. - Nie dostarczyłeś mi wszystkich niezbędnych informacji, ale może i tak się uda. Jakiemu celowi ma to służyć?

- Wolałbym tego jeszcze nie zdradzać. To takie semiteo-retyczne rozważania. - Pell usiadł; DuBrose poszedł za jego przykładem.

- Ja bym powiedział, że to zupełna teoria. Zastanówmy się. Mamy tu równanie oparte na stałych, które przeszły w zmienne. Chciałbyś znać jego przypuszczalny wpływ na rozmaite typy osobowości o sporym zasobie wiedzy - osobowości posiadających przygotowanie naukowe. I zakładasz, że rozwiązanie tego równania jest potężnym czynnikiem decydującym o przetrwaniu - ci osobnicy muszą je rozwiązać. Zgadza się, Seth?

Pell skinął głową i założywszy nogę na nogę spoglądał spod na wpół przymkniętych powiek.

- Zgadza się - przytaknął niedbale. - Co pan na to?

- Pominąłeś jedno. Jeśli w tych okolicznościach technikom nie uda się rozwiązać tego problemu, postradają zmysły.

- Mmmm. To oczywiste, szefie.

Cameron spojrział na coś leżącego na jego biurku, zawahał się i chyba stracił wątek. - No tak... hmmm, tego, dobrze, równanie, którego istnienie zakładasz, implikuje użycie prawdy jako takiej w charakterze zmiennej. A raczej kilku zestawów prawd - przy czym wszystkie logicznie uzasadnione i ścisłe. W pewnych warunkach, dajmy na to, jabłko spada na ziemię; w innych warunkach to samo jabłko ulatuje w górę. W pierwszym przypadku obowiązuje znane prawo grawitacji. W drugim tak się nie dzieje; podstawia się wartość arbitralną, przecież jednak prawdziwą.

- Czy mogą współistnieć wzajemnie przeciwstawne prawdy? - spytał Pell.

- To mało prawdopodobne - zawyrokował Cameron. - Według mnie nie. Załóżmy jednak, że takie równanie istnieje - teoretycznie. Zwykły technik posiadający kwalifikacje do wykonywania skomplikowanych prac ma wpojone solidne podstawowe wiadomości z zakresu fizyki; niektóre rzeczy uważa za niepodważalne. Takie jak na przykład prawo grawitacji. Albo przewodnictwo ciepła. Jeśli zanurzy obie dłonie we wrzącej wodzie i prawą sobie sparzy, a lewa mu zamarźnie, nie będzie w stanie tego pojąć. Jeśli zajdzie wystarczająco wiele takich zdarzeń... - Cameron urwał.

- Tak? - ponaglił go Pell.

- No to... poszuka schronienia w szaleństwie. Jego wyobraźnia, jego umysł nie będzie dostatecznie elastyczny, by objąć cały nowy zestaw prawd zmiennych. To byłoby jak przechodzenie przez lustro. Alicja dokonała tego bez trudu, ale była dzieckiem. Dorosły oszalałby.

- Czy dotyczy to każdego rodzaju dojrzałego umysłu?

- Lewis Carroll - powiedział w zamyśleniu Cameron - rozwiązałyby to twoje hipotetyczne równanie, Seth. Tak, jestem tego pewien.

Pell pokiwał głową - Prawdziwie elastyczny umysł, nie ograniczony zbyt wieloma ogólnie

przyjętymi wartościami; facet wymyślający niestworzone historie. O to panu chodzi?

- Człowiek, który sam ustala sobie reguły. Tak, o to mi chodziło.

- Chciałbym wyszukać paru takich ludzi i przebadać ich psychikę - powiedział Pell. - Ma pan jakieś sugestie?

- Nie tak na poczekaniu. Przeciętny umysł wykształconego człowieka z definicji nie jest elastyczny; można go porównać do wachlarza. W sporym wycinku tego wachlarza jest miejsce na wyobraźnię, ale cenzorską kontrolę nad całością sprawuje ta węższa część - zawierająca akceptowane powszechnie prawa natury. Może uda mi się opracować dla ciebie jakiś proces selekcji, Seth.

- Z góry dziękuję - powiedział Pell wstając.

Znalazłszy się z powrotem w gabinecie DuBrose'a obaj mężczyźni spojrzeli na siebie z zakłopotaniem. Pell zachichotał.

- Jak dotąd, idzie nieźle. Znaleźć człowieka w rodzaju Lewisa Carrolla. Przychodzi ci do głowy jakiś kandydat?

- Takiego można wytypować tylko w drodze selekcji. Są jeszcze matematycy pisujący bajki?

- Ani jednego. Nie ma też bajkopisarzy zajmujących się w wolnych chwilach matematyką. Ale ja nie uważam Alicji za bajkę, Ben.

- A co to jest? Alegoria?

- Logika symboliczna wyprowadzona przepięknie z arbitralnie uznanych prawd. Czysta fantazja - najczystszej wody. Tak, nie obędzie się bez przeprowadzenia selekcji. Może szef coś wymyśli. Na razie posegreguj techników według ich upodobań pozazawodowych; skorzystaj z dużego archiwum na dole. Ja spróbuję określić psychologiczną sylwetkę człowieka, o którego nam chodzi.

- A więc do dzieła - powiedział DuBrose.

Pracę przy dyktografie przerwał mu dwadzieścia minut później brzęczyk monitora. Na ekranie pojawiła się pomarszczona, gnomowata twarzyczka doktora Emila Pastora.

DuBrose zerwał się na równe nogi naciskając jednocześnie przycisk wzywający Pella. - Doktorze Pastor, jak to dobrze, że się pan odezwał. Jest coś nowego?

Zmierzwiona głowa potaknęła. W błękitnym tle coś zamigotało; wyglądało to na ptaka. Błękitne tło? Co...

- Gotowe - oznajmił Pastor. - Zrozumienie tego ukazało mi nierealność wszelkiego stworzenia.

- A więc rozwiązał je pan?

- Czy rozwiązałem... równanie? Nie, nie do końca. Ale tyle, ile trzeba. Ile trzeba, by wskazać mi drogę. Teraz, jeśli tylko zechcę, mogę rozwiązać i resztę. O, pan Pell.

- Witam, doktorze - powiedziała Pell wkraczając w zasięg skanera. - Prosiłem pana DuBrose'a,

żeby mnie powiadomił, gdy się pan zgłosi. Dziękuję, Ben. No, straciłem coś z rozmowy?

- Doktor Pastor twierdzi, że potrafi rozwiązać równanie - poinformował go DuBrose.

- Ale tego nie zrobię - oznajmił Pastor mrugając oczyma.

Pell nie okazał zdziwienia. - Czy mógłby nam pan wyjaśnić dlaczego?

- Dlatego, że nic się już nie liczy - powiedział Pastor. - Właśnie to odkryłem. Rozstrzygnąłem mój problem. Wszy-

stko jest puste w środku jak mydlana bańka. Istnieje po prostu na skutek pewnej konsekwencji woli, akceptacji oczekiwanego..

Oszalał.

DuBrose zauważył, jak ramiona Pella nieznacznie opadają.

- Chciałbym to z panem przedyskutować osobiście - powiedział Pell. - Mogę przylecieć do pańskiej samotni? Gdyby wyłączył pan, z łaski swojej, pole siłowe, kiedy będę...

- Och, tego już nie ma - oznajmił pogodnie Pastor. - Przestałem w nie wierzyć i znikło. Znikł też mój dom - przeważająca jego część. Zostawiłem stanowisko łączności telewizyjnej i kawałek ściany, bo obiecałem się z panami skontaktować. Ale teraz... sam nie wiem. O czym będziemy rozmawiali?

- Może o równaniu? - zasugerował Pell. Przez twarz Pastora przemknął cień.

- Nie, nie chcę o tym dyskutować.

DuBrose zauważył dyskretny ruch ręki Pella. - Przepraszam na chwilę - bąknął i wyslizgnął się szybko z gabinetu. Połączenie się z pogotowiem medycznym stanu Wyoming i polecenie wysłania helikoptera sanitarnego na szczyt, na którym przebywał aktualnie Pastor, zajęło mu trzy minuty.

Wrócił do gabinetu i stanął za Pellem. Pastor wciąż mówił.

- ...nie potrafiłbym wytłumaczyć panu zbyt precyzyjnie tej teorii. Wchodzą tu w grę pewne zmienne, których na pewno by pan nie zaakceptował. Ale są one zadziwiająco skuteczne w praktyce. Podziałalem po prostu siłą woli na mój dom i ten znikł.

- I jest to integralny składnik równania?

- Och, naturalnie.

- Nie bardzo rozumiem.

- Coś w tym rodzaju - powiedział Pastor. Jego poryta

siecią zmarszczek twarz wykrzywiła się w wysiłku koncentracji. Podniósł rękę i wycelował w niego palec. DuBrose poczuł nagle, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

- Pan nie istnieje - powiedział Pastor do Pella.

Seth Pell znikł.

Cameron siedział w swym gabinecie i zabierał się właśnie do spożycia lunchu. Na biurku przed nim stała zastawiona taca. Zanurzył łyżkę w cebulowej zupie i podniósł ją do ust. Krawędzie łyżki pogrubiały, zafalowały i rozciągnęły się w metaliczne wargi.

I pocałowały go.

Gabinet nie uległ zmianie. Zakrawało to mimo wszystko na pomniejszy cud. Biurko mogło przecież rozpostrzeć skrzydła, monitor wziąć nogi za pas na swej masywnej, plastikowej podstawie, a Biała Królowa wskoczyć do wazy z zupą. Ale gabinet pozostał taki, jaki był. Znajoma logika. Gnomowata twarz Emila Pastora mrugała do DuBrose'a z ekranu, a za monitorem znajdowały się uchylone drzwi do gabinetu Pella.

- Coś w tym rodzaju - powtórzył spokojnie Pastor. - Tak właśnie to robię, panie DuBrose.

Niesklasyfikowana psychoza - ale tymczasowe rozpoznanie było możliwe. Niemożliwe w tym wszystkim było to, że psychoza Pastora opierała się na paradoksie. Był obłąkany i wierzył, że siłą woli potrafi kłaść kres istnieniu obiektów materialnych.

I rzeczywiście to potrafił, Seth Pell... znikł w mgnieniu oka.

DuBrose bał się poruszyć. Paraliżowało go odrętwienie wywołane szokiem. Ale jego umysł zaczynał powoli budzić

się do życia i dostrzegać niebezpieczeństwo. Gdyby teraz ktoś wszedł do gabinetu - dyrektor, czy ktokolwiek - chwiejna równowaga Pastora mogłaby ulec zakłóceniu. Ten człowiek był wrażliwy i znajdował się w posiadaniu bomby, która mogłaby rozsadzić - całe stworzenie?

Tam, gdzie sparaliżowana jest zdolność planowania, do akcji wkracza nawyk. DuBrose wyczuwał podświadomie, że w takiej sytuacji przedsięwziąć należy wiele środków ostrożności, ale przede wszystkim trzeba uspokoić Pastora. Chociaż od jego praktyki lekarskiej w Instytucie Psychometrii i w sanatoriach dla obłąkanych upłynęło już wiele lat, nabyte tam odruchy przyszły mu teraz w sukurs. Wiedział, że ma przed sobą pacjenta.

DuBrose przestawił świadomie swój umysł na bieg jałowy. Studiował twarz Pastora. Obserwowalne symptomy? Historia choroby? To podniebne laboratorium W Górach Skalistych zagracone nie pasującymi do siebie sprzętami, te niekonwencjonalne barwne „opowieści” z projektora Bajkowej Krainy, sam fakt, że z całej gamy fantastycznych możliwości, jakie niewątpliwie oferowało równanie, Pastor opanował akurat tę szaloną zdolność kontrolowanego unicestwiania - o czym to świadczyło? Był gdzieś klucz do osobowości tego człowieka, coś znajomego, co dopiero teraz zaczynał wyczuwać.

Sentyment. Fotografia żony i dzieci Pastora - odwołać się do emocji?

Wrodzona amoralność, brak empatii, straszliwy egotyzm, wszystko to ze zwykłej ciekawości mogło popchnąć Pastora do starcia wszelkich śladów istnienia człowieka. Tak jak dziecko niszczy

zabawkę.

Dziecko jest dla zabawki tym, czym doktor Emil Pastor jest dla rodzaju ludzkiego...

To było to. Podświadomy motyw. Mordercza kwintesencja racjonalizacji. Szaleniec uwierzy, że jest Chrystusem, porani się, a potem będzie święcie wierzył, że bliźni pojawiły się same z siebie w wyniku cudu. Dowód potwierdzający.

Ale umysł Pastora pracował jaśniej. Najpierw wybrał i przyswoił sobie władzę, która będzie dowodziła realności jego roli; na razie mógł jeszcze nie uświadomić sobie w pełni, że jest Bogiem.

Skrajny egotyzm paranoidalny. Perfekcyjnie zracjonalizowany obłąd!

- Nie widział pan, co zrobiłem? - spytał Pastor. - Nie patrzył pan...

DuBrose był raczej zaskoczony, że Pastor przemówił, a nie zaczął krzyczeć. - Nie, widziałem, widziałem. Tylko mnie to zdziwiło. Moja reakcja była dosyć złożona. Obejmowała instynktowną próbę racjonalnego wytłumaczenia sobie tego zjawiska. - Dobierał rozważnie słowa kładąc na nie, gdzie trzeba, akcent emocjonalny.

Pastor spojrział na niego zdumiony. - Ale wytłumaczenia czym? Pan nie jest w stanie tego robić. Tylko ja mogę. Niemożliwe, żeby pojął pan, że wszystko jest puste jak bańka mydlana. Instynktownie akceptuje pan to, czego się spodziewa. Ja to potrafię przyjąć do wiadomości, bo jestem sceptykiem.

- Chyba ma pan rację - bąknął DuBrose. Zbyt skwapliwe przytaknięcie zabrzmiałoby fałszywie; ale prowokowanie sporu byłoby z kolei niebezpieczne, bo fizyk mógłby przecież w bardzo przekonujący sposób zademonstrować słuszność swojej tezy. - W każdym razie - ciągnął DuBrose - cieszę się, że pamiętał pan o obietnicy skontaktowania się ze mną. Jest pan w posiadaniu niemal nadprzyrodzonej mocy. A może... czy ona jest nadprzyrodzona?

Pastor uśmiechnął się. - Nie wiem. Jeszcze nie ochłonąłem. Nie znam jeszcze rozmiarów mojego daru.

- Rozumiem, to odpowiedzialność.

Fizykowi nie bardzo się to spodobało. Skrzywił się lekko. DuBrose dodał szybko: - Nie zamierzam wypytywać pana o dalsze plany... - Omal nie użył słowa doradzać. Ale odkrył nagle klucz do osobowości Pastora. W historii zdarzały się już analogiczne przypadki: odizolowana od świata;

samotnia w górach zagracona dobranymi bez smaku, kłócącymi się ze sobą sprzętami - gniazdo sroki - i człowiek, który nie komponował wprawdzie niekonwencjonalnych metod terapii kolorami, ale za to studiował okultyzm. Doktor Emil Pastor miał wiele wspólnego z Hitlerem.

- Moje plany? - powiedział podejrzliwie. - Nie chcę...-zawahał się.

- Bardzo mnie interesują - nalegał DuBrose. - Potrafi pan czynić cuda, doktorze Pastor. Ale p wiele lepiej orientuje się pan w swoich możliwościach niż ja. Pamięta pan, jak pokazał mi jedną ze swych kompozycji Baśniowej Krainy?

- Pamiętam - powiedział Pastor. - Ale nie poświęcił jej pan wiele uwagi.

- Chciałem zobaczyć więcej, ale zdawałem sobie sprawę, że jest pan zajęty. To co zobaczyłem, wystarczyło, bym sobie uświadomił, jak twórczym umysłem musi pan dysponować. A teraz będzie pan w stanie komponować na nieskończenie większą skalę.

Pastor pokiwał głową. - Na razie unieście tylko kilka obiektów. Myśli pan, że źle zrobiłem? Nie wiem, czy potrafię tworzyć...

- Dobrze i źle to wartości arbitralne. Można wznieść się ponad nie. - Niebezpieczne, ale konieczne słowa. DuBrose starał się urabiać podświadomość Pastora, która wiedziała, że jej właściciel jest Bogiem, chociaż świadomy umysł jeszcze nie doznał tego objawienia. - Jak już powiedziałem, cieszę się, że się pan ze mną skontaktował. Doceniam to. I chociaż nie wiem, co pan dalej zamierza, jestem pewien, że będzie to coś... wybitnego. Będę czekał na jakąś niezwykłą kompozycję.

- Ale ja nie poczyniłem jeszcze żadnych planów - powiedział bezradnie Pastor.

- Ta moc jest jeszcze dla pana czymś nowym. Będzie się pan chyba musiał nauczyć, jak z niej korzystać, by uzyskiwać możliwie najlepsze efekty - nie mylę się? Nawet jeśli przez nierozwagę popełni pan kilka pomyłek, nie będzie to

miało większego znaczenia - dobrze i źle to wartości arbitralne. Ale ja chciałbym zobaczyć, czego pan dokona. Czy będzie to możliwe?

Ten potok słów zdekoncentrował Pastora. - Widzi mnie pan przecież.

- Ekran monitora ogranicza pole widzenia. Czy pozwoliliby mi pan przylecieć helikopterem do pańskiego laboratorium? Proszę nie zapominać - mówił DuBrose - że może pan robić, co się panu żywnie podoba. Nikt nie może pana teraz powstrzymać. Niech pan zapomni o moich pomysłach, jeśli którykolwiek z nich się panu nie spodobał. Nie mogę opanować mojego entuzjazmu. Czasami mówię coś, zanim dobrze pomyślę. Nieraz coś mi się wyrwało i potem żałowałem. Gdybym był bystry, planowałbym swoje posunięcia zawczasu. Ale... - wzruszył ramionami.

- Planowanie to mądra rzecz - przytaknął Pastor. - Tak, bardzo mądra! Chcę się zastanowić. - Ekran nagle ściemniał.

DuBrose postąpił kilka kroków i chwycił się krawędzi biurka. Całym jego ciałem zaczęły wstrząsać niekontrolowane dreszcze.

Zapanował nad drgawkami i połączył się ponownie ze służbą medyczną stanu Wyoming. Zgłosił się ten sam lekarz co za pierwszym razem.

- Czy helikopter sanitarny wyleciał już do Pastora?

- Witam, panie DuBrose. Tak, wysłaliśmy go od razu. Powiedział pan, że to pilne.

- Odwołajcie go. To podwójnie pilne. Niech wasi ludzie trzymają się z dala od pastora.

- Ale jeśli jest obłąkany... czy jest agresywny?

- To masowy ludobójca - powiedział ponuro DuBrose. - Ale dopóki siedzi tam w chmurach, na

dachu Gór Skalistych, wszystko jest OK. Mam nadzieję. Nie chcę, żeby zakłócano mu spokój. Nie wolno go niepokoić. Odwołać helikopter.

- Zrobi się. Powiadomię pana.

- Dobra - rzucił DuBrose, rozłączył się i wybrał numer Sekretarza Wojny. Gdy ponura, surowa twarz Kalendera pojawiła się na ekranie, był już gotowy,

- Potrzebuję pomocy - powiedział bez wstępów. - Pan, panie Sekretarzu, jest jedynym człowiekiem, który może to usankcjonować. Chodzi o podjęcie środków pozaprawnych. Ale jest to absolutnie konieczne.

- Pan się nazywa Ben DuBrose - powiedział Kalender. - No więc? W czym rzecz?

- Doktor Pastor...

- Czy rozwiązał równanie?

- Postradał zmysły - powiedział DuBrose. Kalender skrzywił się.

- Tak jak tamci. No cóż...

- Gorzej niż tamci. Pamięta pan tego pacjenta z sanatorium... M-204? Tego, który potrafił neutralizować grawitację. Pastor posiadał o wiele niebezpieczniejszą umiejętność.

Surowa twarz Kalendera zmieniła wyraz. Był zupakiem, ale znał się na swojej robocie.

- Jak niebezpieczną? Gdzie on jest?

- W swoim laboratorium w Górach Skalistych. Rozmawiałem z nim właśnie przez wideofon. Myślę jednak, że przez jakiś czas będzie zajęty obmyślaniem planów. Poza tym oczekuje mnie. Można na niego nasłać helikopter i rozwalić, zanim zdąży się odgryźć.

- Jak się odgryźć?

- Powodując zniknięcie helikoptera - powiedział ostrożnie Du Brose. - Powodując zniknięcie Gór Skalistych, albo zniknięcie całego świata.

Wargi Kalendera rozchyliły się. Wzrok mu stwardniał.

- Ja nie zwariowałem - ciągnął pośpiesznie DuBrose. - Sam nie pracowałem nad równaniem. Pastor pokazał mi tylko próbkę swoich możliwości. Skierujcie na niego wiązkę skanującą, ale uważajcie, żeby jej nie wykrył. Zniszczył już większość swojego laboratorium.

- To fantastyczne - wykrztusił Sekretarz Wojny.

Monitor zabuczał. DuBrose obrócił tarczę, ujrzał pojawiające się w rogu ekranu zarysy twarzy i natychmiast przerwał połączenie. Skinął głową Kalenderowi,

- To Pastor. Znowu chce ze mną rozmawiać. Niech pan przejdzie na podgląd.

Twarcz Kalendera odpłynęła z ekranu, a jej miejsce zajęła gnomowata fizjonomia Pastora. - Panie

DuBrose?

- Zdążył pan w ostatniej chwili. Właśnie wychodziłem...

- Niech pan nie przylatuje. Zmieniłem zdanie.

- Co?

- Przemyślałem wszystko - powiedział powoli Pastor - i dostrzegłem pewne możliwości. Nie uświadamiałem ich sobie przedtem w pełni. Byłem upojony. Z początku. Ale kiedy usiadłem i pomyślałem, zdałem sobie sprawę, co oznacza dysponowanie tą mocą. Nie zamierzam z niej korzystać. Nie jestem do tego stworzony.

- Tak pan zdecydował? - spytał DuBrose.

- Nie zgadza się pan ze mną?

- Domyślam się, że ma pan swoje powody. Czy mogę je poznać?

- Podejrzewam, że to może być... próba pokory. Wiem, że mam władzę. To wystarczy. Wiem, że wszystko jest puste w środku. To też wystarczy. Na tej górze zostały mi ukazane królestwa i potęgi tego świata. Wodzony byłem na pokuszenie. Ale nigdy już nie uczynię użytku z mego daru.

- Co pan zamierza?

- Rozmyślać - odparł Pastor. - Myśli są jedyną realną *rzeczą* w złudnym świecie. Gautama to wiedział. Wymazuję całą moją przeszłość. Zbyt pochłaniały mnie fałszywe twory... technika... - uśmiechnął się leniwie. - Tak więc nie będę wykorzystywał mojej mocy. Zostałem nią obdarzony na próbę. I z próby tej wyszedłem zwycięsko. Wiem teraz, że ponad wszystko liczy się medytacja.

- Uważam, że mądrze pan postępuje - powiedział DuBrose. - Zgadzam się z panem.

- Pan rozumie, dlaczego nie wolno mi więcej posługiwać się moim darem.

- Tak - powiedział DuBrose - ma pan rację. A zniszczenie własnego laboratorium ma tutaj wymiar symboliczny. Było symbolem pańskiej przeszłości i jestem przekonany, że właśnie o dokonanie takiego zniszczenia chodziło.

- Tak pan uważa? Tak, chyba... tak. Moja przeszłość znikła. Mogę teraz wejść bez obciążeń w nowe życie medytacji.

- Zniszczył pan całą przeszłość?

W oczach Pastora pojawiła się czujność. - Całą moją... a co?

- Laboratorium. Jeśli pozostawi pan za sobą choć jedną żywą cząstkę swej przeszłości, będzie ona pana krępować, prawda? A to laboratorium jest symbolem.

- Stoi jeszcze jedna ściana - mruknął Pastor.

- A powinna stać?

- Ale przysięgłem nie korzystać więcej ze swej mocy. Ta ściana nie będzie miała znaczenia.

- Jest symbolem reprezentującym prawdę - powiedział DuBrose. - On będzie miał znaczenie. Musi pan *zaczynać bez obciążeń*. Jedyna więź z przeszłością teraz, a...

- Nie użyję więcej tego daru!

- Nie doprowadził pan do końca swojego zadania. Ta moc została panu dana po to, by zniszczył pan wszelkie symbole swojej przeszłości. Dopóki nie wykona pan tego nakazu, nie będzie pan wolny. Nie będzie pan mógł wejść w nowe życie.

Na ustach Pastora pojawił się grymas niezdecydowania. - Ja... czy muszą? Uważa pan, że... o to chodzi?

- Ja to wiem na pewno. To ostatni symbol. Niech pan go zniszczy. Zniszcz go pan!

- No dobrze - przystał Pastor. - Ale to będzie ostatni raz, kiedy zrobię użytek z mego daru.

- Niech pan tak ustawi kamerę, żebym widział, jak ściana znika, dobrze? - poprosił DuBrose. - Chcę się upewnić, co do pańskiego ostatecznego sukcesu.

Twarz Pastora odpłynęła w bok; po ekranie przesunęła się panorama górskiego masywu, a potem w kadrze pojawiła się na wpół zburzona ściana laboratorium stercząca na tle zimnego, szarego nieba.

- Niech pan stanie tak, żebym pana widział - powiedział DuBrose. - Dobrze.

- No... ale... DuBrose, czy ja muszę...

- Musi pan.

Pastor spojrzał na ścianę.

Ściana znikła.

- Wspaniale - powiedział DuBrose. Nie ma już ostatniego symbolu.

- Nie. Na twarzy Pastora malowało się zakłopotanie. - Zapomniałem...

- O czym?

- O monitorze. On jest ostatnim... Ekran zgasł.

Powróciła twarz Kalendera. Sekretarz Wojny był zlany potem.

- Ma pan rację, DuBrose. Ten człowiek nie może pozostać wśród żywych.

- To niech go pan każe zabić. Ale ostrożnie. Będziecie musieli wziąć go przez zaskoczenie.

- Poradzimy sobie. - Kalender zawahał się. - Dlaczego nakłonił go pan do zniszczenia tej ściany? Tylko po to, żeby mnie przekonać?

- Częściowo.

- Ale utrzymywał przecież, że nie będzie wykorzystywał więcej swej mocy...

- Musiałem się upewnić - wyjaśnił z rozdrażnieniem DuBrose. - Teraz tak twierdzi. Ale jak długo potrafi się powstrzymywać? Jeśli ja zdołałem jednak namówić go do jej użycia, to diabły siedzące się w jego podświadomości zdołają w końcu dokonać tego samego. Gdyby stanowczo

odmówił zniszczenia tej ściany, obojętnie jak usilnie bym nałagał, być może doszedłbym do wniosku, że można pozostawić go przy życiu. Ale nawet wtedy...

- Czy on potrafi zniszczyć... co zechce?

- Co tylko zechce - przyznał DuBrose. - Innymi słowy wszystko. A ponieważ raz złamał dane sobie słowo, uczyni to ponownie. Zabijcie go. I to szybko. Zanim zlezie z tej góry.

- Wyślę samolot bojowy z Denver - powiedział Kalender. - Chciałbym... no, ale teraz nie pora na to. Do zobaczenia.

Jego twarz znikła z ekranu i natychmiast zgłosił się lekarz ze służby medycznej stanu Wyoming.

- Odwołałem helikopter sanitarny, panie DuBrose...

- Zdążył pan?

- Tak. Odlecieli tylko na kilka kilometrów. Wydał pan jakieś inne dyspozycje, czy...

- Tak, inne dyspozycje zostały już wydane - przerwał mu DuBrose. - Niech pan zapomni o całej sprawie. Do widzenia.

Wyłączył monitor.

Pokój był teraz tak pusty i cichy. W otworach okiennych widniało błękitne niebo i słoneczne łąki pagórkowatego krajobrazu roztaczającego się szeroko ponad Dolnym Chicago. Czas zwolnił swój bieg i zatrzymał się.

Teraz wiedział już na pewno, że nie zobaczy więcej Setha Pella.

8

Nikt poza nim nie może się o tym dowiedzieć. Zniknięcie Pella trzeba będzie na razie jakoś wytłumaczyć. Bo nawet cień rzeczywistego problemu nie może dotrzeć do Camerona; dyrektora trzeba chronić przed uświadomieniem sobie ciężącej na nim odpowiedzialności, gdyż inaczej postrada zmysły.

Nie było nawet czasu na żal.

DuBrose wszedł do gabinetu Pella i przystanął w milczącej zadumie. Pustka pokoju przenikała go dreszczem. Nie dalej jak przed godziną Seth siedział na tym biurku machając w powietrzu nogami i rozprawiając swym leniwym, niedbałym głosem. A gdyby tak ofiarą Pastora padł nie Pell, a on, DuBrose? Jak zareagowałby na to Seth?

Na pewno rozważnie.

DuBrose miętosił w palcach papierosa i wpatrując się w biurko usiłował sobie wyobrazić siedzącego na nim Seta z siwą czupryną błyszczącą w świetle białych lamp i lekko rozbawioną, młodzieńczą twarzą.

- I co ty na to, Seth?

- Co ja na co? - Tak, to było to. Bez troski, nonszalancki, ale...

- Wiesz na co. Ty nie żyjesz.

- No i w porządku. Ty przejmujesz pałeczkę. Bierz się do roboty, Ben.

- Ale jak? W pojedynkę nie można...

- Och, przestań biadolić. Dasz sobie radę. Może cię załamać tylko to poczucie odpowiedzialności. Miałeś już jeden dobry pomysł. Szef nie może się dowiedzieć o mojej śmierci.

- Będzie żądał jakichś... wyjaśnień!

- No to wymyśl coś na jego użytek. Wysł pamięć. Czy nie przewidywałem komplikacji?

- Ale nie aż takich. Chodziło o Ridgeleya.

- No, no?

- A, rzeczywiście. Mówiłeś, że na wszelki wypadek umieściłeś w swoim sejfie pewne dokumenty. I że szef zna kombinację.

- Bystry chłopak. To przecież dobry wybieg. Jesteś tak przyzwyczajony do analizowania problemów wspólnie ze mną, że samodzielne myślenie sprawia ci trudności. No nic. Wyobrażaj sobie mnie, kiedy tylko chcesz. Wkładaj słowa w moje usta. To troszeczkę pomoże.

Pomogło. Seth nie siedział na biurku. W ogóle go tam nie

było. Ale na krótką chwilę DuBrose odtworzył Seta Pella tak samo przekonywająco, jak unicestwił go Pastor.

DuBrose skierował się do gabinetu dyrektora. Cameron stał przy oknie; odsunął szybę i patrzył w ponury, czerwony mrok Przestrzeni. Przez otwarty zawór wpadał łomot wielkich maszyn. DuBrose zauważył, że południowy posiłek Camerona stoi nietknięty.

- O co chodzi, Ben?

- Chciałbym, żeby pan otworzył sejf Seta. Cameron odwrócił się od okna. Jego twarz znajdowała się pod żelazną kontrolą. - Dlaczego? Gdzie jest Seth?

- Właśnie dostałem od niego wiadomość - powiedział ostrożnie DuBrose. - Prosi, żeby otworzył pan jego sejf. To wszystko.

Cameron zawahał się, przyglądał swoje siwe włosy i skrzywił się. Bez słowa minął DuBrose'a i wszedł do gabinetu Pella. Sejf był podwójnie zabezpieczony, dostrojony na otwieranie się tylko po rozpoznaniu promieniowania wysyłanego przez mózg Pella lub Camerona.

Płyta odsunęła się. W środku, oparta o półkę, stała na sztorc pękata koperta. Była zaadresowana do Camerona; ten rozciął ją i wyciągnął arkusz papieru oraz drugą, zapieczętowaną kopertę.

Oczy dyrektora przebiegły szybko list. Wręczył go Du-Brose'owi.

DuBrose przeczytał:

Bob,

Musiałem wyjść. Nie mogę na razie zdradzić ci szczegółów. Dopóki nie wrócę, niech zastąpi mnie Ben. On jest we wszystkim zorientowany. Zдай się całkowicie na niego. Gdybyś nie mógł go złapać, sam otwórz tę kopertę. Do zobaczenia.

Seth.

Cameron podał mu kopertę. - Masz. Powiedz mi tylko, co tu jest grane?

- Przede wszystkim chciałbym wiedzieć - powiedział DuBrose - czy zastosuje się pan do instrukcji Seta.

- Tak. On wie, co robi.

- Wydał mi pewne polecenia.

Cameron uśmiechnął się. - Przygotowują na mnie zamach? Czy o to chodzi? - DuBrose wiedział, że to Pell zasugerował szefowi ten pomysł, aby ukryć przed nim prawdę. Ten wybieg mógł zdać egzamin.

- Może o to, może nie o to.

- Nie jestem dzieckiem, Ben.

- Szefie, wypełniam tylko polecenia Seta.

- Niech ci będzie - urwał dyskusję Cameron. - Wypełniaj je i rób swoje. Daj mi tylko znać, kiedy będziesz potrzebował mojej rezygnacji. - Wyjął z sejfu teczkę i wsunął ją pod pachę ze słowami: - Już przedtem chciałem o to poprosić. Nad tą nową linią propagandy... trzeba będzie chyba trochę popracować.

To był nieszkodliwy materiał. DuBrose dobrze wiedział, co to jest. Spoglądał na szerokie plecy wychodzącego z gabinetu Camerona.

Dyrektor zapomniał zamknąć sejf Pella. DuBrose sam zasunął płytę marszcząc w zamyśleniu czoło. To nie było w stylu Camerona. Był przecież drobiazgowy, jeśli chodzi o szczegóły. I nigdy nie narzekał na brak apetytu.

A jednak nie tknął lunchu.

Czyżby, mimo wszystko, Cameron odkrył w jakiś sposób prawdę? Czyżby to początki manii prześladowczej?

Symptomy: roztargnienie, brak apetytu...

Cameron patrzył na dokumenty zarysowujące nową politykę indoktrynacji, ale nie potrafił się skupić nad ich treścią. Myśli wymykały się mu spod zawsze dotąd żelaznej kontroli. Wiedział, że na stole stoi nadal taca z lunchem i pamiętał nienormalne zachowanie się łyżki zupy.

Automatycznie przejechał grzbietem dłoni po ustach.

W tym wszystkim, we wszystkich tych halucynacjach,

tkwiła jakaś prawidłowość. Były ukierunkowane na wzbudzenie w nim poczucia zagrożenia.

Ukierunkowane?

A więc celowe prześladowanie. Po co unikać tego słowa? Mania prześladowcza. Ciekawe, co powiedziałby na to psychiatra?

Albo to były halucynacje, albo nie. Jeśli nie, to znaczy, że to celowe nękanie. A jeśli...

Trudno myśleć jasno, kiedy w każdej chwili podłoga może uciec spod stóp.

Nie da rady zająć się teraz tym opracowaniem na temat propagandy. Cameron zgarnął papiery z powrotem do teczki i podszedł do własnego sejfu w ścianie. Otworzył go.

W sejfie było jajko.

Cameron wiedział, że go tam nie wkładał.

Nie było to prawdziwe jajko, bo gdy po nie sięgnął... gdzieś znikło.

Seth pisał:

Ben,

Teraz wszystkiego można się spodziewać. Ridgeley przekonał się już, że wiemy, iż pochodzi z przyszłości, a jest bardzo niebezpieczny. Dopuszczam możliwość, że zginę, a ty pozostaniesz przy życiu. Gdybyśmy obaj ponieśli śmierć... no trudno, wtedy tego nie przeczytasz.

Ale zagraj w następujący sposób. Równanie trzeba rozwiązać, a prawdopodobnie jedynym człowiekiem, który może wytypować kogoś, kto ma do tego predyspozycje, jest szef. Może dokona tej sztuki Pastor. Może mu się też powieść. Doszedł dalej niż ktokolwiek przed nim. Prowadź dalej selekcję i dbaj, jak możesz, o szefa.

I nie daj się. Co to będzie znaczyło za kilka milionów lat? W każdym razie, powodzenia!

Seth.

W kopercie znajdowały się jeszcze papiery z samym równaniem i materiałem badawczym zebrany przez Pella. Nie było tam nic, co stanowiłoby dla DuBrose'a jakąś nowość. Opadł na oparcie fotela i pogrążył się w myślach.

Seth nie żył. (Później nad tobą zapłaczę.)

Daniel Ridgeley żył. DuBrose niemal zapomniał o kurierze. W tej chwili można go nie brać pod

uwagę, ale nie wolno go zupełnie zlekceważyć. W tej sprawie pomoc może Sekretarz Wojny. Ridgeley może być w kieszeni u Falangi-stów. Tylko w jakim celu człowiek z przyszłości miałby się mieszać w czasowo-ldkalne wojny, tego DuBrose nie potrafił sobie wytłumaczyć. Dlaczego Ridgeley okazywał wyraźne zadowolenie stając w obliczu wroga? To właśnie zadowolenie, ten niewytłumaczalny, nielogiczny zachwył płonął w ciemnych oczach kuriera, kiedy DuBrose wymierzył d o niego z wibropistoletu i kiedy Pellowi udało się wyperswadować Ridgeleyowi popełnienie podwójnego morderstwa.

Billy Van Ness i jego dar postrzegania ponadczasowego; czy Billy, w swych przebłyskach świadomości, mógłby się do czegoś przydać? Do czego? Do zlokalizowania Ridgeleya? Samodszukanie kuriera to niewiele; DuBrose'owi przyszło do głowy, że kluczem mogła być motywacja. A ten motyw mógł leżeć tysiące lat w przyszłości, w świecie, z którego przypuszczalnie przybył Ridgeley.

A teraz... Niewypały? Monumenty zagubionej rasy z niewyobrażalnie dalekiej przyszłości, teraz roztrzaskane, popękane kopuły nie dającej się sforsować siły? Nic w nich nie ma.

Równanie.

Pell podsunął je szefowi jako niewinny problem teoretyczny. Kto potrafiłby rozwiązać równanie oparte na zmiennej logice? I Cameron wymienił nazwisko Lewisa Carrolla - prawdziwie elastyczny umysł, umysł nie skrępowany konwencjonalnymi wartościami.

Ale nie istniał już ani jeden matematyk pisujący bajki oparte na logice symbolicznej. DuBrose wertował już akta z wielkiego archiwum, selekcyjując techników według ich

zainteresowań pozazawodowych. Niewiele tam znalazł. Jeden matematyk mógłby rokować pewne nadzieja; był twórcą ruchomych rzeźb, tak zwanych mobili, ale należał też do ludzi, którzy postradali już zmysły pracując nad równaniem.

Pastor posunął się dalej niż większość jego poprzedników. DuBrose zdecydował się zaatakować problem z innej strony. Gdyby udało mu się wychwycić czynniki, które niemal doprowadziły Pastora do sukcesu w jego próbie, może znalazłby w nich odpowiedź.

Sporządził wykres psychiki pomijając nazwisko i wpisał do niego kilka pytań. Gameron potrafiłby prawdopodobnie coś z tego wywnioskować. Ale DuBrose bał się podsuwać mu teraz wykres. Dyrektor zwietrzyłby na pewna podstęp.

Wsunął wykres między inne sprawozdania czekające na decyzję Camerona i przesłał je na biurko dyrektora. Teraz pozostawało tylko czekać - w każdym razie na rozstrzygnięcie tej kwestii.

- Co dalej, Seth?

- Nie mogę ci powiedzieć nic poza słowami, które wkładasz w; moje usta. Wiesz o tym. Dobrze mnie sobie przy pomnij. Przywołaj z pamięci mój obraz. Zastanów się, co mógłbym powiedzieć.

- Próbuję.

- Upij się. Połknij Głupiego Jasia, Zapadnij na rok w Twardy Sen. Skorzystaj z tego niebieskiego klucza, który ci dałem. Spróbuj z wyrafinowanym hedonizmem; on otwiera właściwe drzwi dla podobnych problemów.

- Eskapizm. To byłaby próba uchylenia się od odpowiedzialności.

- Semantyczne rozterki. Twoja odpowiedzialność ogranicza się do podtrzymywania szefa na chodzie. Jest tym jedynym facetem, który potrafi zapobiec zagładzie. Ale nie pozwól, by to do niego dotarło.

- A może przewertować jeszcze raz tych wyselekcjonowanych...

- Może.

DuBrose zabrał się do pracy. Zrobił parę wykresów, sporządził kilka list i zaczął je studiować. Zainteresowania po-zazawodowe: badminton, baseball, kręgle. Karty - cała podgrupa. Malarstwo olejne, surrealistyczne, klasyczne, trójwymiarowe. Pisanie scenariuszy Gęsich Skórek, współczesnych „filmów” czuciowych. Szachy, kilka odmian. To istnieje ich kilka odmian? Co to są, na przykład, szachy bajkowe? Hodowla królików. Badanie hydrosfery. Taniec. Opilstwo nawykowe.

DuBrose odniósł wrażenie, że najlepszy z tych wszystkich byłby nałogowy opój.

W tym momencie na ekranie monitora pojawiła się twarz Kalendera. Miał złe wieści. Samolot bojowy wysłany przeciwko Pastorowi nie wykonał zadania; nie zdołał zlokalizować Pastora.

DuBrose zaczynał się czuć jak cel, do którego mierzy tuzin wytrawnych łuczników. - Nie zapytam, czy wyczerпалиście wszystkie możliwości, panie Sekretarzu. Orientuje się pan tak samo dobrze jak ja co do wagi tego zadania.

- Przeczesujemy cały ten obszar promieniami skanującymi i detektorami psychoradarowymi nastrojonymi na częstotliwość mózgu dorosłego człowieka. Żadnych rezultatów.

- Przyrządy Pastora nie reagowały na M-204. Może mózg Pastora pracuje teraz na innej częstotliwości.

- Ale... przeprowadziliśmy obserwację terenu z powietrza w podczerwieni i wykonaliśmy serię zdjęć lotniczych celem wykrycia jakichkolwiek ruchów na powierzchni. Nic prócz jelenia i kilku pum. Na Pastora zarejestrowany jest helikopter. Nie potrafimy go zlokalizować. Czy miał go ze sobą na szczycie?

- Być może. Mógł go zniszczyć. Ogłosił pan alarm?

- Alarm priorytetowy z poleceniem strzelania bez ostrzeżenia, panie DuBrose. To wezwanie powszechne.

- Zapewne zdaje pan sobie sprawę, że śmiertelny musi być pierwszy strzał. Jeśli Pastor zdąży się odgryźć...

- Widziałem, co potrafi - powiedział Kalender poru-

szając sztywno wargami. - Potrzebuję teraz sugestii. Niech mi pan umożliwi rozmowę z dyrektorem.

- Przepraszam, ale nie mogę - powiedział DuBrose. - Wie pan, że polecił...

- Ale to sprawa najwyższej wagi!

- Wierzę. Ale równie ważne jest, by pan Cameron pozostawał przez pewien czas odizolowany od takich spraw.

Kalender spurpurowiał na twarzy. Po chwili opanował się i powiedział: - W takim razie niech mi pan da Setha Pella.

- Nie ma go. Pod jego nieobecność ja go zastępuję. - DuBrose mówił dalej nie czekając na wybuch: - Pastor może się kierować do swojego domu. Wydaje mi się, że jest emocjonalnie związany z rodziną. Może się tam udać po to, by zostać z nimi, albo żeby ich zniszczyć. Też są symbolami jego przeszłości. Obiecał, że więcej nie wykorzysta swej mocy, ale... Proponuję, aby na wszelki wypadek w skład oddziałów egzekucyjnych włączyć paru logików. Słabością Pastora wydaje się metafizyka. Dobry logik może wyperswadować mu zastosowanie środków odwetowych. Chociaż jedynym bezpiecznym wyjściem jest zabicie go na miejscu bez ostrzeżenia.

- Mmmm... to niegłupie. W porządku.

- I jeszcze jedno - zdecydował się DuBrose. - Proszę, żeby pan zarejestrował, co teraz powiem. Daniel Ridgeley jest szpiegiem.

Kalendera aż odrzuciło. - Co takiego? Ja...

Ciarki przestały pełzać po plecach DuBrose'a. - Chwileczkę - powiedział wypuszczając powietrze z płuc. - Musiałem mieć to szybko zarejestrowane. Nie miałem pewności, czy Ridgeley nie zabije mnie, zanim zdążę wypowiedzieć te słowa. Ale teraz są już w banku danych. Jeśli mnie zamorduje, podejmie pan jego ślad.

- Panie DuBrose - wycedził przez zęby Sekretarz Wojny - co tam się dzieje w tym waszym departamencie? Czy wy wszyscy z Psychometrii macie zbiorowe halucynacje? Ridgeley jest dla nas nieocenionym pracownikiem...

- Halucynacje? Czy moc Pastora to urojenia? Cóż tak fantastycznego w fakcie, że Ridgeley jest agentem Falangi-stów?

- Ja... znam Ridgeleya. Ufam mu całkowicie. Nie wie pan, jakie oddał nam usługi...

- Czy te usługi uchroniły nas przed równaniem Falangi-stów? Pewnie, że pan mu ufa. O to właśnie zabiegał. Przypomina pan sobie te powtarzające się od czasu do czasu okresy, kiedy ginie z oczu? Czy wie pan, co w tym czasie robi?

- Oczywiście... a co?

- Niech pan to sobie zapamięta - ciągnął DuBrose. - Ridgeley jest o wiele bardziej niebezpieczny od Pastora. Nie mogę od pana wymagać, by go pan pojmał lub kazał zgładzić. Nie sądzę, aby było to

możliwe. Ale chciałbym, żeby miał się pan na baczości. Ustalcie miejsce pobytu Ridgeleya; uważajcie, aby się nie zorientował, że jest obserwowany. Namierzcie go skanerem i nie spuszczaście z oka.

Kalender potarł dłonią szczękę. - Nie możemy ryzykować. Zrobię, co pan sugeruje. Ale... kiedy będę mógł porozmawiać z dyrektorem?

- Będzie pan pierwszy w kolejce, kiedy tylko taka rozmowa będzie bezpieczna. Na razie nie może o niczym wiedzieć. To środki ostrożności. Wie pan, jaki wpływ ma równanie na ludzi...

Sekretarz zaczynał wreszcie coś rozumieć. - Miało miejsce kolejne samobójstwo. Elektronik. I jeszcze dwa przypadki obłądu. Nie licząc Pastora.

- Trzeba wstrzymać prace nad równaniem do czasu, kiedy nasz departament...

- To niemożliwe. Ono musi zostać rozwiązane. Nie ma pewności, czy pańskiemu biuru się powiedzie. Dopóki istnieje szansa, że ktoś może rozwiązać to... to coś, nie wolno nam ustawać w wysiłkach.

- Nawet jeśli doprowadzi to do obłądu wszystkich techników w kraju - odpowiedział DuBrose.

- I ja bym chciał tego uniknąć. Niech pan będzie ze mną w kontakcie.

Na tym stanęło. DuBrose przeniósł wzrok na otwór okienny. Przyływ klaustrofobii ścisnął go za gardło. W każdej chwili wszystko to może się rozplątać...

Pastor był na wolności - kręcił się gdzieś. I do momentu unicestwienia jego umysłu nigdzie nie będzie bezpiecznie dla niczego ani dla nikogo.

Przesłał Cameronowi następną partię materiałów i bez większego powodzenia usiłował wyobrazić sobie Seta.

- Co teraz?

- Skąd mam wiedzieć?

- Nie mogę ponaglać szefa...

- Naturalnie. Nie może powziąć podejrzeń co do znaczenia równania.

- A co z Pastorem?

- Wyczerpałeś wszystkie możliwości?

- Nie mam odpowiednich możliwości, żeby go odnaleźć. Skazałem go już na śmierć. To nie wystarczy?

- A co z Ridgeleyem?

- Och. Rzeczywiście, im więcej zgromadzę informacji o tym facecie...

Billy Van Ness miał w ambulatorium swoją prywatną salkę. DuBrose udał się tam, żeby zerknąć

na kartę chłopca i zbadać go. Podniecenie z ostatniego wieczora spowodowane przybyciem Ridgeleya wypaliło się. Van Ness znajdował się w stanie pasywności,, oczy miał zamknięte, wychudzoną twarz spokojną.

Postrzeżenie ponadczasowe mogło okazać się cenną pomocą w rozpracowywaniu człowieka z innego sektora czasu. Pell mówił coś o hipnozie, próbował jej na tym chłopcu z pewnym powodzeniem. DuBrose kazał wnieść sprzęt z zamiarem poddania Van Nessa mechanosugestii. Kiedy to zawiodło, uciekł się do zastrzyku.

- *K-k-k-k-kuk!*

Z krtani chłopca wyrwał się chrapliwy, nieprzyjemny bełkot. DuBrose przypomniał sobie o deformacji podniebienia. Czyżby ten dźwięk był akustycznym odpowiednikiem emanaacji twardego promieniowania - hipotetycznej metody komunikowania się stosowanej przez tę nieznaną rasę, która stworzyła Niewypały? .

Przystąpił do badania. Tym razem wydobyć z Van Nessa artykułowanych wypowiedzi było łatwiejsze. Pell przetaił szlak poprzedniej nocy. Ale dezorientacja czasowa nadal dawała o sobie znać. Mutant nie dostrzegał żadnej różnicy między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Trzeba było jakiejś temporalnej kotwicy, która stałaby się punktem zaczepienia dla oscylującej dziko percepcji Van Nessa. Jakże dziwny musiał się wydawać świat temu mutantowi wcale nie korzystającemu ze swych oczu! On widział trwanie...

- ...żyje, a potem wraca daleko i stop... i znowu wstecz i znowu... Pytanie.

- Błyszczą. Jasne kopuły. Jak daleko sięgają w... Pytanie.

- Brakuje słowa. Na końcu nie ma żadnej. A chyba raczej na zakręcie. Tam gdzie zawracają. Przybywają, żeby poszukać...

Pytanie.

- Brakuje słowa. Do tyłu i do tyłu w poszukiwaniu. Pytanie.

- Gdzie teraz są?... Teraz jest koniec.

DuBrose zamyślił się. Rodzaj X, rasa, która zbudowała te kopuły, ten dziwny, niewyobrażalny lud podróżujący wstecz w czasie i znaczący swą drogę błyszczącymi, popękkanymi Niewapałami. Czego szukali? Zamyślił się.

Czegoś niezbędnego im do istnienia. I nie udało im się tego znaleźć. Pod prąd czasu, wiekowymi skokami, z powrotem do tego świata, który rodzajowi X musiał się wydawać tak pierwotnie obcy. Ale koniec jest teraz.

- A ten człowiek, Billy, którego widziałeś ostatniej nocy...

- *K-k-k-k-kuk!*

Widział? Ostatniej nocy? Dla mutantów te słowa były zmiennymi. DuBrose próbował skonkretyzować swoje pytanie.

- Ten mężczyzna. Rozciągał się w dobrą stronę, pamiętasz? - Czy w przypadku wypaczonego, rozszerzonego postrzegania czasowego Van Nessa należało mówić o wspomnieniach, czy o przewidywaniu faktów? - Sięgał dalej niż ktokolwiek inny. Z wyjątkiem błyszczących obiektów. Był bardziej kompletny.

- Biegnie, biegnie... widziałem go, jak biegnie. To była walka.

- Walka, Billy? Jaka walka?

- *K-k-k-k-kuk!* Za krótka, żebym zobaczył - te wielkie maszyny. Och, jakie wielkie, wielkie, ale za krótkie! - Ogromne maszyny o krótkim żywocie. Czym mogły być?

- Hałas. Od czasu do czasu. Ale czasem cisza i miejsce, gdzie często życie było krótkie - bieg, bieg, kiedy przybywają... przybyli... przybędą... *K-k-k-k-kuk! K-K-K-K-KUK!*

Zaczęły występować pierwsze objawy konwulsji. DuBrose pośpiesznie zaaplikował chłopcu drugi zastrzyk i uspokoił go zręczną sugestią hipnotyczną. Gwałtowne drgawki ustały. Van Ness leżał bez ruchu z zamkniętymi oczyma, oddychając głęboko.

DuBrose wrócił do gabinetu. Wszedł tam akurat w momencie, kiedy Cameron rzucał na jego biurko jakieś papiery.

- Wychodzę do domu, Ben - powiedział dyrektor. - Głowa mnie pobolewa. Nie mogłem się za bardzo skupić nad tymi problemami. Ale kilka rozgryzłem. Gdzie Seth? - Obserwował uważnie twarz DuBrose'a. - Zresztą nieważne. Ja...

- Chyba wszystko w porządku?

- Tak - mruknął niechętnie Cameron. - Do zobacze-

nią. - Wszedł pozostawiając DuBrose'a z jego zaskocze- niem. Czyżby Ridgeley znowu dostał się do szefa?

Symptomy: bóle głowy, nerwowość, niezdolność do koncentracji...

DuBrose przerzucił pośpiesznie teczki z papierami szukając przede wszystkim tej najważniejszej. Znalazł ją. Ale dossier doktora Emila Pastora wyraźnie nie było ruszane. Może reszta służących do selekcji wykresów z wykazami zainteresowań pozazawodowych...

- Tam też nic. Ale zaraz. Przy jednym nazwisku widniał naniesiony lekko ołówkiem znaczek.

Eli Wood, Dolny Orlean, matematyk; adres domowy: 108 Louisiana B-4088; zainteresowania pozazawodowe: szachy bajkowe...

Nikt go tu nie znał. Był pokrzepiony; odczuwał głęboką pokorę wynikającą z faktu, że mógł tak iść Drogami Dolnego Denver wśród ludzi nieświadomych, kogo mijają. Drogi sunęły obok zatłoczone wojskowymi, ale nikt nie spojrzał nawet na małą, niepozorną postać kroczącą stacjonarnym szlakiem centralnym. To była druga próba, próba trudniejsza chyba od pierwszej. Niszczenie symboli własnej przeszłości przebiegło niebezpiecznie łatwo. Zrodziła się pokusa. Bo wiedział teraz, że wszystkie, rzeczy są uludą, i wiedział też, jak łatwo byłoby przedziurawić mydlaną bańkę świata.

Bo on nie mógł umrzeć. Jego myśl żyłaby dalej. Na początku było Słowo i na końcu również byłoby Słowo.

Pragnął skierować swe kroki do domu, ale najpierw musiał poddać się tej próbie, a najbliższym podziemnym miastem było Dolne Denver. Dokumenty otworzyły mu wstęp. Okazał te papiery tak, jakby był zwykłym człowiekiem. I w całej pokorze nadal będzie się starał za takiego ucho-

dzić. Tylko jego myśli, myśli Boga, jaśnieć będą pomiędzy gwiazdami, złudnymi gwiazdami w złudnym wszechświecie, który mógłby unicestwić...

To była próba. Nigdy już nie wolno mu użyć swej mocy. Jakże często ten drugi Bóg musiał odczuwać pokusę wymazania wszechświata, który sam stworzył! Ale powstrzymywał się przed tym, tak jak powstrzymywać się musi doktor Emil Pastor.

Nadal będzie nazywał siebie doktorem Emilem Pastorem. To należało do programu okazywania pokory. I nigdy nie umrze. Umrzeć może jego ciało, ale nigdy myśl.

Wszyscy ci wojskowi na Drogach - jakże wdzięczni by mu byli wiedząc, że istnieją nadal tylko dzięki miłosierdziu doktora Emila Pastora. No cóż, nigdy się tego nie dowiedzą. Pycha jest pułapką. Nie pragnął wyniesienia na ołtarze.

Takim ołtarzem odsłaniającym chwałę doktora Emila Pastora był firmament.

Mrówka wypełzła ze szczeliny i pomknęła w stronę Dróg. Pastor odprowadził ją wzrokiem, aż do bezpiecznego schronienia. Nawet taka mrówka.

Jak długo już tu pozostawał? Na pewno wystarczająco długo. Przeszedł przez tę próbę pokory; nic nie skusiło go do objawienia się wojskowym z Dolnego Denver; pragnął znaleźć się w domu. Miał nadzieję, że żona nie spostrzeże zmiany, jaka w nim zaszła. Musi być nadal przekonana, że jest jej drogim Emilem, tak jak dzieci nie mogą nigdy odgadnąć, że nie jest już ich Tatą, a kimś zupełnie innym. Potrafi grać tę rolę. I poczuł nagle przyływ czułości ku nim, bo wiedział, że są tylko złudnymi zjawami.

Mogliby zniknąć - gdyby tylko tego zapragnął.

Tak więc nie wolno mu nigdy tego zapragnąć. Będzie miłosiernym bogiem. Wierzył w zasadę samookreślenia. Ingerencja nie była jego powołaniem.

Upłynęło już wystarczająco dużo czasu. Wkroczył na Drogę, która powiozła go ku jednej ze stacji pneumowago-nów. Zająwszy miejsce w wagoniku przytrzymał się uchwy-

tu - przyspieszenie zawsze źle wpływało na jego żołądek - i odchylił do tyłu czekając, aż minie krótka chwila zamroczenia.

Minęła. Piętnaście minut później wysiadł przy Bramie. Stała tam w pogotowiu grupa umundurowanych mężczyzn. Na jego widok zareagowali ledwie dostrzegalnym podnieceniem. Ale byli dobrze wyszkoleni. Ani jedna dłoń nie sięgnęła do pistoletu.

Szedł ku nim Bóg.

Cameron jadł obiad z Nela. Obserwował jej spokojną, przyjazną twarz, wiedząc, że nawet tam nie znajdzie dla siebie ukojenia. Na jego oczach ciało mogło przecież spełznąć z jej czaszki i...

Z głośników dochodziły przytłumione tony muzyki. Pokój wypełniała świeża sosnowa woń. Cameron wziął łyżkę, odłożył ją i sięgnął po karafkę z wodą.

Woda była ciepła i słonawa. Jego gruczoły smakowe zareagowały gwałtownie. Ale udało mu się odstawić szklanicę z powrotem nie wychlapując więcej niż kilka kropel.

- Nerwy? - spytała Nela.

- To tylko zmęczenie.

- To samo było wczorajszego wieczora. Potrzebny ci odpoczynek, Bob.

- Może wezmę trochę wolnego - stwierdził Cameron. - Nie wiem...

Ponownie spróbował wody. Była zimna jak lód i bardzo cierpka.

Odsunął gwałtownie krzesło. - Położę się trochę. Wszystko w porządku. Nie wstawaj. Głowa mnie boli i tyle.

Nela wiedziała, jak nie lubił rozczulać się nad sobą. - Zawołaj mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebował - rzuciła za wychodzącym z jadalni Cameronem. - Będę w pobliżu.

Wszedł schodami na górę i położył się na łóżku, które z początku było rozkosznie miękkie i relaksujące, a potem

stało się aż za miękkie, tak że zapadał się coraz to głębiej i głębiej w puchową, nadmuchiwaną pustkę z tym uczuciem żołądka podchodzącego do gardła, którego doznawał zawsze w zjeżdżającej w dół windzie...

Wstał z łóżka i zaczął przechadzać się po pokoju. Nie spór głądał w lustro. Ostatnim razem, kiedy to zrobił, jego odbicie wywołało rozchodzące się po szkle kręgi.

Spacerował.

Chodził w kółko. Ale teraz zauważył, że jest wciąż zwrócony twarzą w tę samą stronę, że ciągle widzi przed sobą ten sam obrazek na ścianie. Szedł po obrotowej scenie.

Zatrzymał się i pokój się przechylił. Znalazł krzesło, zamknął oczy i usiłował odciąć się od wszystkich wrażeń zmysłowych.

Halucynacje czy rzeczywistość.

Jeśli rzeczywistość, to niebezpieczeństwo jest większe. Czy Seth i Ben DuBrose mają z tym coś wspólnego? Ich napomknienia o próbie zamachu to jawne odwracanie jego uwagi od ważniejszych spraw. W innych okolicznościach może by nawet im uwierzył. Ale te halucynacje...

Miał trudności z zebraniem myśli.

Może o to właśnie chodzi, aby nie mógł jasno myśleć.

Na powierzchnię wypłynęły na wpół sformułowane myśli. Musi udawać, że wierzy, iż te - ataki - mają charakter czysto subiektywny. Musi zachowywać się tak, aby utwierdzić ich w przekonaniu, że ich zamiar się powiodł...

Ale wiedział, że ta inwazja psychiczna jest obiektywna.

Wiedział, że jest obiektem prześladowania. Inni nie dostrzegali rzeczy, które się z nim działy. Prześladowcy byli przebiegli. Postawili sobie za cel doprowadzić go do obłądu - no dobrze, ale dlaczego? Bo znajdował się w posiadaniu cennych informacji? Bo sam był cennym, niezastąpionym człowiekiem?

I ta teza prowadziła do jednego wniosku. Grozi mu paranoja na tle nękających go systematycznie urojeń prześladowczych.

Cameron wstał ostrożnie. Przymrużył oczy. I znowu się to zdarzyło. I jak zwykle, niespodziewanie.

Ze ściągniętą, szarą twarzą, powoli i lękliwie następując na stopnie, zszedł po schodach na dół. Na jego widok Nela wstrzymała oddech.

- Bob, co ci jest?

- Lecę do Dolnego Manhattanu - wycedził przez zmartwiałe wargi. - Przyjmuje tam lekarz, którego chciałbym się poradzić... Fielding.

Podeszła szybko do niego. Jej ramię otoczyło szyję męża.

- Kochanie, o nic nie będę pytała.

- Dziękuję ci, Nelu - powiedział Cameron. Pocałował

ją.

Potem wyszedł do helikoptera. Stawiając niepewne kroki przypomniał sobie bajkę o małej Syrence, która zamieniła rybi ogon na ludzkie nogi. Musiała za nie drogo zapłacić. Ale później chodziła jak na ostrych nożach, które pomimo że były wyimaginowane, nie zadawały wcale mniej bólu niż prawdziwe.

Mrużąc za każdym stąpieniem oczy Cameron szedł w kierunku hangaru helikoptera.

- Ja nie piję - oświadczył matematyk - ale trzymam trochę brandy dla gości. A może woli pan Głupiego Jasia? Mam gdzieś trochę pastylek. Sam też ich nie zażywani, ale..

- Nieważne - powiedział DuBrose. -Chcę tylko porozmawiać, panie Wood.- Położył sobie teczkę na kolanach i u-tkwił wzrok w gospodarza. Wood przysiadł niepewnie na prostym fotelu wypoczynkowym. Był to wysoki, chudy mężczyzna w staromodnych okularach niekontaktowych, z czupryną starannie przyczesanych włosów mysiego koloru. Pokój był pedantycznie, drażniąco idealnie wysprzątnany i stanowił dziwny kontrast z zagraconym, krzykliwym gniazdem Pastora.

- Czy to zlecenie na rzecz wojny, panie DuBrose? Pracuję już w Dolnym Orleanie...

- Tak, wiem. Zasięgałem informacji. Z pańskich danych wynika, że jest pan wybitnie zdolny.

- No cóż... dziękuję - bąknął Wood. -Ja... dziękuję.

- To będzie zadanie poufne. Jesteśmy tu sami?

- Jestem kawalerem. Tak, jesteśmy sami. Domyślam się jednak, że jest pan z Psychometrii. To raczej nie moja dziedzina.

- Ciągniemy wiele srok za ogon. - Obserwując tego człowieka DuBrose przyłapał się na tym, że trudno mu uwierzyć, ilu stopniami naukowymi legitymuje się Wood i ile prac opublikował pod swoim nazwiskiem - wśród nich nowatorskie, wybitne teorie z zakresu czystej matematyki. - A więc do rzeczy. Interesuje się pan szachami bajkowymi, prawda?

Wood wlepił w niego wzrok. - Tak. Rzeczywiście, interesuję się. Ale...

- Nie pytam bez powodu. Nie jestem szachistą. Czy może mi pan w ogólnym zarysie objaśnić, na czym polegają szachy bajkowe?

- No cóż... naturalnie. Widzi pan, to tylko takie moje hobby. - DuBrose'owi wydało się, że Wood trochę się za rumienił sięgając po stos szachownic i rozkładając je na stole. - Nie bardzo wiem, czego pan ode mnie oczekuje, panie DuBrose...

- Chcę się dowiedzieć, co to takiego szachy bajkowe. Tak to można z grubsza określić.

Zażenowanie Wooda rozproszyło się nieco. - Jest to po prostu odmiana zwykłych szachów. Gdzieś w 1930 roku grupa szachistów zainteresowała się oferowanymi przez nie możliwościami. W ich odczuciu szachy ortodoksyjne, ze swym ograniczonym zbiorem problemów, dawały zbyt mało swobody - posunięcia dokonywane na przemian przez dwóch graczy i tak dalej. Dlatego powstały bajkowe szachy.

- No i...?

- Oto zwyczajna plansza - osiem na osiem pól. Tutaj mamy figury używane w oryginalnych szachach: król, królo-

wa, skoczek, goniec, wieża i pion. Skoczek porusza się dwa pola w jednym kierunku, po czym jedno pole pod kątem prostym albo, odpowiednio, jedno i dwa pola. Wieża chodzi po liniach prostych, goniec po przekątnych w dowolnym kierunku, ale tylko po polach tego samego koloru. Celem jest oczywiście danie mata królowi. Istnieje wiele odmian szachów oryginalnych, ale realizacja niektórych na zwyczajnej planszy jest po prostu niemożliwa; chodzi tu zwłaszcza o pewne warianty geometryczne.

- Korzysta pan z innej planszy?

- W szachach bajkowych można się posługiwać figurami o różnej wartości i różnymi typami plansz. Zmodyfikowanymi kompozycjami przestrzennymi... oto jedna z nich. - Pokazał DuBrose'owi prostokątną planszę osiem na cztery pola. - Tu jeszcze inna, dziewięć na pięć; ta jest większa, szesnaście na szesnaście. A to figury używane w szachach bajkowych. - DuBrose oglądał z

zainteresowaniem nieznane sobie bierki. - Pasikonik. Nietoperz - chociaż to tylko rozszerzenie ruchu skoczka. Tu mamy stopera, który służy do blokowania, ale nie może bić. To jest naśladowca.

- Jaka jest jego rola?

- Po wykonaniu posunięcia dowolną figurą, naśladowca musi poruszyć się o tę samą liczbę pól w kierunku równoległym. Raczej trudno to wyjaśnić, jeśli ktoś nie zna reguł gry.

- No nic... o ile dobrze zrozumiałem, są to szachy z nowym zestawem reguł gry.

- Zmiennych reguł - poprawił go Wood. DuBrose pochylił się gwałtownie w przód. - Można wymyślać własne figury i przypisywać im arbitralną wartość. Można projektować własne plansze. I można ustalać własne reguły gry.

- Co to znaczy?

- Zademonstruję. - Wood rozstawił kilka pionków. - Załóżmy, że w tym przypadku czarne nie mogą nigdy wykonać dłuższego posunięcia niż ich poprzedni ruch. Gra jedno-zasadowa.

DuBrose studiował planszę. - Chwileczkę. Czy to nie narzuca z góry określonego ustawienia figur?

Wood uśmiechnął się z zadowoleniem. - Ma pan zadatki na dobrego gracza. Tak, musiałyby pan automatycznie założyć, że grę czarnymi rozpocząć należy od najdłuższego posunięcia. Oto inny przykład. Czarne pomagają białym doprowadzić do mata w dwóch posunięciach. Och, problemów jest mnóstwo, mutacja roszady, skoczek-wielbłąd, szachy bez szacha, plansza cylindryczna - odmian jest bez liku. Może pan posługiwać się figurami nierzeczywistymi. Możliwości są niewyczerpane.

- A to przypisywanie arbitralnych wartości czy nie sprawi to kłopotów człowiekowi uprawiającemu szachy oryginalne?

- Od 1930 roku toczy się taka mała wojna - przyznał Wood. - Gracze konwencjonalni, a ściślej mówiąc, niektórzy z nich nazywają szachy bajkowe formą zwyrodniałą i nie do przyjęcia. Mamy jednak wystarczająco wielu entuzjastów szachów bajkowych, żeby co jakiś czas organizować turnieje.

Prawdziwie elastyczny umysł... nie ograniczany zbyt wieloma powszechnie przyjętymi wartościami... człowiek, który sam sobie ustala reguły.

Jest!

Otwierając teczkę DuBrose zaciskał kciuki.

Trzy godziny później Eli Wood zsunął okulary na czoło i odłożył fajkę o fantazyjnie wygiętym cybuchu. - To fascynujące - zawyrokował. - Najniezwyklejsza rzecz, na jaką się w życiu natknąłem.

- Ale czy to możliwe? Czy może pan zaakceptować...

- Całe życie akceptuję pozorne absurdy - powiedział Wood. - Miałem już do czynienia z osobliwościami. - Nie rozwinął tego tematu. - A więc pańskie równanie oparte jest na założeniu zmienności prawd.

- Nie bardzo się w tym orientuję. W każdym razie - na kilku zestawach prawd.

- No jasne. Na kilku zestawach. - Wood poszukał swoich okularów, znalazł je i ściągnął z powrotem na nos. Spojrzał na DuBrose'a zza szkieł mrugając powiekami. - Jeśli istnieją wzajemnie wykluczające się prawdy, to jest to dowód, że nie są one sprzeczne... chyba że - dodał oględnie - mimo wszystko są takimi. To również możliwe. To po prostu bajkowe szachy odniesione do makrokosmosu.

- O ile dobrze pamiętam, z części równania wynika, że ciało swobodnie spadające przyspiesza z każdą sekundą o sto pięćdziesiąt metrów na sekundę, a potem o dwadzieścia dwa centymetry na sekundę.

- Czarne nie wykonują nigdy dłuższego posunięcia niż ich poprzedni ruch. Pamięta pan? Powiedziałbym, że w tym członie równania obowiązuje właśnie ta zasada.

- Zakładając z góry określone rozstawienie figur.

- Co byłoby czynnikiem stałym. Nie wiem, co nim jest; to będzie wymagało sporego wkładu pracy.

- Może pan zatem neutralizować grawitację...

- Realizacja pewnych odmian na zwyczajnej szachownicy jest niemożliwa. Wystarczy znaleźć odpowiednik planszy, na której zasadą jest brak grawitacji, i mamy rozwiązanie.

Makrokosmiczna plansza, na której jedną z zasad jest, że Ziemia się nie obraca. W obrębie tej szachownicy - ona się nie obraca. Mimo wszystko się nie porusza. Galileusz się mylił.

- Potrafi pan rozwiązać to równanie?

- Mogę spróbować. To będzie fascynujący problem.

Trzeba było jeszcze omówić kilka spraw, ale ostatecznie DuBrose był zadowolony. Pożegnał się z Woodem wymuszając na nim obietnicę, że potraktuje ten problem jako priorytetowy. W drzwiach, dręczony wątpliwościami, DuBrose odwrócił się.

- Czy nie robi na panu wrażenia idea zmiennych prawd?

- Mój drogi - odparł łagodnie matematyk. - Na

tym świecie? - zachichotał, skłonił się i zasunął skrzydło drzwi. DuBrose wrócił do Dolnego Chicago.

10

Czekały na niego dwie rozmowy. DuBrose włączył przystawkę odtwarzacza. Pierwszeństwo należało się właściwie Sekretarzowi Wojny, ale zaczął od wysłuchania Neli Came-ron.

- Ben... Chciałam porozumieć się z Sethem, ale go nie było. Martwię się o Boba. Poleciał do Nowego Jorku na spotkanie z doktorem Fieldingiem. Jest jakiś taki... no nie wiem. Prawdopodobnie ma to związek z jakimiś kłopotami w biurze. Daj mi znać, gdyby było to coś, o czym powinnam

wiedzieć, dobrze? To wszystko.

Doktor Fielding. DuBrose znał go; psychiatra. Hmmm.

Sekretarz Wojny powiadomił go o popełnieniu niewybaczalnego błędu. Zlokalizowano doktora Emila Pastora opuszczającego Dolne Denver. Został zraniony - ale uszedł z życiem.

Rezultat: znikł cały oddział straży dokonujący zatrzymania. Pastor rozpląnął się bez śladu. Nie mógł zajść daleko. Kalender zarządził przedsięwzięcie podwójnych środków ostrożności. Pastor ma być bez skrpułów zabity na miejscu.

Jakieś propozycje?

DuBrosowi żadna nie przychodziła do głowy. Kalender sfuszerował tę robotę. Teraz wszystko mogło się wydarzyć.

Zostawił wiadomości i wyszedł, kierując się w stronę Dolnego Manhattanu. Nie ma sensu rozmawiać z doktorem Fieldingiem na odległość. Byłoby lepiej, gdyby Cameron wyszedł od niego jeszcze przed przybyciem DuBrose'a. W ten sposób DuBrose mógłby uzyskać od psychiatry jakieś cenne informacje.

Z szefem wyraźnie działo się coś niedobrego.

Lecąc na wschód DuBrose rozmyślał o Elim Woodzie. Czy matematyk potrafi rozwiązać równanie? Człowiek oswojony ze zmiennymi szachów bajkowych... sam fakt, że Wood zajmował się szachami bajkowymi, świadczył o elastyczności jego umysłu. DuBrose przypomniał sobie, że Pastor tworzył na sprzeczanie Baśniowej Krainy niekonwencjonalne opowieści własnego pomysłu. Dlaczego Ministerstwo Wojny nie dało do tej pory równania Woodowi?

Odpowiedź była oczywista. Do rozwiązywania równania wybierano tylko najwybitniejszych. Wood był dostatecznie kompetentny, ale jego akta nie mówiły nic o błyskotliwości tak koniecznej, by zwrócić uwagę zupaków. No i poza tym nie brał udziału w żadnym z suto zakrapianych bankietów.

Czy matematyk, tak jak inni, oszaleje?

Nie można wrzucać wszystkich do tego samego worka. Może jest jeszcze jakiś technik grający w szachy bajkowe - albo zajmujący się czymś w tym rodzaju.

Helikopter mknął z rykiem silników w kierunku najbliższej Bramy prowadzącej do Dolnego Manhattanu. DuBrose spróbował przywołać przed oczy obraz Setha. '

- Coś niedobrego dzieje się z szefem.

- Zwietrył, co jest grane, Beh?

- Nie wiem. Jaka szkoda, że nie żyjesz. Gdybym tylko był pewien, które z posunięć jest najlepsze...

- Zaprzągłeś Eli Wooda do roboty. To już coś. Co się tyczy szefa, to może sobie być Cywilnym Dyrektorem Departamentu Psychometrii, ale w głowie ma koloid. Jesteś psychotechnikiem. Weź się do roboty.

- Spróbuję. Ale balansuję na sześciu linach na raz.

Jeden tylko Bóg jest, co zginął zamęczony... Jeden tylko Bóg jest, co mu bok nadstawiony... Ostrze włóczni żołdaka przebiło!

Co to było? Jakiś dawny poeta; nie mógł sobie przypomnieć nazwiska.

Próbują mnie zabić - swojego Boga!

Zareagował instynktownie. To był bezwarunkowy odruch samoobronny. W tym samym momencie, kiedy straszny ból przeszył przypieczone ramię, użył swej mocy. Znikli.

Teraz lewa ręka zwisała mu bezwładnie obumarła i bezużyteczna. Ból pulsował oszalamiającymi rytmami w głowie i całym ciele. Szedł dalej. Gwiazdy błyszcząły, zimne i niedostępne, ale mógł je zgasić, gdyby tylko chciał. Mógłby po wsze czasy pogрузić to roziskrzzone sklepienie w czerni.

Doktor Emil Pastor. Doktor Emil Pastor. Drogi Emil. Nazwisko, słowo, plamka zimnego, przyjaznego światła w rozszalałym wirze...

Ale czym był doktor Emil Pastor? Czym był drogi Emil?

Gdyby tylko mógł odnaleźć drogę do tej plamki światła...

Gdzie ona jest? Tutaj była tylko ciemność, nocne wiatry i trawa szeleszcząca pod jego stopami. Przed nim zamajaczyło drzewo. Unicestwił je bez zastanowienia. Dopiero wtedy przyszło uświadomienie sobie tego, co uczynił. Istniała jakaś przyczyna, dla której nie wolno mu używać swego daru.

Dobre intencje. Ten drugi Bóg też miał dobre intencje. A przecież torturowali go, nienawidzili... No a potop?

Drogi Emil. To coś znaczyło. To znaczyło spokój i bezpieczeństwo, słowa, których prawie już nie pamiętał. Tak naprawdę, to wcale nie chciał być Bogiem. Nie cierpiał być Bogiem. Gdyby mógł teraz dostać się do miejsca, gdzie zostawił doktora Emila Pastora, wyslizgnąłby się z tego wcielenia i znalazł znowu ukojenie. Ale nie wiedział, gdzie to jest.

Kolorado. Był gdzieś w Kolorado. Ale to nic mu nie mówiło. Bez środków transportu i łączności był zagubiony, nawet On.

Kobieta...

Do niej szedł. Żeby odnaleźć doktora Emila Pastora, którego z nią zostawił. Ona mogła mu pomóc. Szedł do niej.

Nic go nie powstrzyma!

DuBrose spotkał Dyrektora Departamentu Psychometrii przed drzwiami gabinetu doktora Fieldinga. Twarz Camero-na była wymizerowana, siwe włosy zmierzwione, a oczy zatraciły swoją pewność siebie. Drgał mu nerwowo mięsień twarzy.

- Czego pan chce? - zapytał.

- Mamy kłopoty - odparł krótko DuBrose.

- Nela panu powiedziała, że tu jestem?

- Tak. Powiedziała, że udał się pan na wizytę u doktora Fieldinga.

- Nie zastanawiał się pan, w jakim celu?

- W naszym departamencie to nic niezwykłego, że konsultujemy się od czasu do czasu z psychiatrami - powiedział DuBrose. - Ale pan zachowywał się dziwnie. Jeśli już więc pan o to pyta, to... tak, zastanawiałem się nad tym.

Cameron rzucił spojrzenie ponad jego ramieniem. Wydał cichy okrzyk, odwrócił się i skinął na DuBrose'a żeby szedł za nim. - To był Ridgeley? - spytał nie oglądając się za siebie.

- Tak.

Ku zdumieniu DuBrose'a dyrektor odetchnął z ulgą. - Jednak to nie halucynacje. Wszędzie go widzę dzisiejszego wieczora... kluczyłem po całym Dolnym Manhattanie, żeby go zgubić. Nie widziałem się jeszcze z Fieldingiem. Nie wiem...

DuBrose doprowadził Camerona do Drogi. Widział, że kurier nadal ich śledzi, chociaż zachowuje bezpieczną odległość.

- Q co chodzi?

- Wyszedłem w Przestrzenie - powiedział bezbarwnym głosem Cameron. - Usiłowałem mu się urwać. Dochodzi do tego, że nie mogę... - urwał. Jego pytający wzrok badał DuBrose'a. - Gdzie jest Seth?

- Nie mogę panu powiedzieć, szefie. Chciałbym, ale nie mogę. Dlaczego pan mi nie zaufa?

- To... Ridgeley. Jaki miałby cel w śledzeniu mnie? Już

dwa razy zwracałem się do strażników. Za każdym razem, kiedy rozglądali się za Ridgeleyem, on znikał.

- Poprosiłem Sekretarza Wojny, żeby wziął go pod obserwację. Podejrzewamy, że jest na usługach Falangistów.

- To Falangista?

- Nie, nie. Ale jest na ich żołdzie.

- Zamach na moje życie zbytnio mnie nie *przeraza* - powiedział Cameron. - To to drugie... - znowu urwał. DuBrose zerknął na znak nad głową i ponaglił dyrektora do wejścia na Drogę przelotową. Dolny Manhattan był zatłoczony pomimo tak późnej pory. Na trzy zmiany pracowała nawet załoga cmentarza.

- Usiłujesz wymknąć się Ridgeleyowi, Ben?

- Znam pewne miejsce, gdzie możemy się od niego uwolnić. Mam taką nadzieję.

Rajski Ogród był przybytkiem dosyć znanym. W jego monumentalnym wejściu DuBrose wyjął niebieski klucz i okazał go jako przepustkę, podczas gdy Cameron patrzył tylko niewinnie. - Nie wiedziałem, że korzysta pan z tych rozrywek - powiedział.

- Dostałem ten klucz od Setha - wyjaśnił DuBrose. - Uważał, że potrzebne mi emocjonalne katharsis. Był pan tu już?

- Nie. Ale Seth mi opowiadał. Z tego co słyszałem, wrażenia są tu raczej mocne. Ale... - zerknął na Drogę. Nie było tam śladu kuriera.

- Nie potrafi przechodzić przez ściany - powiedział DuBrose. - Zdobycie takiego klucza zajęłoby mu trochę czasu, a wcale nie jestem pewien, czy zdoła go sobie załatwić. - Szli przez obwieszony lustrami hol w bladych, leciutko opalizujących oparach. W zasnutych nimi powietrzu pulsowała jakaś pobudzająca radiacja. Pojawił się posługacz.

- Panowie sobie życzą? Jaki rodzaj rozrywki panów interesuje? Mamy nowe scenariusze Gęsich Skórek...

- Może być - powiedział DuBrose. - Gdzie to jest? Obłoki zakotłowały się i spowiły ich; wyczuwali w tej

cieplej nieprzejrzystości jakiś płynny ruch. Kiedy rozparli się wygodnie na miękkich poduchach, uświadomili sobie, że ten ruch ustał. Rozległ się melodyjny głos posługacza: - obłoki nieco zgęstnieją. Nie zwracamy sobie tutaj głowy krępującymi podłączeniami do zakończeń nerwowych. Rolę przewodnika spełnia para wodna.

- Chwileczkę - powiedział DuBrose. - Przypuśćmy, że będziemy chcieli przerwać seans. Jak się wyłącza program?

- Tą dźwignią po pańskiej prawej ręce. Zaczynamy...

Obłoki zgęstniały. DuBrose nie był pewien, czy posługacz wyszedł. Czekał. Jego ciałem zaczęły wstrząsać pierwsze mrowiące vibracje neuromatrycy Gęsiej Skórki. Poczł senność, wygodę, nieskończone rozluźnienie. Przez jego umysł przesuwały się z wolna obrazy.

Jedną z wczesnych form widowisk zbiorowych były greckie teatry. Później doszły kina i telewizja. Wszystkie te formy sztuki ukierunkowane były na umożliwienie odbiorcy identyfikowania się z artystą - natomiast Gęsie Skórki, oferujące subtelne szablony wrażeń czysto zmysłowych, stanowiły najnowsze osiągnięcie w tej dziedzinie. DuBrose czuł już kiedyś - bo ich się nie widzi - działanie Gęsich Skórek i znał ich niezrównaną wartość rozrywkową. Ale ten na wpół legalny materiał był inny.

Był brutalny!

Wstrząs - wstrząs - trzask! Poprzez senny bezwład do mózgu DuBrose'a, z gwałtownością pompującą mu do krwi adrenalinę, napływały rwącym strumieniem prądy zmysłowe. Strach, nienawiść, pasja - te i inne emocje, nienormalnie podbite, mieszały się ze sobą w kakofonicznej

symfonii, która upajała go straszliwie. Jego ręka szarpnęła za dźwignię. Szarpiący nerwy gwałt raptownie ustał, ale DuBrose był zlany potem.

Opary przerzedziły się. Cameron siedzący obok uśmiechał się niepewnie.

- To lepsze od tureckiej łaźni - skomentował. - Ale niech pan już nie włącza. Chcę coś widzieć na wypadek, gdyby pojawił się Ridgeley.

DuBrose wziął kilka głębokich oddechów. - Orientuje się pan choć trochę, dlaczego on za panem łązi?

- Być może. A pan?

- Już panu powiedziałem. Prawdopodobnie pracuje dla Falangistów. Dlaczego nie zwierzy mi się pan z tego, co naprawdę pana dręczy, szefie?

- Nie mogę. Jeszcze nie teraz. Chyba że... odpowie mi pan na jedno pytanie. Czy ostatnio wynikło coś, co mogłoby uczynić mnie... niezastąpionym?

DuBrose zamyślił się. Był psychotechnikiem; mógł sprawdzić, jak bliski załamania jest Cameron. Gdyby potrafił podjąć teraz to ryzyko, mógłby znaleźć rozwiązanie dla wielu problemów.

- Hmm... najpierw niech pan mi odpowie na pewne pytanie. - Zaryzykuje... z zaciśniętymi kciukami. - Pamiętaj pan to hipotetyczne równanie, o którym rozmawialiśmy wczoraj?

- Zmienna prawdy? Pamiętam.

- Czy facet grywający w szachy bajkowe mógłby rozwiązać takie równanie? Czy nie oszalałby od tego?

Cameron wyczuł wagę tego pytania. Jego oczy zwęziły się. Ale długo milczał, zanim odpowiedział.

- Mógłby je rozwiązać. Wydaje mi się, że jeśli w ogóle ktoś to potrafi, to tylko taka osoba.

DuBrose przełknął ślinę. - No, a... jeśli by nie potrafił... to przypuszczam, że dostałby pan od niego tyle danych, żeby wyszukać kogoś innego, kto by potrafił. Ja... odpowiem na pańskie pytanie, szefie. Niechętnie to robię, ale martwię się. Martwi mnie to, co się z panem dzieje. Chodzi pan jak błędny, nie mówi mi dlaczego, a założę się, że ma to związek z tą aferą.

- Z Ridgeleyem?

- On też ma w tym swój udział. Nie mogliśmy z Sethem

powiedzieć tego panu wcześniej, gdyż obawialiśmy się, że uświadomienie sobie odpowiedzialności... źle by na pana wpłynęło. Ale teraz zna pan już odpowiedź.

- Jaką odpowiedź?

- To równanie wcale nie jest hipotetyczne - wydusił z siebie DuBrose. - Wpadło w ręce Falangistom i oni je rozwiązali. Wykorzystują je przeciwko nam. My też je mamy, ale nie jesteśmy w stanie go rozwiązać. Nasi technicy tracą zmysły. Od pana zależy wyszukanie takiego umysłu, który

potrafi rozwiązać równanie.

Cameron nie poruszył się. - Niech pan mówi dalej.-

- Nie mogliśmy z Sethem dopuścić do tego, by zdał pan sobie sprawę z ciężkiej na nim odpowiedzialności. Teraz rozumie pan dlaczego, prawda, szefie?

Dyrektor pokiwał wolno głową. Nic jednak nie powiedział.

- Przedstawiliśmy panu ten problem jako teoretyczny. Baliśmy się, że pan się połapie, w czym rzecz. Ale wczoraj wieczorem widziałem się z człowiekiem interesującym się szachami bajkowymi i on jest pewien, że potrafi rozpracować to równanie. Nawet gdyby mu się nie udało, znamy teraz typ człowieka, który potrafi operować zmiennymi prawd. To tylko kwestia selekcji. Jeśli się panu nie uda, to tylko dlatego, że nie można *znaleźć* właściwego człowieka. To nie będzie pańska wina. Wie pan, jakiego rodzaju umysłu szukać.

- To bliskie kazuistyki - powiedział Cameron. - Ale brzmi logicznie. Zbyt mało jednak orientuję się w sytuacji. Niech mi pan powie. Gdzie jest Seth?

- Nie żyje.

Chwila milczenia. Potem...

- Niech pan zacznie od początku. Miejmy to już za sobą, Ben. I to szybko.

Blisko godzinę później Cameron powiedział: - Gdybym od samego początku był o wszystkim poinformowany, oszczędziłoby mi to kłopotów z samym sobą. Ale gdybyście

zreferowali mi sytuację od razu, ciężar odpowiedzialności wpędziłby mnie zapewne w szaleństwo. Niech pan posłucha. - Opowiedział DuBrosowi o falującym lustrze, o miękkiej gałce u drzwi, o plastycznej łyżce i przesuwającej się podłodze. - Wszystko to wymierzone jest w moje poczucie bezpieczeństwa, rozumie pan? Starają się mnie doprowadzić do takiego stanu, w którym będę niezdolny do podejmowania decyzji. Oględnie mówiąc, rozwijają we mnie nerwicę lękową. Wiedziałem, że to niemożliwe, chyba że w grę wchodzi zdobycze nauki, których my jeszcze nie opanowaliśmy. Ale...

DuBrose'owi zaschło w gardle. - Boże! Gdyby pan nam tylko powiedział!

- Nie śmiałem. Z początku nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Myślałem, że to obiektywne przywidzenia, i usiłowałem *znaleźć* wyjaśnienie. Nie znalazłem żadnego. Istniały dwie możliwe odpowiedzi. Albo traciłem zmysły, albo byłem ofiarą zaplanowanej kampanii. W tym drugim przypadku musiał istnieć motyw - nie wiedziałem tylko jaki. Ale domyślałem się, że chodzi o doprowadzenie mnie do szaleństwa sztucznymi środkami. Postanowiłem udawać, że nie wiem, o co chodzi. Wiedziałem, że mogą mieć mnie w więzce promieni skanujących. Każde słowo, jakie wypowiadałem, mogło być przechwytywane przez... Falangistów czy kogokolwiek, kto mnie atakuje.

Cameron westchnął. - Nie było to łatwe. Doszedłem do wniosku, że mogę dowiedzieć się czegoś więcej udając wiarę w subiektywizm tych manifestacji. Dzięki temu nieprzyjaciel mógł mnie zlekceważyć, a wtedy ja miałbym szansę stwierdzić, o co im chodzi. Wiedziałem, że pan i Seth

pracujecie nad czymś, i domyślałem się, że ma to związek z tą aferą - z moimi urojeniami - ale ufałem Sethowi. Bardziej niż panu, Ben. Aż do tej chwili.

- A zatem przez cały czas prowadził pan grę... - mruknął DuBrose.

- Wydaje się to takie proste, prawda? Ale człowiek nie

może być nigdy pewien, czy czasem nie popada w szaleństwo. Ja też nie byłem tego pewien. Mój umysł... no cóż, znajdowałem się w stanie autentycznego, sztucznie zaindukowanego załamania nerwowego. W tym odnieśli sukces. Dzisiaj musiałem poszukać czyjejś pomocy. Miałem tyle zdrowego rozsądku, by się nie zdradzać spotykając się z panem albo z... Sethem. Pomyślałem sobie, że rozmawiając z psychiatrą mógłbym uzyskać cenne katharsis, nie ujawniając przy tym swoich podejrzeń. Ale obecnie nie ma to znaczenia. Nawet jeśli śledzi mnie teraz wiązka skanująca... Falangiści nie są w stanie wykorzystać żadnej z informacji, które uzyskują. Bo nie mogą nas powstrzymać.

- Niech pan ich nie lekceważy - powiedział DuBrose. - Rozwiązali równanie. Mogą go użyć w charakterze broni. Wiedzą na przykład, jak sporządzać bomby mogące przenikać przez pola siłowe. A założę się, że to nie wszystko.

Cameron przymknął oczy. - Zastanówmy się. Po pierwsze, trzeba rozwiązać równanie. To zrówna nasze szansę z szansami Falangistów. Po drugie, trzeba rozwiązać kontr-równanie. Ale nie wiem, czy nawet gracz w szachy bajkowe potrafi sobie z tym poradzić.

DuBrose zamrugnął powiekami. Tej możliwości nie przewidział. Wyszła na jaw całkowicie nowa, niespodziewana forma odpowiedzialności - potrzeba znalezienia człowieka, który nie tylko rozwiąże równanie, ale do tego zneutralizuje efekt jego działania.

- Eli Wood jest świetnym matematykiem...

- Na miarę tej ery. Potrafi rozgryźć równanie; w to nie wątpię. Łatwiej jest analizować niż tworzyć. Ben, czy nie dotarło jeszcze do pana, skąd musi pochodzić to równanie?

- Od Falangistów...

- No tak - powiedział Cameron wstając. - Czeka nas dużo pracy. Ale czuję się już lepiej. Ja... wiem teraz, że nie tracę zmysłów, ani nie dam się doprowadzić do obłądu. Zaczynałem się już czuć jak średniowieczny wieśniak przypisujący wszystko osobistym bogom i mocom nieczystym. Teraz...

Odwrócił się ku zakończonemu łukiem otworowi, widocznemu poprzez rzadniejące opary. - Teraz poszukamy monitora - tylko szybko. Potem przystąpimy do integrowania materiału. Chodźmy, Ben. Będzie się pan musiał przygotować do przejęcia po mnie pałeczki - tak na wszelki wypadek.

- Ale przecież czuje się pan już dobrze, szefie. Wie pan, co chcieli z panem zrobić Falangiści.

- Wiem - odparł zimno Cameron. - Ale zapomniał pan o jednym. Mimo wszystko może im się jeszcze udać. Mogą doprowadzić mnie do obłądu poprzez zwykłą presję. Mogą wykorzystywać równanie przeciwko mnie dopóty, dopóki mój umysł nie podda się i podejmując automatycznie środki obrony nie wycofa w szaleństwo.

- To trwa nadal?

- Stonogi - powiedział Cameron. - Małe pluskwy, pająki. Gdybym zdjął ubranie i popatrzył, nie zobaczyłbym ich, nie wiem więc, co to jest. Ale pełzają po całym moim ciele i obłęd przyniosłby mi ulgę, Ben.

Wzdrygnął się.

11

Połączyli się z Kalenderem z rozmównicy publicznej. Sekretarza wojny nie było w Kwaterze Głównej, ale przełączenie wiązki komunikacyjnej nie trwało długo.

Na zdecydowanej, surowej twarzy malowało się napięcie i zdenerwowanie. - No więc w końcu zdecydował się pan ze mną porozmawiać, co? Doceniam pański gest, panie Cameron.

- Pan DuBrose działał zgodnie z moimi poleceniami - uciał Cameron. Nie chciał się teraz wdawać w kłótnie. - Ważne było, abym nie miał łączności ze światem, kiedy pracowałem nad pewną sprawą. Najmniejsze rozproszenie uwagi mogłoby być fatalne w skutkach.

- Fatalne?

- Tak. Co nowego w sprawie doktora Pastora? DuBrose przysyłał mi na bieżąco wszystkie materiały.

- Rozwiązał pan równanie? Albo znalazł kogoś, kto to potrafi?

- Jeszcze nie - odparł Cameron. - Dokładam wszelkich starań. Ale co z Pastorem?

- Och... no więc nic. Zarzuciliśmy sieć i czekamy. Pański człowiek, ten DuBrose, sądzi, że może się on kierować do swojego domu. Mamy tam kordon. Tyle zamaskowanego sprzętu, że wystarczy na rozpylenie go na elektrony. A nawet na kwanty. Nic nie powiedzieliśmy jego żonie. Jeśli się pojawi...

- Nie zostawił żadnego śladu?

- Śladu... zniszczenia, myśli pan? Nie. Wątpię, czy korzysta ze swoich zdolności.

- Robi pan, co w pana mocy - powiedział Cameron. - No a co z Danielem Ridgeleyem?

- To absurdalne - zachnął się Kalender. - Ten czło wiek jest dla nas nieoceniony. DuBrose musi się mylić.

- Sprawdził pan jego akta personalne?

- Naturalnie. Wszystko gra.

- Czy mogły zostać sfalszowane?

- To nie takie proste.

- Ale nie niemożliwe, prawda?

- On nie może być Falangistą - warknął Sekretarz Wojny. - Gdyby znał pan cenne informacje, jakie uzyskaliśmy dzięki jego pracy wywiadowczej...

- Nie na wiele się nam to teraz przyda - powiedział Cameron. - To równanie może nas zwyczajnie zniszczyć i pan o tym wie. Namierzyliscie Ridgeleya skanerem?

- Nie zdołaliśmy go zlokalizować. Wzywałem go na prywatnym zakresie, ale ma wyłączony odbiornik.

Dyrektor nie skomentował tego. - Przebywa w Dolnym Manhattanie. Skierujcie skaner na mnie. Oto numer monitora, z którego teraz korzystam. Wydaje mi się, że

Ridgeley będzie próbował skontaktować się ze mną; jeśli to uczyni, namierzcie go. Tylko go potem nie zgubcie! Lepiej skierować na tego człowieka trzy albo nawet cztery wiązki.

DuBrose szepnął mu coś do ucha; Cameron skinął głową. - Jest ze mną Ben DuBrose. Jego też skanujcie. Nie wolno nam zaniedbać niczego, co może się przyczynić do schwytania Ridgeleya.

- Chce pan ludzi do ochrony? - spytał Kalender.

- Nie, żadnych strażników. - Cameron zastanawiał się przez chwilę. - Chcę tylko, żeby Ridgeley znalazł się pod ścisłym nadzorem. Ale nie ograniczajcie jego ruchów. To ważne. Mam pewien pomysł.

- Obaj panowie jesteście już skanowani - oznajmił Sekretarz skinąwszy uprzednio głową komuś poza kadrem. - Coś jeszcze?

- Na razie nic. Powodzenia.

- Nawzajem.

- Powiedział mu pan, że nie znaleźliśmy nikogo zdolnego do rozwiązania równania - powiedział DuBrose, kiedy twarz Kalendara znikła z ekranu.

- Widzi pan, wiązka komunikacyjna może być na podsłuchu. Nie chcemy przecież, żeby zamordowano Wooda. Prawdopodobnie jestem już skanowany przez Falangistów. Inaczej nie byłoby w stanie tak dokładnie sterować swoimi sztuczkami. Nie zdarza się to nigdy w obecności świadków, którzy mogliby coś zauważyć.

- Czy nadal... pana urabiają?

- Tak - powiedział Cameron. - No dobrze, połączę się z Nelą, a potem.. Zrobił to.

- Co potem, szefie?

- Seth miał posiadłość niedaleko Dolnego Manhattanu. Chcę sprawdzić, czy czegoś nie zostawił.

- A co z Ridgeleyem?

Cameron spojrział DuBrose'owi w oczy i uśmiechnął się.

Co z Ridgeleyem? Kurier był wielkością prawie tak samo niewiadomą, jak samo równanie. Wsiadli do pneumowagonu.

„Posiadłość” Seta była w rzeczywistości wiejską chatą, domkiem urządzonym z myślą o wygodzie właściciela graniczącej praktycznie z hedonizmem. Cameron znał kombinację zamka. Gdy weszli do środka, zapaliły się automatycznie podbarwiane lampy fluorescencyjne i zamruczały cicho regulatory aerotermiczne. DuBrose rozejrzał się po dużym, przytulnym pokoju dziennym. Nigdy tu jeszcze nie był.

- To kryjówka Seta - powiedział Cameron. - Tędy.

- Podeszedł do ściany ze sceną z nocnej bitwy. Gdy się do niej zbliżał, zafalowała rytmicznie. W górę wystrzeliły parami białe smugi rakiet; zaczęły nieznacznie pulsować podbarwione na szkarłatne kłęby dymu. Cameron zatrzymał się na chwilę patrząc na malowidło, a potem zagwizdał kilka taktów. Ściana rozsunęła się.

Cameron wyjął dwa wibropistolety, wręczył jeden DuBrose'owi i przeszedł w drugi koniec pokoju. - To nie pojedynek - powiedział. - Powiedzmy, że to zasadzka. Tak na wszelki wypadek. Ridgeley kiedyś wreszcie nas dopadnie, a po raz pierwszy od chwili, kiedy znalazłem się w Dolnym Manhattanie, nie chroni nas tłum. Niech pan zostanie po drugiej stronie pokoju.

DuBrose skinął głową. Zważył w rękę pistolet. Nigdy w życiu nie strzelał. Ale to nie miało znaczenia. Wycelować i nacisnąć. Nic prostszego. Zerknął na drzwi.

Cameron otworzył jeszcze jedną płytę w ścianie, a potem znajdujący się za nią sejf. Na koniec wyłączył pole siłowe.

- Chyba nic tu nie ma - mruknął przerzucając papiery. - Nie spodziewałem się wiele tu *znaleźć*. Seth rzadko zabierał pracę do kryjówki.

DuBrose rozglądał się ciekawie po pokoju. Była to elegancko umeblowana kawalerka nie mająca w sobie nic ze

złego smaku cechującego sroczę gniazdo Pastora. Półki wypełnione były tysiącami książek zarówno starych, jak i nowych; stały też na nich pudełka z taśmami. Poduszka leżąca na niskiej kozetce nosiła jeszcze odcisk głowy Pella.

- Seth powiedział mi kiedyś, że jest mizoginistą - powiedział DuBrose.

Cameron skinął głową. - Chyba nim był. Nie miał zbyt wielu przyjaciół. Na jego przyjaźń trzeba było sobie zasłużyć. Łatwo było go wziąć za typ antyspołeczny, ale takim nie był; miał zadziwiającą zdolność przystosowania.

- Lubił swoją pracę.

- Seth przystosowałby się do każdego rodzaju prac. On był... - Cameron wyciągnął z sejfu książkę, przekartkował ją i wrzucił z powrotem. - Wyznawał teorię, że wojny są nieuniknione. Mówił, że stanowią przedłużenie indywidualnych kolei losu. Większość ludzi przechodzi przez serię

osobistych wojen - emocjonalnych, ekonomicznych i tak dalej. Dojrzewają w nich, jeśli oczywiście uda im się przetrwać. Nie są może niezbędnie konieczne, ale według Setha nieuchronne, jeśli weźmie się pod uwagę ogólne prawa *rzędzący* e istnieniem. Przetrwanie gatunków i instynkt samozachowawczy - to główne czynniki. Czynniki znajdujące swe odbicie, *in petto*, w wojnach indywidualnych i narodowych.

- To mi pachnie chorobliwą filozofią.

- Nie, jeśli nie spodziewać się szczęśliwych zakończeń. Nie można oczekiwać, Ben, że kiedy dobiegnie końca obecna wojna z Falangistami, nastąpi po niej okres powszechnej szczęśliwości. Seth powiedziałby, że każda wojna jest uderzeniem młota wykuwającego miecz. Uderzeniem, które go hartuje. Wojna wpływa tak również na poszczególne jednostki, jeśli ten miecz nie jest uszkodzony albo nie pęknie. Być może wpływa tak i na całą rasę. Ludzie, którzy żyliby zawsze w Utopii, nie mieliby większych szans na przetrwanie. Twój pistolet, Ben.

DuBrose nie musiał unosić lufy więcej już o cal. Mierzył z niego pewnie do krzepkiej, rudowłosej postaci stojącej

w drzwiach. Brązowoczarny mundur Ridgeleya był nieskazitelnie czysty; w blasku podbarwionych świetlówek połyskiwały insygnia w klapach.

DuBrose mierzył intruza wzrokiem. Bez szyi, krępy, potężnie umięśniony, ale o sylwetce zdradzającej zarówno zwinność, jak i siłę. Nic nie wskazywałoby, że kurier jest wysłannikiem z innego czasu, gdyby nie ten tryumf płonący głęboko w czarnych oczach.

Ridgeley nie miał broni, ale DuBrose pamiętał jeszcze tajemniczy, błyszczący przedmiot, który kurier skierował już raz na niego.

- Nie znam twoich możliwości, Ridgeley - odezwał się Cameron. - Być może potrafisz zabić nas obu, zanim my zdołamy zabić ciebie. Ale grozi ci dostanie się w ogień krzyżowy. Stoisz między mną a DuBrose'em.

Twarz Ridgeleya nie wyrażała żadnych emocji. - No cóż, mogę zginąć z waszej ręki - powiedział beztrosko. - Dopuszczam taką możliwość. Ale lubię ryzyko.

- Zamierzasz nas zamordować?

- W każdym razie spróbuję - powiedział kurier. DuBrose przesunął nieco swój pistolet. Ridgeley nie był nieomylny. Do tej pory namierzyli go już wiązką skanera. Czy wiedział o tym? W każdym razie sam przyznał, że może ulec przewadze.

Człowiek z przyszłości nie musiał być wcale supermanem. Miał swoje ograniczenia.

- Mam asa w rękawie - powiedział Cameron. - Nie zaczynaj więc, dopóki nie skończymy rozmowy. Wydaje mi się, że potrafisz cię przekonać do zmiany planów.

- Tak ci się wydaje?

- Po pierwsze - co byś powiedział na wymianę informacji?

- Nie widzę takiej potrzeby.

- Może powiesz mi, czego chcesz? Ridgeley nie odpowiedział, ale w jego czarnych oczach pojawiła się dziwna kpina.

DuBrose obserwował jednym okiem kuriera, a drugim Camerona, starając się nie przegapić znaku. Żaden nie nadchodził. Czuł łaskotanie potu spływającego mu po żebrach.

- Obaj z DuBrose'em chcemy pozostać przy życiu - podjął Camoron. - Ty na pewno też. Ta walka może się odbyć teraz albo później. Zgadzasz się ze mną?

- A dlaczego nie teraz?

- Bo teraz może ona niczego nie rozwiązać. Czy wiesz, co się stało z doktorem Pastorem?

- Nie - przyznał Ridgeley. - Ostatnio z nikim się nie komunikowałem. Uważałem, że tak będzie rozsądniej. Pastor, Pastor... czy to nie ten, który pracował nad równaniem?

Tak - kurier miał jednak swoje ograniczenia. DuBrose obserwował go usiłując znaleźć pod tą beznamiętną maską jakąś wskazówkę, a Cameron tymczasem opowiadał, co się stało z Pastorem.

- Istnieje więc bezpośrednie zagrożenie - skończył. - Moglibyśmy cię zabić, ty mógłbyś zabić jednego z nas lub obu, albo też i jedno, i drugie. Pastor nadal przebywa gdzieś na wolności. Dostrzegasz to utajone niebezpieczeństwo?

Ridgeley najwyraźniej podjął już decyzję. - Pastor musi zginąć. Sekretarz Wojny może pokpić sprawę. W takim przypadku... tak, Cameron, on stanowi teraz główne zagrożenie. Niewiele miałbym satysfakcji zabijając cię, gdyby zaraz potem Pastor zniszczył cały świat.

- Zaczekaj - wtrącił się DuBrose. - Nie wiesz, czy Pastor użył swojej mocy, czy nie... a może należałoby powiedzieć, czy zamierza jej użyć? O ile czas nie jest zmienną...

- Nie wiem tego - odparł Ridgeley. - Nie mogę więc ryzykować. Do zobaczenia.

Wycofał się z pokoju. DuBrose podszedł do drzwi i zamknął je. Szyby w oknach były ze szkła polaryzowanego, co zapewniało ochronę przed zaglądaniem z zewnątrz.

- Pozwolimy mu odejść, szefie?

Cameron pocierał dłonią czoło. - Lepiej tak. Może wyrezy nas w tej robocie - wytropi Pastora. A to trzeba zrobić. Strzelanina wywołana teraz nie przyniosłaby rozstrzygnięcia. Ben, on powiedział, że nie wie.

- Czego? No tak. To dziwne. Jeśli naprawdę pochodzi z przyszłości, jeśli opanował umiejętność podróży w czasie - to powinien wiedzieć.

- Tak, powinien. Powinien przynajmniej wiedzieć, czy czas jest elastyczny, czy nie, albo czy istnieją temporalne linie prawdopodobieństwa. Hmmm. Zobaczmy, co u Kalendera.

Kalender oznajmił, że Daniela Ridgeleya śledzi teraz pięć wiązek skanujących i że kurier leci helikopterem na północny zachód. Poza tym pewien technik studiujący równanie zachichotał nagle,

skurczył się w sobie i znikł. Badania mikroskopowe nie wykazały nic poza małą dziurką w podłodze. Przypuszczalnie technik ten opadł do samego środka ciężkości.

Wystąpiły również trzy dalsze przypadki zwykłego obłądu.

Cameron wyłączył wiązkę i dał znak głową DuBrose'owi. - Zobacz, co u Eli Wooda. Sprawdź, jak mu idzie. Ja może lepiej nie będę się pokazywał. - Dyrektor słuchał pilnie z punktu obserwacyjnego nie objętego kadrem.

Pogodna twarz Wooda poplamiona była atramentem, ale jego spokój ducha zdawał się niezmacony. - O, pan Du-Brose. Cieszę się, że pana widzę. Chciałem już pana łapać w departamencie Psychometrii, a później... no, ale powiedział pan, że to sprawa wysoce poufna.

- Bo taka jest. Jak panu idzie?

- Śpiewająco - pochwalił się Wood. - To fascynujące zajęcie. Ale o wiele bardziej skomplikowane, niż sądziłem. Czasami trzeba pracować nad dwoma albo trzema próbami jednocześnie ze względu na zmienność temporalną. Gdybym miał dostęp do integratorów...

- Niech pan się uda do Dolnego Chicago - powiedział DuBrose w odpowiedzi na skinienie głowy Camerona. - Upoważnimy pana do korzystania z integratorów. Może dobrać pan sobie asystentów...

- Wspaniale. Ludzi też będę potrzebował... fachowców. DuBrose zawahał się. - Czy to nie będzie niebezpieczne? Dla nich, oczywiście?

- Nie sądzę. Pewne problemy chcę mieć po prostu szybko rozwiązane. Dam im ten materiał do opracowania. I potrzebnych mi będzie kilku mechaników. Chciałbym wprowadzić kilka zmian w Integratorze. Opracowałem metodę, ale nie wiem, jak połączyć przewody.

- Załatwione. Może pan w przybliżeniu określić, kiedy pan skończy?

- Nie potrafię tego powiedzieć.

- No nic, niech pan kontynuuje.

- Ach... jest jedno, panie DuBrose. Nigdy nie byłem w salach integratorów. Czy można tam palić? Nie potrafię pracować wydajnie bez mojej fajki.

- Niech się pan nie krępuje - uspokoił go DuBrose i obserwował niksącą z ekranu spokojną twarz Wooda. Cameron zachichotał.

- Wydaje mi się, że to odpowiedni typ.

- A co z tymi pomocnikami, których zażądał?

- Oni nie oszaleją. To nie ich odpowiedzialność. Zrzucą ją na Wooda. No nic, wracajmy do Dolnego Chicago. Chcę sobie obejrzeć tego chłopca mutanta - nazywa się Van Ness? Dobrze by było, gdyby udało nam się wyciągnąć z niego trochę informacji o Ridgeleyu.

- To nie będzie łatwe. Jest fatalnie zdezorientowany.

- Wiem - powiedział Cameron. - Ale pewnego dnia będziemy musieli stanąć do walki z Ridgeleyem. Chciałbym po prostu wiedzieć dlaczego... i to wszystko!

DuBrose pokiwał głową myśląc, że gdyby udało się wy-

kryć motywację kuriera, wiele problemów znalazłoby automatycznie swoje rozwiązanie. Wszystko wskazywało na to, że zbliża się kulminacja. Od tej chwili ostatnie posunięcia będą przynajmniej nadzwyczaj interesujące. Na pewno ekscytujące... Ale nie były. Zwykła rutyna.

12

Wojen nie wygrywa się w bitwach. Bitwę poprzedzić muszą wyczerpujące, intensywne przygotowania, podczas których trzeba przewidzieć i przeanalizować każdą ewentualność. W tym szczególnym przypadku istniała konieczność znalezienia wartości niewiadomych, a było ich wiele. Mianowicie: Kim jest Ridgeley? Czego chce? Jakimi środkami dysponuje?

- Nie dowiemy się tego z jego dossier przechowywanego w Departamencie Wojny - powiedział Cameron studiując wykreślone krzywe psychiki. - Stworzył sobie do tej roli zastępczą osobowość. Musimy przyjrzeć się środowisku, w którym przebywał, jego działaniom i reakcjom - a do tego bardzo przyda nam się Billy.

DuBrose obserwował mutanta śpiącego spokojnie pod hipnozą i wykres fal jego mózgu kreślony przez encefalo-graf. - W każdym razie znaleźliśmy tę kotwicę temporalną.

Jak dotąd była to zaledwie zwykła kotwica uzyskana za pomocą sterowanej hipnozy. Rozkład promieniowania mózgu Van Nessa wykazywał wyraźne wahania pod wpływem pewnych bodźców. Przez doprowadzanie mutanta do skupiania swego postrzegania ponadczasowego na wybranym sektorze czasowym, poprzez sprawdzanie na wykresie bodźców, które go rozpraszały, bądź przeciwnie, pomagały mu się skupić, można było dowiedzieć się czegoś o przeszłości Ridgeleya - w przyszłości. Ale zawsze występowała konieczność przyjęcia pewnego marginesu błędów wynikające-

go z zagubienia Van Nessa w postrzeganym przezeń trwaniu. Tak więc w wyłaniającej się historii występowały luki i niejasności; niektóre z nich dawało się aproksymować znanymi doświadczeniami, ale kiedy nie dawało to rezultatów, trzeba było podstawiać w to miejsce niewiadomą x.

Zajęło to kilka dni.

Pastor nie dał w tym czasie znaku życia. Cameron zdecydował się w końcu na użycie straży. W Dolnym Chicago ogłoszono pogotowie. Do schronu rojącego się od strażników i specjalistów z rozmaitych dziedzin techniki wpuszczani byli tylko naj-niezbędniejsi wojskowi. W salach Integratora Eli Wood i jego sztab współpracowników pracowali na najwyższych obrotach, z tym, że po matematyku nie było widać wpływu napięcia. Pykając w zadumie fajkę przechadzał się po lesie ogromnych se-mikoloidalnych sztucznych mózgow, robiąc notatki na mankiecie koszuli, kiedy nie miał pod ręką notatnika, i od czasu do czasu omawiał postępy prac z Cameronem i DuBrose'em.

- Czy nie będą nam potrzebne jakieś maszyny? - spytał pewnego razu DuBrose. - Mam na myśli

aparaturę do wykorzystania równania po jego rozwiązaniu. Jakichś przetworników. ..

- Prawdopodobnie tak - przyznał Wood. - Chociaż nawet tego nie jestem pewien. Widzi pan, to coś skonstruowane jest jako grupy prawd zmiennych, tak bardzo zmiennych, że nie możemy przewidzieć, czego będziemy potrzebowali do jej okiełznania. Ten pana umysłowo chory - on wykorzystuje energię umysłu i z jej pomocą neutralizuje grawitację. Być może znajdę jedną podstawową, arbitralną prawdę, która potrafi przewidzieć kontrolowaną transmisję prawd zmiennych poprzez ośrodek w postaci grafitu ołówka lub sztaby żelaza. Albo też poprzez cebulkę włosa - dodał mrugając niewinnie oczyma.

- Ale robi pan postępy?

, - No, na pewno. Jednak znalezienie kontrrównania przerasta moje możliwości. Może bym je i wyprowadził, ale to kwestia miesięcy.

- Czy możemy czekać kilka miesięcy? - spytał DuBrose i zaraz sam sobie odpowiedział. - Nie. Mamy teraz okazję zadać decydujący cios Falangistom. Ich podstawową bronią jest kontrolowane wykorzystanie tego równania. Znowu kilka bomb ich produkcji przeniknęło poprzez nasze pola siłowe. Jeśli przypuszczą teraz zmasowany szturm...

- Zwycięstwo mogłyby odnieść ich roboty - wtrącił się Cameron. Patrzył na pulsujący łagodnie w pewnej odległości od nich Integrator. - Taki był ich plan. Te bomby to nic. Były przeznaczone dla techników.

- Elita kraju nie może liczyć więcej niż stu ludzi - powiedział Wood. - Elektrofizycy, elektronicy i tak dalej. Ludzie wyszkoleni w obmyślaniu szybkich porzeczności...

- To wojna technologiczna - zgodził się z nim Cameron. - Kiedy wpędzą w obłęd naszych najlepszych techników, będziemy bezradni jak krwioobieg bez wątroby. W sytuacji, w której będziemy potrzebowali szybko nowych pomysłów - padniemy. Bo ludzie, którzy mogliby tych pomysłów dostarczyć, będą szaleni.

- Ale nawet jeśli rozpracujemy to równanie - powiedział DuBrose - uwikłamy się w klasyczny kliniec.

- Tak - znowu zrównamy się szansami z Falangistami. - Cameron zwilżył językiem wargi; bez kontrrównania nie będzie dla niego ratunku. Napór psychiczny nie ustawał. Przed godziną obserwował w swoim biurze, jak zapalony papieros wypelza mu spomiędzy palców i owija się wokół przedramienia niczym gąsienica, przypalając przy tym skórę.

DuBrose przygląda się z troską dyrektorowi. - Poradzimy sobie z tym - powiedział. - Znajdziemy jakieś wyjście. Środków mamy pod dostatkiem...

Cameron pokiwał głową. - W końcu kazałem Kalenderowi przerwać wszystkie prace nad równaniem. Wszystkie prócz pańskich, Wood. Oszczędzimy w ten sposób pewną liczbę techników - ale ci najlepsi albo już nie żyją, albo oszaleli.

- Nie jesteśmy w stanie odzyskać tych, którzy nie żyją, ale pozostałych możemy wyleczyć - powiedział DuBrose. - Wystarczy pokazać im rozwiązanie równania.

- Nie pójdzie wcale tak łatwo, Ben - ale to jest lekarstwo. Postradali zmysły, bo nie potrafili udźwignąć ciężającej na nich odpowiedzialności. Gdybyśmy potrafili ich przekonać, że to brzemię zostało już zdjęte z ich barków, powinni szybko z tego wyjść.

- No dobrze, muszę wracać do pracy - powiedział Wood rozpalając wygasłą fajkę. Mówię panom, to wszystko to rodzaj szachów bajkowych z nieprecyzyjnie ustalonymi regułami gry. - Zamrugał oczyma patrząc na wielki Integrator. - Zdumiewające *rzeczy*. Nie rozumiem... - Oddalił się potrząsając w zadumie głową.

- On je rozgryzie - mruknął z ufnością DuBrose.

- Tak. Tylko kiedy? Zajrzyjmy do Billey'ego. - Eskortowani przez gwardzistów wrócili do sanatorium psychometrycznego na kolejną sesję z mutantem. Kawałek po kawałku, charakterystyka Daniela Ridgeleya wzbogacała się o nowe fakty.

Van Ness mógł być tylko obserwatorem. Postrzegał trwanie, ale sam cierpiał na psychozę i miał reakcje dziecka, z tym że dysponował bogatszym słownictwem. Odpowiadał na pytania i mówił, co widzi, ale nic ponad to. I pomimo że nauczył się z czasem rozpoznawać Ridgeleya po charakterystycznej, wydłużonej linii trwania kuriera, chronologiczne umiejscawianie faktów w czasie wyraźnie przekraczało jego możliwości. Przeskakiwał; w jednej sekwencji Ridgeley był noworodkiem, w drugiej młodzieńcem, w trzeciej dorosłym, a w czwartej czymś niewidzialnym zawieszonym prawdopodobnie w jakimś przedurodzeniowym inkubatorze, chociaż ten wyglądał nadzwyczaj skomplikowanie.

I bardzo powoli, z wielkim mozolem, z tych niewyraźnych migawek czasu *zaczai* się wyłaniać obraz rodzinnego świata Ridgeleya.

Nabierał z wolna kształtu. Z tej mglistej pomroki, niczym z oglądanej z powietrza, spowitej chmurami krainy, wynurzały się stopniowe szczyty i wzniesienia. Pojawiła się też możliwość przybliżonego określenia chronologii poprzez skłanianie Van Nessa do dokładnego opisywania wyglądu Ridgeleya. W miarę jak się starzał, na twarzy tego człowieka pojawiały się i pogłębiały bruzdy doświadczenia.

Rutyna. Nuda. Niepokój w miarę upływu dni i utrzymywania się *status quo*. Doktor Emil Pastor pozostawał nieuchwytny. Halucynacje nadal prześladowały Camerona, aż wreszcie ten przystał na propozycję DuBrose'a i *zaczai* przyjmować środek oszałamiający, kiedy tylko zachodziła potrzeba ucieknięcia się do tego drastycznego kroku. Obłąkani technicy pozostawali obłąkani. Pacjent M-204 przebywający w sanatorium nadal był Mahometem i unosił się kilkadziesiąt centymetrów nad łóżkiem, ignorując niegodne karmienie dożyłne, tak jak biernie ignorował wszystko inne.

Kwatera Główna przeniosła się nieoficjalnie do Dolnego Chicago. Do podziemnego miasta napływały nieprzerwanie sprzęt i ludzie. Nikt nie wiedział, co właściwie będzie potrzebne, sprowadzano więc, co tylko się dało.

Ridgeley, jak wynikało z informacji uzyskiwanych z nakierowanych na kuriera skanerów, przemieszczał się po kraju to helikopterem, to pieszo, korzystając z czegoś, co przypominało kompas kierunkowy. Najwyraźniej starał się odnaleźć doktora Pastora. Gdy dopnie swego, Kwatera Główna będzie o tym wiedziała.

Cameron wszedł pewnego dnia do biura niezdrowo podniecony. DuBrose podniósł wzrok znad papierów zawałających jego biurko, z góry przygotowany na niepomyślne wiadomości.

- Coś się stało?

- Znalazł już Pastora? Nie? No to niech pan posłucha. Mam pewien pomysł. - Korzystając z monitora DuBrose'a połączył się z Elim Woodem. Matematyk, jak zawsze spokojny, przywitał ich z ekranu skinieniem głowy.

- Uszanowanie. Robimy spore postępy. Odkryłem właśnie, że ludzi nie ma. Zgodnie z tą konkretną prawdą jest to całkiem do przyjęcia. Nawiasem mówiąc, zbliżamy się do końca.

- Nadal czuje się pan dobrze? Ale przecież widzę, że tak. Niech pan posłucha, panie Wood, i powie mi, co pan na to. Zakładamy, że Ridgeley przyniósł to równanie ze sobą przenosząc się wstecz w czasie. Udostępnił je Falangistom. No cóż, poprzez tego mutanta, Van Nessa, zapoznaliśmy się trochę z przeszłością Ridgeley a i okazuje się, że przybył tu z nadzwyczaj rozwiniętego świata - rozwiniętego pod względem technologicznym. Równanie jest tam wykorzystywane na co dzień. Nie mogłem wydobyć z Van Nessa zbyt wiele, ale dochodzę do wniosku, że jest to broń - nie jedyna, po prostu jedna z wielu. Czy nie wydaje się panu, że współcześni Ridgeleyowi powinni znać również kontrrównanie, czynnik anulujący wpływ równania oryginalnego?

Wood zacisnął usta. - Wygląda na to, że powinni. Czy nie może się pan dowiedzieć tego za pośrednictwem mutanta?

- Jest tylko biernym obserwatorem. Nawet jeśli widział kontrrównanie w użyciu, nie potrafi wystarczająco wiernie opisać tego faktu. Zbyt wiele umyka jego uwadze. Poza tym niełatwo nam nim kierować - a zresztą i tak nie wiemy, czego szukać. Ale czy zakładając, że Ridgeley zna sposób na równanie i potrafi się nim posługiwać, możemy również przyjąć, że zna kontrrównanie?

- Chyba tak. Śledzicie go skanerami.

- I o to mi właśnie chodzi - powiedział Cameron. - On szuka Pastora. A Pastor jest w posiadaniu niszczącej mocy będącej częścią składową równania. Ridgeley musi wiedzieć, jak obronić się przed Pastorem.

- Jedyną obroną byłoby kontrrównanie.

- Jeśli użyje go przeciw Pastorowi.

- Praktyczne zastosowanie - mruknął Wood wpatrując się w zamyśleniu w cybuch swej fajki. - Rozumiem. Gdyby

to zrobił, moglibyśmy wyprowadzić kontrrównanie na podstawie poczynionych wtedy obserwacji. Jeśli obserwator z naukową podbudową widzi po raz pierwszy strzelający pistolet, powinien być w stanie, w każdym razie teoretycznie, opracować technologię otrzymywania prochu strzelniczego. Ha. Proponowałbym nakierowanie na Ridgeleya za pośrednictwem skanerów kamer wyposażonych w funkcję analizy ilościowej. Sprzęgnijcie je z aparaturą do wykonywania zdjęć w podczerwieni, nadfiolecie i ze wszystkim, co tylko przyjdzie wam do głowy. To starczy na początek. Jeśli Ridgeley praktycznie wykorzysta kontrrównanie przeciw Pastorowi, rozgryziemy ten problem.

Wood wyłączył się, a Cameron odwrócił się do DuBro-se'a. Po raz pierwszy od kilku tygodni z oczu dyrektora zniknę! a sztywność.

- Zdaje pan sobie sprawę, co by to znaczyło? - spytał cicho.

- Tak. Nie byłby pan już... nawiedzany.

Cameron wzruszył ramionami. - To naturalne, że najpierw myślę o korzyściach osobistych. Ale oznaczałoby to również, że moglibyśmy zgnieść Falangistów. Oni nie mają kontrrównania. Ridgeley nigdy by im go nie dał. Kontrrównanie jest jego gwarancją na utrzymanie się przy życiu. W jego sytuacji grozi mu automatycznie zamach - bo Falangiści nie mogą mu ufać.

- Nie byłby dla nich zbyt cenny?

- Bardziej niebezpieczny niż cenny. Dał im broń, za pomocą której można wygrać wojnę, w zamian za... za coś. Nie wiem za co. Ale gdyby odnieśli zwycięstwo, na co byłby im potrzebny Ridgeley? A przypuścimy, że Ridgeley sprzedaje się nam? Najemnik zmieni stronę, jeśli mu się to opłaci. Falangiści mogą się obawiać Ridgeleya, mogą go uważać z ogromnie użytecznego, ale wątpię, żeby mu ufali. Z punktu widzenia Falangistów, mógłby wygrać wojnę dla obojętnie której strony. Ridgeley nie byłby więc tak nierozsądny, by zaufać swoim sprzymierzeńcom i wraz ze swą bronią sprzedać im też swoją tarczę.

- To brzmi przekonująco - przyznał DuBrose. - Ale przypuścimy, że nie odnajdzie Pastora?

- Mmmm. Zebrało się panu na żarty, co? Spróbujmy jeszcze raz z Billym.

Zaczynał się wyłaniać pełniejszy obraz.

W czasach Ridgeleya również toczyła się wojna. Ale była to wojna absolutna. Taka, na której rzecz pracowały najpotężniejsze systemy techniczne, jakie kiedykolwiek widziała planeta.

Wojna ta trwała długo. Odcisnęła się piętnem na każdym sektorze systemu społeczno-ekonomicznego. Czuła plazma zarodkowa była przed narodzinami naświetlana promieniowaniem zapewniającym późniejsze rozwinięcie się pewnych niezbędnych uzdolnień. Ziomkowie Ridgeleya byli wojownikami z krwi, kości, nerwu i umysłu. Byli wspaniale przygotowani psychologicznie do swego rzemiosła.

A w tych czasach istniało tylko jedno rzemiosło. Wojna.

Znakomita koordynacja pracy mięśni połączona z super-sprawnym układem nerwowym. Reakcje Ridgeleya były błyskawiczne. Potrafił podejmować decyzje w przeciągu ułamków sekundy. Był ucieleśnieniem Marsa.

Wyszkolono go w walce i umiejętności przetrwania, wszystkimi potężnymi środkami dostępnymi w jego erze czasowej. Żeby walczył i zwyciężał.

I tylko tyle.

W biurze Camerona...

- Pańska sugestia, że Ridgeley nie zaufałyby swoim sprzymierzeńcom Falangistom - powiedział Wood - pobudziła mnie do myślenia. Nie dałby im kontrrównania. Ale istota tkwi w czym innym - i to właśnie mnie wstrzymywało. W samym równaniu występuje pewne przekłamanie.

- Całe równanie jest zafałszowane - wykrzyknął DuBrose. - Na tym ono polega, prawda?

Wood zamrugnął oczyma. - Niemniej zakładałem, że zawiera wszystkie gambity. Aż do wczoraj. Czy nie przyszło do głowy któremuś z panów, że Falangiści nie wykorzystują w pełni swojej broni?

- Nasi technicy tracą zmysły... - *zaczęło* Cameron.

- Wykorzystano pewną ilość czynników oferowanych przez zmienną logikę. Te mianowicie, które mogą być używane nawet w przypadku, gdy równanie nie jest kompletne.

- Niekompeltne! - wykrztusił DuBrose.

Wood wystukał popiół z fajki. - Takie właśnie jest. Przerobiono je przepięknie, a fakt interwencji tak zręcznie zamaskowano, że wygląda na niemal kompletne równanie, ale brakuje pewnego czynnika. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie zacząłem rozważać możliwości jego braku. Układanka z brakującym elementem. Jeśli się o tym wie, jeśli dopasuje się do siebie resztę elementów, można ujrzeć kształt brakującego elementu. W jego obecnej niekompletnej postaci zastosowania równania są ograniczone.

- Ale dlaczego? - spytał Cameron.

- Mój Boże - wtrącił DuBrose - znam na to odpowiedź! Kompletne równanie musi stanowić zagrożenie dla Ridgeleya! Mogłoby zostać użyte przeciwko niemu! To oczywiste, że nie powierzyłby czegoś takiego Falangistom ani komukolwiek innemu.

Dyrektor przyglądał się swoim dłoniom. - Zakładaliśmy dotąd, że Falangiści dysponują... kompletną bronią. A pan twierdzi, że prawdopodobnie posiadali bombę, ale bez celownika. Tak?

Wood skinął głową. Cameron mówił dalej:

- No tak... ale Falangiści nie są durniami. Mają dobrych techników. Odkryliby, że równanie nie jest kompletne.

Wood ponownie pokiwał głową. - Mieli na to dosyć czasu.

- Ale nie znaleźli brakującego czynnika, bo inaczej użyliby równania przeciw nam w zmasowanym ataku. Zakładam, że kompletne równanie byłoby w zastosowaniu praktycznym bronią właściwie doskonałą.

- Nie można mieć pewności. Powiedziałbym jednak, że tak. Nie licząc oczywiście kontrrównania.

Cameron uśmiechnął się. - To by znaczyło, że technicy Falangistów również pracują nad tym problemem, że też zapadają na związaną z tym chorobę zawodową. Muszą znaleźć brakujący czynnik, bo boją się, że my znajdziemy go pierwsi, a także boją się Ridgeleya. Ciekaw jestem, ilu najwybitniejszych techników Falangistów już zwariowało?

- To miecz obosieczny - powiedział podniecony DuBrose. - Musi takim być. Gdyby Ridgeley...

Dyrektor chrząknął - Czy potrafi pan odnaleźć ten brakujący czynnik?

- Myślę, że tak.

- A więc dlaczego nie mogą tego dokonać Falangiści?

- Może wchodzi tu w grę rasowe upośledzenie psychologiczne - podpowiedział DuBrose. - Zawsze byli reakcjonistami. Ich kultura jako całość jest stosunkowo młoda, ale wywodzi się z bardzo starych, mocno zakorzenionych tradycji. Oni...

- Oni nie grywają w szachy bajkowe - dokończył za niego Wood. - Och, istnieje możliwość, że znajdą odpowiedź, ale nie mogli tego jeszcze dokonać, bo wtedy zostalibyśmy zmiażdżeni. Tak potężne może być kompletne równanie. I jeszcze jedno. - Zachichotał. - Gdyby mi się nie udało, na pewno byście mnie nie zastrzelili ani nie musiałbym popełnić honorowego samobójstwa. Falangiści mają surowy, arbitralny kodeks etyczny. Nie tylko służą państwu, ale również je czczą. Porażka jest dla nich nie do pomyślenia.

Cameron zdawał się zgadzać z opinią matematyka. - Duńczycy wiele razy zadawali kieskę Sasom, ale Alfred ze swoimi ludźmi uparcie powracał. Kiedy Duńczycy zostali

pobici pod Ethnandune, załamali się również psychicznie. Kultura Falangistów jest nieelastyczna. Musiała być taką na początku, bo inaczej załamałaby się. Ale teraz... tak, nasi technicy zdręczają się, kiedy nie potrafią rozwiązać równania, i popadają w obłęd. Lecz technicy Falangistów ze swej natury przeżywają to o wiele bardziej. To kalectwo kulturowe.

- Dla mnie to zabawa - powiedział łagodnie Wood. - Po prostu nie mam czasu na zmartwienia. Mogę więc rozgryźć to równanie, znaleźć brakujący czynnik i uwinąć się z tym wszystkim stosunkowo szybko.

Cameron popatrzył na niego. - Możemy wygrać tę wojnę. Mamy na to szansę. Ale jeśli tak się stanie, zawsze będę się zastanawiał, dlaczego Ridgeley związał się ze stroną przegraną.

- Nie zrobiłby tego - powiedział DuBrose - gdyby wiedział. A więc nie mógł wiedzieć. Może do jego czasów nie zachowały się żadne wiarygodne przekazy. Pozostały tylko niejasne legendy, że mniej więcej teraz toczyła się jakaś wojna. Ale legenda mogła nie zawierać informacji o tym, kto w niej zwyciężył. Nawet jeśli zachowały się jakieś solidne przekazy, mogły być tak wrywkowe, że...

- Wrywkowe i niedokładne - wpadł mu w słowo Cameron. - I tu nasuwa się jeszcze inna możliwość. Alternatywne linie czasu. W oryginalnej przeszłości Ridgeleya zwyciężyć mogli Falangiści. Ale wracając pod prąd czasu zakłócił równowagę i przełączył bieg historii na alternatywną przyszłość.

Matematyk wstał. - Muszę wracać do pracy. Teraz kiedy ta sprawa nieco się wyjaśniła, być może...

Cameron nie miał od niego wiadomości przez trzy następne dni.

W chłodzie wieczora Bóg, dawniej Emil Pastor, kroczył wśród pszenicznych łąk Dakoty. Jego drobna, niepozorna figurka brnęła przed siebie, a wokół, w poświacie księżyca,

falował łagodnie srebrzysty ocean pszenicy. Bóg podążał za swym cieniem.

Ten cień jest rzeczywistością; rzeczywistość - cieniem. Pod stopami dudniła głucho pusta w środku ziemia i za każdym krokiem dźwięk ten wyrażał się grzmotem w jego obolałą głowę. Nie zatrzyma się. I tak był już spóźniony. Im wcześniej osiągnie swój cel, tym szybciej rozwiane zostaną dręczące go wątpliwości.

Bóg powinien być wszechmocny. Z tym był kłopot. Był podwójną osobowością. Prześladowało go niejasne, nieprzyjemne przeczucie, że być może jest nie tylko Bogiem, ale i Apollionem. Mógł wcale nie być Bogiem. Mógł być zaledwie demonem zniszczenia.

Dlaczego nie był w stanie wyleczyć swego ramienia?

Tkanki nerwowe uległy zwęgleniu. Ból, jaki odczuwał w tym ramieniu, był urojony - to zjawisko znane dla przypadków amputacji. Przywiązał obumarłą kończynę do boku; rozpraszała go dyndając swobodnie.

Lekarzu, wylecz siebie. Boże wylecz Siebie. Apollionie...

Bardzo, bardzo zaintrygowany zwolnił, zatrzymał się i stał tak w milczeniu pośród wielkiego pola pszenicy, wpatrując się w swój czarny, jednoręki cień. Ale jakby z wielkiej dali i niejasno docierało doń jednak nadal wspomnienie czegoś nazywanego drogim Emilem, i wiedział, że oznacza to bezpieczeństwo, i że jego cień zaprowadzi go do tego azylu.

Tam dowie się, jakie jest jego imię. Bóg czy Apollion. To określi jego przeznaczenie. Bóg musi *rzządzić* sprawiedliwie i z wyrozumiałością, Apollion musi niszczyć.

W pszenicy coś się poruszało.

Nie - to wiatr.

Pragnął, by ból ustał, ale on nie ustawał.

Po jego policzkach potoczyły się powoli niehamowane łzy bezsilności i już nie widział tego poruszenia zbliżającego się doń cicho poprzez pszenicę w białej, nieubłaganej poświacie księżyca.

Obrazoburca podkradał się bezszelestnie do Boga.

- A co z zastosowaniem w praktyce?

- Dostyc proste. To wygląda mniej więcej tak, panie Ca-meron. Nie może pan grać w szachy bajkowe, jeśli nie ma pan planszy, figur i jeśli nie zna pan reguł gry. Teraz, skoro rozgryźliśmy równanie, znamy już reguły.

- No a plansza? A figury?

- Są wszędzie wokół nas. Materia, światło, dźwięk - rzeczy, o których normalnie nie myśli pan jako o... eee... o maszynach. Normalnie nimi nie są. W tradycyjnych szachach nie można stosować takich figur jak pasikonik, czy nietoperz. Logika ortodoksyjna nie dopuszcza wykorzystywania... powiedzmy, papierosa w charakterze maszyny. Ale zakładając zmienność prawd, nawet papierosowi przypisać można arbitralne własności. Planszą i figurami jest to kontinuum czasoprzestrzenne.

Oddziaływając na określone poza-realne założenia czasoprzestrzeni zmienia pan kształt tej planszy. A mówiąc o pozarealności, mam na myśli pozarealność z punktu widzenia standardów ortodoksyjnych.

- Ale mnie chodzi o zastosowanie praktyczne!

- Energię wstępną może nam dać silnik spalinowy, ale wystarczy również prosta energia nerwowa. Otaczają nas ogromne źródła energii, panie Cameron. W świecie logiki ortodoksyjnej nie możemy z nich korzystać, a w każdym razie nie potrafimy tego robić bez wyspecjalizowanych maszyn.

- Wyprowadził pan kompletne równanie? Ten brakujący czynnik...

- Znalazłem go. Pasuje. Mamy coś, czego nie mają nawet Falangiści. Ale nawet w tej postaci istnieją ograniczenia. Mikrokontinuum prawdy zmiennej utrzymać można tylko tak długo, jak długo energia wyjściowa jest wystarczająco dużo i efektywnie pobierana oraz kierowana. Może to i dobrze, bo inaczej wszechświat mógłby stanąć dęba. Istnieją ograniczenia. W nieskończoność nie można podtrzymywać nawet promieniowania umysłu. Ale myśl może dać początek.

DuBrose wszedł do gabinetu Camerona.

- Pastor nie żyje - oznajmił matowym głosem. - Ridgeleygo zabił. Ale nie zastosował kontrrównania.

Dyrektor położył obie dłonie płasko na blacie biurka i przyglądał się w napięciu. Na jego policzku drgał mięsień.

- To niedobrze - powiedział.

- Jak... jak z tym?

Cameron uniósł umęczoną twarz. - A co pan myśli? Wałą we mnie bez ustanku od... miliona lat! Ja... ja... zrób mi zastrzyk, Ben.

DuBrose nosił w ostatnich dniach w kieszeni zestaw do zastrzyków narkotycznych. Wbił zreżymioną igłę w ramię Camerona i skierował na skórę krótkotrwałą emisję ultrafioletu. W chwilę później dyrektor opadł na oparcie fotela, a tik w policzku zanikł.

- Już lepiej. Nie mogę długo tego wytrzymać. W tym stanie otumanienia nie potrafię zebrać myśli.

- To odpędza te pluskwy, szefie.

- Teraz to nie pluskwy. Coś nowego... - Cameron nie rozwijał tego tematu. - Powiedz mi... co chcesz powiedzieć.

- Jak pan wie. Ridgeleya śledził skaner. Facet znalazł Pastora dziesięć minut temu w Dakocie. Podkradł się i zabił go tym swoim małym krystalicznym urządzeniem. Indiańska robota. Pastor nawet nie zauważył, jak się zbliża. Ridgeley podczołgał się na odległość strzału i wygarnął do niego. Nie wydaje mi się, żeby którykolwiek z wyizolowanych, żyjących obecnie ludzi to potrafi.

- Ridgeley... był szkolony do walki. Wszelkiego rodzaju-

- Tak. A więc nie musiał używać kontrównania. Całe

zajście zostało zarejestrowane; Wood ogląda to teraz na odtwarzaczu. Ale jestem przekonany, że nic nie znajdzie.

Cameron wskazał powolnym ruchem papier leżący na jego biurku - Sporządziłem charakterystykę psychologiczną Ridgeleya. Przeczytaj to. - Poprawił się w fotelu

i przymknął oczy; jego twarz wciąż wykrzywiały bruzdy napięcia. DuBrose przyglądał się niespokojnie dyrektorowi, zdając sobie sprawę, że Cameron nie wytrzyma już tego długo. Od momentu, kiedy gałka u drzwi otworzyła niebieskie oko i spojrzała na Camerona, a mijało już dwa tygodnie od tego zdarzenia, nieszczęśnik znajdował się pod nieustannym ostrzałem. Nerwica lękowa przechodziła w rzeczywistą psychozę. Jeśli jednak udałooby się zlikwidować presję, powrót do zdrowia byłby szybki.

Zanim zjawił się Eli Wood, DuBrose skończył lekturę dokumentu. Wręczył go bez słowa matematykowi.

Wood przeczytał go. Skinął głową Cameronowi.

- Jest pan pod wpływem, co? Tak, wydaje mi się, że to panu potrzebne. Ridgeley nie wykorzystał kontrównania; DuBrose powiedział panu?

- Nawet gdyby go użył - odezwał się Cameron trochę ochryplym głosem - moglibyśmy nie być w stanie go rozgryźć.

Wood potrząsnął głową. - Błąd w rozumowaniu. Dysponujemy teraz modelem w postaci oryginalnego, rozwiązane równania. A to umożliwia analizę wszystkiego. Sprowokujcie panowie Ridgeleya do zastosowania tego równania, tak żebym ja to widział, a gwarantuję, że dostarczę wam rozwiązanie prawdopodobnie w przeciągu kilku godzin. Integratory są już nastrojone na zmienną logikę.

- On może... mimo wszystko go nie znać.

DuBrose ponownie sięgnął po dokument. - Ale może je znać, szefie. Gdyby udało nam się postawić go w sytuacji, w której musiałby go użyć... mmm. Co my właściwie o nim wiemy?

- Pochodzi ze... świata uwikłanego w wojnę totalne.

- Cały ten materiał uzyskaliście od mutanta? - spytał Wood.

DuBrose uśmiechnął się blado. - Trzeba było szeroko zakrojonych operacji. Informacje te wydobyliśmy z niespój-

nego materiału liczącego sobie osiemdziesiąt tysięcy słów. Ale co do Ridgeleya - dowiedzieliśmy się trochę o jego ograniczeniach. Jest ostatnim z wojowników.

To nie było takie całkiem proste. Wyobraźcie sobie świat prowadzący wojnę absolutną, świat tak rozwinięty technicznie, że zaszczepianie doktryny rozpoczynało się jeszcze przed narodzeniem. I wyobraźcie sobie planetę wstrząsaną konfliktem dwóch narodów, dwóch ras uwikłanych pokolenie

za pokoleniem w śmiertelne zmagania. W porównaniu z tym wojna z Falangistami zdawała się trwać chwilę.

Matrycą była wojna. To był podstawowy model i wszystko inne musiało się z nią zintegrować i skoordynować. Bardziej zrozumiała od nauki tych czasów była psychologia.

A zatem indoktrynacja aż do momentu, kiedy jednostka stawała się doskonałą maszyną do walki i zwyciężania. Ale tylko do tego.

Równoległe z pewnymi kierunkami wojskowymi odbywało się naturalnie surowe szkolenie w zakresie sztuki kompromisu i przystosowania. Daniel Ridgeley od okresu embrionalnego przygotowywany był do podboju i rządzenia. Jeszcze przed poczęciem starannie dobrano mu podstawowe geny i chromosomy pod kątem odpowiednich cech dziedzicznych.

I naród Ridgeleya przegrał wojnę.

Z pokonanych wielu zginęło, a jeszcze więcej poddało się i zostało wchłoniętych przez strukturę społeczną zwycięzców. Ale Ridgeley był zbrodniarzem wojennym. Nie tym największym; kiedy zniknął, nikt nie zadał sobie trudu, by w pościgu za nim przeszukiwać czas. Zbiegł - i nie mógł już wrócić - a więc zapomniano o nim.

W czasach Ridgeleya dokonywano już pierwszych prób z podróżą w czasie. Wybrał więc tę drogę ucieczki. Nie mógł pozostać w świecie swego czasu, bo jego konstrukcja psychiczna nie pozwoliłaby mu pogodzić się z porażką. Był maszyną zbudowaną do jednego celu.

Tygrysy z racji swych cech dziedzicznych i środowiska, w którym żyją, są mięsożercami. Na diecie z trawy zdechłyby. Gdyby posiadały delikatne systemy nerwowe ludzi, mogłyby oszaleć.

Mięsożercy rządzą; roślinożercy się podporządkowują. Mięso bitwy - zwycięskiej bitwy - było Ridgeleyowi niezbędne do istnienia. Tak więc pozbawiony naturalnej diety, szukał jej gdzie indziej.

- Sporo w tym teorii - powiedział powoli Cameron.

DuBrose skinął głową Woodowi. - Nie wiemy, z jak odległej przyszłości pochodzi Ridgeley. Zapewne przyszło panu na myśl, że mógłby przecież zajrzeć do jakiejś historycznej książki i sprawdzić, czy Falangiści wygrają tę wojnę, czy nie. Nigdy nie wybrałby strony skazanej na porażkę.

- I może jej nie wybrał - mruknął Cameron.

- Wypracowaliśmy już inne wyjaśnienie, szefie. Pamięta pan? Przekazy historyczne z naszej ery mogły nie przetrwać do czasów Ridgeleya. Być może wiedział tylko tyle, że mniej więcej w tym okresie toczyła się wojna. Z drugiej strony czas mimo wszystko może być elastyczny i przyszłość można zmieniać przeskakując w inną linię prawdopodobieństwa. Ale sam nie wiem. Najważniejsze... - Patrzył na Wooda. - Niech pan posłucha. Naród Ridgeleya odkrył zasadę podróży w czasie i wielu ludzi wtedy jej próbowało. Ale żaden z nich nigdy nie powrócił - ani z przyszłości, ani z przeszłości.

Matematyk zamrugał powiekami. - A dlaczego?

- Jeszcze tego nie wiemy. Niech pan nie zapomina, że nasz mutant informator jest w zasadzie

obłąkany. Cierpi na dezorientację czasową, co według mnie wystarcza, żeby komuś pomieszało się w głowie. Te istoty, które zamieszkiwały w Niewypałach, mogły być przystosowane do posługiwania się postrzeganiem ponadczasowym i pozostania przy zdrowych zmysłach - ale one nawet w przybliżeniu nie były ludzkie, a więc nie można do nich odnosić naszych kryteriów normalności. Kiedy Billy dojrzał i nabył zdolności postrzegania ponadczasowego, oszalał.

- Czy ktokolwiek może... używać tego równania? - spytał Cameron.

- Pod jakimś kierunkiem tak - odparł Wood. - A bę dzie to łatwiejsze, kiedy zakończą się prace nad moimi przetwornikami.

Cameron przymknął oczy. - Znowu klincz. Rozwiązaliśmy równanie, ale Falangiści też tego dokonali. Gdybyśmy zdobyli kontrrównanie. Ridgeley mógłby je udostępnić Falangistom - znowu doszłoby do klinczu. Lepiej się zmobilizujmy, Ben: przygotujmy się do zmasowanego ataku na Falangistów. Połącz się z Kalenderem. Czy nadal skanują Ridgeleya?

- Tak.

Dłonie Camerona zacisnęły się na biurku w pięści. - Wykorzystaj równanie przeciwko niemu. Uderz w niego. Potraktuj go tym samym, czym Falangiści zdręczają mnie. Ale to będzie coś gorszego. To będzie szturm, od którego nerwy popłaczą mu się w supły. Nie daj mu ani sekundy wytchnienia.

Coś spełzło DuBrose'owi po plecach i eksplodowało podnieceniem. - Chce pan go zmusić do użycia kontrrównania?

- W samoobronie. Nie będzie to łatwe. Ma wielkie możliwości. Ale przeciwko równaniu istnieje tylko jedna tarcza i jeśli zdołamy skłonić Ridgeleya do zasłonięcia się nią...

- W porządku, szefie. Da się zrobić, Wood?

- Da się - powiedział lakonicznie matematyk. - Ale...

- Ale co?

- Niech Bóg ma w opiece Ridgeleya.

13

Gotów? Gotów.

Helikopter stał w odległości niecałych dwóch kilometrów. Ale mógł do niego dotrzeć. To był pierwszy krok. Drugim

będzie przedostanie się do Falangistów. Dysponując równaniem nie powinien mieć trudności ze sforsowaniem nabrzeżnych ekranów siłowych. Nad polami pszenicy wisiały szare mgły świtu. Nieliczne gwiazdy blakły w obliczu napierającego perłowego światła. Grunt pod jego stopami drgał i krzyczał niczym żywe ciało.

Założył blokadę na swój umysł.

Koncentrować się na jednym celu; tego musiał się trzymać. Do helikoptera dziesięć minut szybkiego marszu. A to nie będzie jeszcze koniec. Drażki sterownicze mogą zacząć się wíć i wrywać mu z dłoni; zmienne prawdy znajdujące się teraz pod kontrolą wroga mogą bombardować go bez ustanku.

Ale i bez skutku.

W jego erze czasowej przechodził przeszkolenie w odpieraniu takich ataków. Zwykle łatwo dawało się je zneutralizować za pomocą kontrrównania - co było takie proste. Nie mógł go teraz użyć. Śledziły go skanery i obserwowały zachłanne oczy gotowe badać i analizować.

Dotrzeć do Falangistów i powierzyć im kontrrównanie. Nie okażą prawdopodobnie należytej wdzięczności, ale potrafi się zabezpieczyć. I będzie jednym ze zwycięzców.

Krople oleistej, gęstej cieczy ściekały mu po twarzy i pelzły w kierunku ust i nozdrzy. Zaczął silniej wydychać powietrze. Utrzymywał blokadę umysłu. Sposobem na odpieranie takiego jak ten ataku było spodziewanie się niespodziewanego. A ten sposób podpowiedziały mu lata indoktrynacji i treningu.

Musiał dostosowywać krok do zmieniającej się struktury gruntu, to chropowatej jak potrzaskana skała, to znowu śliskiej jak gładka tafla lodu.

Pszeniczne pola zapadły się gdzieś. Stał na szczycie, na krawędzi otchłani.

Zaczai schodzić ze spokojną, kamienną twarzą i z tryumfalnym blaskiem podniecenia gorejącym w czarnych oczach. Był zaprawiony w walce. To była jego wojna. Ten płomień-ny zachwyty odczuwał tylko w obliczu niebezpiecznych wyzwań.

Jego mózg był dostosowany do niezwykle reagowania na adrenalinę. Zachowywał ostrożność, ale strach był mu z gruntu obcy.

Ziemia pod stopami falowała jak ocean.

Usuwała mu spod nóg. Szedł już dłużej niż dziesięć minut. Nie było nigdzie widać ani helikoptera, ani skrywającej go kępy drzew.

Przystanął, żeby się zastanowić, wciąż trzymając umysł w żelaznym uścisku. Blokada wytrzymywała. Inwazja ześlizgiwała się po niej nie czyniąc mu szkody.

Krajobraz przesunął się. Helikopter stał na lewo. Ruszył w tamtym kierunku - krzepki, niestrudzony człowiek brnący polami pszenicy...

Oczy wystrzeliły mu na szypułkach.

- *Na razie nic z tego.*

- *Teraz ja spróbują.*

Oczy wycofały się. Przed nim rozciągała się olbrzymia szachownica. Poczłł nieprzezwyćioną pokusę skręcenia w kierunku jednego z pól, ale nie zboczył z kursu. Helikopter...

Skacząc w zwariowany sposób pod niebo i opadając z powrotem w dół nadchodziły figury szachowe o dziwacznych, fantastycznych kształtach. Ale w biolaboratoriach swojej ery czasowej widywał bardziej niesamowite twory.

Szedł dalej.

- *Trzy godziny, Wood! Ale przynajmniej udało się nam nie dopuścić go do helikoptera.*

- *Najwyraźniej potrafi sobie radzić z imaginacjami normalnych umysłów. Był szkolony w tym kierunku...*

- *A umysłowo chorzy? Czy potrafiłbyś pokierować ich myślami - przenieść je na odległość?*

- *To mogłoby podziałać. Będziesz musiał mi pomóc. Hipnoza i sugestia. Ty zajmiesz się tym od strony pacjentów, ja od strony równania. Spróbujemy tego DuBrose. Czy nie możemy wziąć do pomocy Camerona?*

- *Śpi. Jest pod działaniem narkotyku. Musiałem to zrobić.*

Mamrotały doń kształty panicznego lęku kryjące się za nieistniejącymi narożnikami. W przygnębiająco powolnym, koszmarnym locie minęły go białe ptaki machając z mozołem skrzydłami. Rozpływająca się twarz powtarzała nic nie znaczące rymowane frazy. Czerwone, żółte i nakrapiane dia-bliki wmawiały mu, że jest winien i że zgrzeszył.

Halucynacje szalonego umysłu, którym nadano obiektywną realność za pomocą zmienności prawd. Na bajkowej szachownicy właściwości energii i materii zmienione zostały tak, że te arbitralne figury szachowe przybrały kształt i substancję.

Figury szachów bajkowych wrzeszczały nań, śmiały się z niego, szłochały, gwizdały, mlaskały, wzdychały...

Czające się, przepelnione nienawiścią cienie. Zjawy irracjonalnego strachu, nienawiści i podniecenia. Świat szaleńca.

Parł dalej w kierunku helikoptera. Oczy płonęły mu straszonym, gorejącym zachwytem.

Siedem godzin.

- Na jedno mam odpowiedź - powiedział Wood. DuBrose odwrócił ku niemu bladą, ściągniętą twarz i otarł pot z czoła. - Na co?

- Chyba na podróż w czasie. Czy nie uświadomiłeś sobie, że Ridgeley mógłby bardzo łatwo umknąć przenosząc

się o kilka dni w czasie? Ale nie uczynił tego. Skojarzyłem to z innymi czynnikami; z faktem, że w czasach Ridgeleya nikt nie powrócił nigdy z wyprawy temporalnej. No i te Niewypały. Zgodnie z naszą tymczasową teorią przybyły tu cofając się w czasie w poszukiwaniu czegoś - prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się czego. W końcu dały za wygraną i umarły tu.

Przypalając sobie papierosa DuBrose zauważył, że nie może opanować drżenia ręki. - Jaki z tego wniosek?

- Podróż w czasie jest jednokierunkowa - powiedział Wood. Wykrzywił twarz i rozejrzał się obojętnie po gabinecie. - Dopiero co przyszło mi to do głowy, ale pasuje. W czasie można się przemieszczać tylko w jednym kierunku. W przeszłość albo w przyszłość. Nie można jednak wrócić.

- Dlaczego nie?

Wood wzruszył ramionami. - Dlaczego wrogowie Ridgeleya nie wysłali za nim pościgu? Jest przecież zbrodniarzem wojennym swojego okresu. Ale pozwolono mu zbiec poprzez czas, chociaż jest nadzwyczaj niebezpieczny. Przypuśćmy, że udałby się w przyszłość wyprzedzając znacznie jego czasy, zorganizował tam sobie jakąś superbroń i wrócił z nią w swój okres? Nie puszcza się wolno kryminalisty, jeśli ma on dostęp do wibropistoletu.

- Chyba że nie może już wrócić - mruknął pod nosem DuBrose marszcząc czoło. - Chcesz przez to powiedzieć, że Ridgeley jest banitą?

- Dobrowolnym. Istoty z Niewypałów też nie mogły wrócić do swoich czasów. Można się przemieścić - i kontynuować to przemieszczanie - tylko w jednym kierunku temporalnym, albo w przyszłość, albo w przeszłość. Ale nie można już zawrócić. Wracając spotkałoby się siebie samego.

- Co?

- To droga jednokierunkowa - tłumaczył Wood. - Dwa obiekty nie mogą istnieć w tym samym punkcie czasoprzestrzeni.

- Chodzi ci o to, że dwa obiekty nie mogą zajmować tego samego miejsca w tym samym czasie.

- Zgadzasz się ze mną? Przedłużenie Ridgeleya rozciąga się wzdłuż linii czasu od teraz do jego macierzystego okresu. Nie może wrócić do domu. Wpadłby na siebie samego. Ekspłodowałby, czy coś w tym rodzaju.

DuBrose spojrzał spode łba. - Ha. Niełatwo to przełknąć. Niewypały...

- Przypuszczam, że one zrezygnowały. Doszły do wniosku, że nie ma sensu szukać dalej. No i - umarły.

- Chwileczkę. Dlaczego Ridgeley nie próbował umknąć przed naszym atakiem cofając się w przeszłość? To mógłby zrobić, prawda?

- Mógłby, ale czy by chciał? Ty jesteś psychologiem.

- Tak... nie zrobiłby tego. Nie potrafi wycofać się z walki, dopóki nie będzie pewien, że przegrał. Przypuśćmy, że uznaje się za pokonanego i ponownie umyka w przeszłość? Nie wykorzystując kontrrównania?

- Zrobiłby to? Nawet gdyby był zmuszony dopuścić do tego, by ta informacja wpadła w nasze ręce, nie przegra swej prywatnej wojny. Może mieć jeszcze coś w zanadru.

- Musimy go złamać. Jak dotąd odparł wszystkie nasze ataki. Jest przystosowany do obrony przed niespodziewanym lub czymś w tym rodzaju. Nie ugiął się nawet przed tymi projekcjami

obiektywnego szaleństwa. Co go pokona?

Matematyk skrzywił się. - Nie wiem. Jeśli będziemy bombardować bez ustanku...

Pewien mglisty pomysł zaświtał DuBrose'owi w głowie. Zdołał go uchwycić.

- Mutant... taaak! Billy Van Ness! Wood, czy moglibyśmy go wykorzystać go przeciwko Ridgeleyowi?

- Czemu nie... ale co to da? Przecież stosujemy już projekcję rojeń chorych umysłów.

- To są zwykli obłąkani - wpadł mu szybko w słowo

DuBrose, gasząc nerwowo papierosa. - Van Ness dysponuje czymś specjalnym. Postrzeganiem ponadczasowym. Jest mutacją nieludzkiej rasy, rasy całkiem nam obcej. Pozostawili mu spuściznę, która wpędziła go w obłąd, kiedy tylko mógł z niej skorzystać. Postrzeganie ponadczasowe objawiło się u niego dopiero wtedy, kiedy dojrzał. Potem - ucieczka w obłąd. Nie wydaje mi się, aby nawet umysł Ridgeleya potrafił oprzeć się postrzeganiu ponadczasowemu.

- Ale nam nie chodzi o doprowadzenie go do obłądu.

- Nie zapominaj o jego błyskawicznych reakcjach. Zorientuje się, do czego zmierzamy. Użyj kontrrównania - będzie musiał go użyć. Nie będzie miał czasu na wypracowanie innych możliwych wariantów obrony. Jeśli postrzeganie ponadczasowe jest tak niebezpieczne, jak sądzę, Ridgeley, zaledwie je zwietrzy, wpadnie w panikę i udzieli nam informacji, o które nam chodzi. Tylko czy możemy prze-transmitować na odległość postrzeganie ponadczasowe Van Nessa?

- Zgodnie z logiką ortodoksyjną to nie - powiedział Wood. - Ale my zastosujemy wariant prawdy, w którym transmisja predyspozycji psychicznych jest możliwa. Możemy spróbować.

- Musimy się przygotować na wypadek, gdyby się udało. - DuBrose odwrócił się do monitora. - Natychmiastowa mobilizacja. Na mój rozkaz uderzyć na Falangistów wszystkimi zastosowaniami równania, jakie do tej pory opracowaliśmy. Dać mi Kalendera... panie Sekretarzu? Proszę trwać w gotowości. Rozkaz może teraz paść w każdej chwili. Zmasowany atak robotów na Falangistów.

- Jesteśmy do tego przygotowani - powiedział sztywno Kalender. - co z obroną?

- Kiedy uzyskamy kontrrównanie, zajmiemy się nią stąd. Wood i jego personel rozpracują ją w mgnieniu oka. W porządku? - DuBrose odwrócił się od monitora. Był cały spięty i odczuwał ucisk w żołądku.

Bał się tego, co miał teraz zrobić.

Przygotowując się nie przerywali ani na moment ataku na Ridgeleya. Ale kurier dzięki swej niezłomnej sile woli był już blisko helikoptera. Podczas gdy Wood po raz kolejny sprawdzał i tabelaryzował czynniki równania, które musieli wykorzystać, DuBrose wprowadził mutantą w stan hipnozy i zadbał o zadowalające podporządkowanie sobie tego obłąkanego, na wpuł obcego umysłu.

Skaner przedstawiał Ridgeleya prącego przed siebie z oczyma płonąca radością konfliktu, który był mu niezbędny do życia, poprzez szalejącą wokół nieustannie burzę zmaterializowanego

szaleństwa prawd zmiennych.

Sprząc umysły Ridgeleya i Van Nessa - taki był plan. Jeśli się to uda...

Nareszcie:

- *Jesteś gotów, DuBrose?*

- *Gotów.*

To była lanca, która mogła przebić jego pancerz. Widział jak nadlatuje. W tej samej chwili, w której zobaczył i zrozumiał, jakiej broni użyto przeciwko niemu, Ridgeley przeanalizował swoje szansę, podjął decyzję i zareagował.

Użył kontrrównania.

Otoczające go wrzenie ustało. Pod południowym słońcem rozpościerały się łany pszenicy. Trzydzieści metrów dalej rosła kępa drzew osłaniająca helikopter.

Był teraz opancerzony. Równanie nie mogło wyrządzić mu żadnej szkody. Ale wrogowie zmusili go do odsłonięcia natury kontrrównania. Bardzo dobrze. Jeszcze może lecieć do Falangistów...

Na szczęście zdążył się osłonić, zanim sprzężenie z umysłem mutanta osiągnęło pełnię. Nawet ten krótki moment kontaktu wyprowadził go z równowagi; jednak pewne małe ziarnko utkwilo głęboko w jego mózgu i przyczaiło się, by w odpowiednim momencie zakiełkować.

Ziarnko? Przyczaiło się?

Ale cóż to za twór, który rósł, który rozwijał swoje sploty, który rozchodził się spiralami po jego świadomości, jak gdyby jakaś iskra zapaliła stos prochu strzelniczego? To tylko jedna komórka jego mózgu, jedna myśl - ale *zaraza* rozprzestrzeniała się od niej szybciej niż światło, obdarzając Ridgeleya zdolnością postrzegania ponadczasowego pochodzącą od obcej rasy ze skrajnie odległej przyszłości.

Opóźniona reakcja. Bomba czasowa. Koloid mózgu musi przystosować się do postrzegania ponadczasowego...

Kępa drzew wyczyniała szalone harce. Nie, tak mu się tylko wydawało. Były tam setki, tysiące drzew nakładających się jedno na drugie w przestrzeni, ale współistniejących w czasie, a linia ich trwania rozciągała się niczym sieć z odroślami kielków kończących się na innych drzewach...

Przed Ridgeleyem zamajaczył mur.

Za nim stały wigwamy.

Przyszłość i przeszłość...

Ograniczone przestrzennie do tej okolicy, ale bez granic w czasie. Wszystko, co było lub będzie, Ridgeley postrzegał jak w przesuwającym się monstrualnym kalejdoskopie, co stawało się coraz oczywistsze w miarę wyostrowania się jego percepcji. Nie dotyczyło to samego tylko zmysłu wzroku. Postrzeganie ponadczasowe jest czymś więcej, jest świadomością istnienia, która rozciąga się poza

obraz i dźwięk, poza słuch.

Manifestacja ta była ograniczona przestrzennie do niewielkiego obszaru bezpośrednio otaczającego Ridgeleya, ale był dziwnie pewien, że może do woli rozszerzać jej zasięg. Nie uczynił żadnego wysiłku, by to osiągnąć. Stał w bezruchu z głową wtuloną między potężne bary, a na czole pulsowały mu nabrzmiące żyły.

Nagle zamknął oczy.

Dezorientacja zwiększyła się. Miejsce, w którym istniał, zajmowały dziesiątki, setki, tysiące materialnych obiektów. Złudzenie. Ale wiedział, że dwa obiekty nie mogą jednocześnie zajmować tego samego wycinka czasoprzestrzeni.

W miejscu tym, w przeszłości i przyszłości, dochodziło do katastrof. Powierzchnia lądów Ziemi nie jest duża. I istniało prawdopodobieństwo, że w którymś momencie wiecznego czasu w miejsce, na którym stał teraz Ridgeley, uderzył piorun, że trzęsienie ziemi rozkołysze mu grunt pod nogami, że walić się tu będą drzewa.

Żyły na jego czole pulsowały coraz szybciej. Zaciskając zęby pochylił głowę, jakby walczył ze śnieżną zamięcią, a zmysł postrzegania ponadczasowego, naturalny dla tamtej, nieludzkiej rasy, żłobił jego mózg wyważając niewyobrażalne drzwi.

Van Ness i inni mutanci nauczyli się postrzegać trwanie - i oszaleli. Dezorientacja była straszliwą nieuchronnością. Mogli przetrwać tylko uciekając w obłąd, do świata zmian zupełnych, świata o bezwzględnej niespójności dla umysłu spodziewającego się instynktownie jakiegoś logicznego wzorca. Trudno było nawet porównać to ze zmienną prawdą. To były szachy bajkowe z szachownicą rozciągającą się od początku do końca czasu, a na tej niewyobrażalnie ogromnej planszy poruszały się niezliczone figury...

Gracz widzi planszę i figury, i pojmuje ten układ. Ale jeśli pion - albo nietoperz w szachach bajkowych - patrzy na szachownicę z punktu widzenia gracza, jaka będzie jego reakcja?

Ridgeley kurczył się w sobie coraz bardziej i bardziej. Napór stawał się niemożliwy do zniesienia.

Nogi ugięły się pod nim. Osunął się na ziemię.

Zaciskając mocno powieki podciągnął kolana pod brodę, skrzyżował ręce, zacisnął pięści i pochylił głowę. Zastygł w pozycji płodowej.

Nie umarł. Oddychał.

Ale nic poza tym.

W miesiąc później Cameron siedział za biurkiem i zaglądał w oczy klęsce. Nie klęsce narodowej. Zwycięstwo miało

już trzy tygodnie, ale Cameron wiedział, jak efemeryczne jest to zwycięstwo.

Te długie, wypełnione rutyną lata były jedynie przygotowaniem; atak, inwazja i zadanie klęski Falangistom odbyły się błyskawicznie. Kontrrównanie okazało się mieczem, którego ciosu nic nie jest w stanie odparować. A raczej tarczą, której nie posiadał wróg. Dezorganizacja Falangistów postępowała pod kierunkiem Eli Wooda niewiarygodnie szybko.

No i zapanował pokój.

Wszędzie, tylko nie w tym pokoju, nie w tej głowie, nie w tym wybiegającym w przyszłość umyśle. Kontrrównanie było proste w użyciu i Cameron wciąż podtrzymywał wokół siebie efekt jego działania. Miał ku temu powód. Był jeszcze cały roztrzęsiony po swej długiej próbie ogniowej, ale żadne prawdy zmienne nie mogły przeniknąć pancerza kontrrównania, nawet gdyby jacyś zbiegli Falangaści byli nadal w stanie prowadzić walkę z ukrycia. Przed tym Cameron był zabezpieczony.

Nie był zabezpieczony przed samym sobą. Siedział zupełnie nieruchomo plecami do drzwi, a przez głowę przepływały mu wspomnienia rozmowy sprzed kilku dni. Nie chciał jej pamiętać, ale zdanie po zdaniu atakowało natarczywie jego uszy.

DuBrose: - Przyniosłem trochę materiału indoktrynacyjnego przeznaczonego dla Falangistów. Trzeba, żebyś to zatwierdził, szefie.

Cameron: - Zajmę się tym. Jak się czujesz, Ben? Nie poszedłbyś na urlop?

DuBrose: - Na Boga, nie. Ta praca zbyt mnie fascynuje. Nawet Ridgeley... chociaż on już z tego nie wyjdzie. I dobrze mu tak.

Cameron: - Dobrze? No cóż, to było konieczne. Ale niesprawiedliwe, Ben.

DuBrose: - Niesprawiedliwe? Według mnie był to piękny przykład stawania się zadość sprawiedliwości. On rozpętał tę awanturę poprzez przeniesienie się w czasie, a wykończyło go postrzeżenie ponadczasowe.

Cameron: - Uważasz, że Ridgeley to zapoczątkował? To nie on. Jego system psychiczny został odpowiednio nastawiony na długo przed urodzeniem, jeszcze przed poczęciem. Postąpił w jedyny możliwy sposób, w jaki mógł postąpić. Nie można obciążać człowieka odpowiedzialnością za coś, co wydarzyło się przed jego przyjściem na świat. Prawdziwymi winowajcami byli ci, którzy uczynili indoktrynację Ridgeleya w tym kierunku niezbędną - i możliwą. Czy wiesz kim byli ci winowajcy, Ben?

DuBrose patrzył na niego zakłopotany. - Kim?

Cameron postukał palcem w papiery na biurku. - Co to za materiał? Plany indoktrynacji. Musimy je stosować. Musimy szkolić naszych własnych ludzi w wyspecjalizowanych kierunkach wojskowych, bo Falangiści mogą wywołać kolejną wojnę. Konieczna jest czujność. To podstawowy czynnik przetrwania. Ale w końcu... Ben, uwieńczeniem tego będzie Ridgeley. Cywilizacja Ridgeley a. Nasiona tej kultury znajdują się właśnie tutaj, w tych papierach, w nas i w tym, co przesiąknęło do nas z naszej własnej przeszłości. My jesteśmy tymi winowajcami, Ben.

- To kazuistyka, - mruknął DuBrose. - Tak, możliwe. W każdym razie trzeba to robić.

- Niech pan o tym nie myśli - poradził DuBrose. - Tej akurat odpowiedzialności nie może pan zmienić. Nie jest pan odpowiedzialny za to, co wydarzyło się w pańskiej przeszłości bardziej niż Ridgeley za to, co wydarzyło się w jego. Niech pan o tym zapomni.

- Tak, ale widzisz, ja wiem. Ludzie, którzy rozwijali dla nas dziedzinę, w której teraz pracujemy, i którzy nas uczyli, nie wiedzieli. Nie widzieli tego, co ja widziałem - ostatecznego rezultatu. Ale skoro się wie i nie ma się innego wyjścia, jak tylko brnąć dalej w sprawę, której zakończenie już się widziało - kiedy widzi się skutki wojny, ludzi tracących zmysły, ludzi umierających i Ridgeleya ukaranego, jak został ukarany, za coś, do czego samemu się przyczyniło - ta odpowiedzialność jest trudna do udźwignięcia, Ben.

Walnął pięścią w biurko i pozwolił sobie na krótki przebłysk niedorzecznego zadowolenia z faktu, iż teraz, kiedy kontrrównanie zostało wyprowadzone, wie na pewno, że blat musi pozostać litą drewnianą płytą. Że nie okaże się powierzchnią, która zafaluje pod jego ciosem, ani nie rozdziawi obślinionych ust, aby połknąć jego pięść.

- Urlop bardziej potrzebny jest panu niż mnie - powiedział DuBrose. - Dopilnuję, aby wziął pan sobie parę dni wolnego.

Cameron podszedł do otworu okiennego, odsunął szybę i zapatrzył się w czerwony mrok dudniących na zewnątrz Przestrzeni. Nie było dla niego ucieczki. Każdy inny kraj był potencjalnym nieprzyjacielem. Od Kalifornii po Wschodnie Wybrzeże kraj ten musiał nadal pozostawać perfekcyjną machiną wojenną, gotową w jednej sekundzie wkroczyć do akcji. Ludzie są w takiej maszynie ważnymi trybikami. Muszą więc być odlani z właściwego stopu, ukształtowani z precyzją na właściwy wymiar, polerowani i obrabiani, dopóki nie staną się...

Dopóki nie staną się ludźmi podobnymi Ridgeleyowi.

A Cameron nie ważył się hamować tego procesu. Nie ważył się nawet próbować, ze strachu, że mu się powiedzie. Co miałby powiedzieć? - Rozbróćcie się. Szukajcie pokoju. Przekujcie swe miecze na pługi.

A przypuścimy, że by go posłuchali? Wróg mógłby uderzyć znowu - i zwyciężyć trafiając na nieprzygotowany naród.

Miał przed sobą dudniące Przestrzenie, ale widział tylko przesłaniający wszystko wyścig myśli wirujących w otchłani jego umysłu.

- Zapomnij o tym - powiedział na głos. *Ale musi istnieć jakieś wyjście.*

- Zapomnij o tym.

Nie ma nierozwiązywalnych problemów. Musi istnieć jakieś wyjście.

- Od tygodni próbuję je znaleźć. Nie ma wyjścia. Za-pomnij o tym.

Musi istnieć jakieś wyjście. Jesteś odpowiedzialny. Ty stworzyłeś Ridgeleya.

- Nie ja sam.

Ale dysponowałeś wiedzą, której brak było innym. Ty jesteś odpowiedzialny.

- Nie ważne.

Powiedzieć im? Nie powiedzieć? Musi istnieć jakieś wyjście.

- Tak już jest od tygodni. Wojna się skończyła... *Ta wojna. Jesteś odpowiedzialny.*

- Zapomnę o tym. Idę do domu. Wezmę sobie urlop. Zabiorę Nelę. Wyjedziemy do lasu i odpoczniemy. *Musi istnieć jakaś odpowiedź.*

- A więc w przyszłości będą wojny. Ja... nie jestem idealistą. Co ja mogę poradzić? Cywilizacja Ridgeleya... nie jest sympatyczna. Może ulec zagładzie albo skończyć jako rasa półrobotów. A może osiągnie w końcu pokój.

Ale na tobie spoczywa odpowiedzialność. Nie możesz się od niej uchylać. Ty stworzyłeś Ridgeleya. Co możesz zrobić?

- Ja... musi istnieć jakieś wyjście. *Musi istnieć jakieś wyjście.*

- Musi istnieć jakieś wyjście. *Musi istnieć jakieś wyjście!* MUSI ISTNIEĆ JAKIEŚ WYJŚCIE!
MUSI ISTNIEĆ JAKIEŚ WYJŚCIE MUSI ISTNIEĆ JAKIEŚ WYJŚCIE MUSI ISTNIEĆ JAKIEŚ...

DuBrose wsiadł do pneumowagonu, wyregulował pasy i czekał na zamroczenie. Gdy minęło, poprawił się w fotelu przygotowując się na piętnaście minut bezczynności w pojeździe mknącym w kierunku Dolnego Chicago. Ale jego umysł pracował.

Ostatnie miesiące zmieniły Bena DuBrose'a. Wyglądał te-

raz na więcej niż swoje trzydzieści lat, być może dlatego, że jego niebieskie oczy nabrały nowego wyrazu kompetencji, a usta stanowczości. Śmierć Setha Pella wykreowała go na potencjalnego następcę na stanowisku Dyrektora Departamentu Psychometrii, a następcą tronu jest zwykle świadom swej odpowiedzialności. Do tej pory DuBrose mógł zawsze liczyć, że w razie czego Cameron i Pell posłużą jako bufory. Był Numerem Trzecim - niezupełnie trzecią nogą, ale na pewno zapasową oponą. Teraz jednak Pell nie żył, a Cameron, jak się okazało, nie był niezawodny. Pewnego dnia ta wielka robota spadnie na DuBrose'a, a on będzie przygotowany do jej podjęcia. O wiele lepiej przygotowany niż jeszcze miesiąc temu.

Zmienił się. Poszerzyły się jego horyzonty. Przyczyniły się do tego znacznie rozmowy z Elim Woodem, podobnie jak samo pojęcie o zmiennej logice. Był starszy, bardziej doświadczony, a nawet mądrzejszy. Rozumiał na przykład, dlaczego nie odwołano stanu wyjątkowego obowiązującego na czas wojny. Falangiści zostali pokonani, ale lokalizacja Dolnego Chicago i innych miast wojennych nadal była ściśle strzeżoną tajemnicą wojskową.

Czułość trzeba było, oczywiście, zachowywać. Jednak Du-Brpse nie sądził, by wybuchła kolejna wojna. Myślał o gwiazdach. Myślał też o mutancie Van Nessie i o Ridgeleyu.

W czasach Daniela Ridgeleya nie organizowano żadnych wypraw międzyplanetarnych. Istniał tylko globalny konflikt sięgający nie wiadomo ile lat w przeszłość stanowiącą jedno pasmo zwycięstw, porażek i klinczów, wojen na wyczerpanie przeciwnika, radosnych tryumfów i przygnębiających

kłęsk, i tak aż do wojny Ameryki z Falangistami, a nawet dalej. To była jedna droga, która doprowadziła do Ridgeleya i jego przerażającej, nie rokującej widoków na przyszłość kultury.

Jedna z wielu dróg. Nic dziwnego, myślał DuBrose, że Ridgeley, cofnąwszy się w czasie, wybrał złą stronę. Czyżby sądził, że Falangiści będą ostatecznie zwycięzcami? A może... nie wiedział?

Załóżmy, że nie wiedział. Albo jeśli wiedział, to spodziewał się, że jego techniczne prezenty zdołają przechylić szalę na korzyść wybranej przezeń strony.

Ale istniała jeszcze jedna możliwość. Podróż Ridgeleya poprzez czas i podejmowane przez niego później działania wpłynęły na sam bieg czasu. Przełączyły matrycę przyszłości na nowy tor. Zmienne przeszłości...

DuBrose znowu przypomniał sobie mutanta i to, co Van Ness opowiadał o tym strasznym świecie, który teraz nigdy nie zaistnieje. Bo był to świat oparty na wojnie, na stuleciach i wiekach nieprzerwanej bitwy, podczas których szala zwycięstwa przechylała się to w tę, to w tamtą stronę. Wojny stymulują postęp techniczny, ale tylko w pewnych wyspecjalizowanych kierunkach. Paliwo rakietowe, zwierciadła słoneczne na przebiegających w próżni orbitach okołoziemskich, antygravitacja - wszystko to jest doskonałe i wykorzystywane, tylko że przeciwko Nieprzyjacielowi, a nie z myślą o podboju gwiazd.

Zacząło się to wszystko, myślał DuBrose rozpierając się wygodnie w miękko wyściełanym fotelu, zaczęło się to w rajach. A i potem Kain zabił Abła. W każdym rajach toczą się wojny. Ale na mroźnym biegunie, w piaskach Sahary, w niegościnnych krainach, gdzie ludzie wiodą zaciekły bój o przetrwanie z wrogimi żywiołami, tam istnieje braterstwo i jedność przeciwko Nieprzyjacielowi starszemu niż rodzaj ludzki - wszechświatowi, którego człowiek jest mieszkańcem.

A teraz? Na Ziemi zapanował na krótką chwilę pokój. Broń, paliwo, techniczne cuda, które świat nieustannie doskonalił w imię zniszczenia, spoczywały beczynnie - a takie rzeczy nie mogą pozostawać niewykorzystywane. Przecież na niebie wiszą gwiazdy, strzegą zazdrośnie swych tajemnic planety - które nie są już nieosiągalne z racji swego oddalenia. Podczas wojny nie podejmowano żadnych prób wysłania wyprawy międzyplanetarnej. Totalny wysiłek całego

kraju nie pozwalał na podejmowanie niepotrzebnych eksperymentów tego rodzaju.

Ale teraz narzędzia leżały gotowe. Narody pracujące dotąd na najwyższych obrotach nie mogą teraz oddać się beczynności, nie mogą rdzewieć w letargu, który byłby dla nich psychicznie nie do zniesienia. Nieprzyjaciel zawsze się znajdzie.

Nie będą to Falangiści. Nieprzyjaciel stał u bram nieba z tym niemym wyzwaniem, które rzucał człowiekowi, od kiedy ten oderwał oczy od ziemi. Powstaną nowe statki, marzył DuBrose czując we krwi śpiewające, radosne podniecenie - nowe statki podobne temu pneumowagonowi, ale nie przekopujące się przez glebę jak krety. To będą statki, które pomkną ku planetom.

Tam był Wróg. Wrogi Kosmos, który zawsze zmuszał człowieka do jednoczenia się we wspólnotę. Tam leżała przyszłość, która zetrze beznadziejną, tragiczną kulturę Ridgeleya - bo przyszłość przełączy się teraz na inny tor, na tor prowadzący nie do śmiertelnego konfliktu globalnego, lecz do ekspansji na cały układ słoneczny - na galaktykę!

Może minąć tysiąc lat. Dziesięć tysięcy. Ale Ridgeley nigdy się nie narodzi. Jałowa gleba z której wyrosła jego kultura, została użyźniona, wzbogacona odżywką, która przyniesie więcej chwały, niż kiedykolwiek wyobrażał sobie Ridgeley.

Człowiek był w posiadaniu tego mostu od lat. Ale dopiero teraz będzie mógł go wykorzystać. Teraz może sięgnąć gwiazd.

Tam czaił się Wróg. Nieprzyjazne, dalekie, nęcące, tajemnicze gwiazdy. One też zostaną podbite. Ale nie będzie to zwycięstwo bezpłodne.

DuBrose marzył: *zmienia się stary porządek, dając miejsce nowemu.*

Pneumowagon zatrzymał się. DuBrose wysiadł i znalazł się w Dolnym Chicago. - Muszę powiedzieć szefowi - pomyślał zmierzając ku Drodze, a za chwilę: - A zresztą pewnie już sam to sobie uzmysłowił.

Ale szef sobie tego nie uzmysłowił. Nie mógł teraz. Bo Robert Cameron walczył zbyt długo, a jego walka opłacana była z zapasów samego układu nerwowego. Kiedy opada straszliwe napięcie, skutek jest czasami niebezpieczny.

Szef był teraz podatny.

Podatny na fantomy.

- MUSI ISTNIEĆ JAKIEŚ WYJŚCIE MUSI ISTNIEĆ JAKIEŚ WYJŚCIE MUSI ISTNIEĆ... Dostyc.

Nie miał dostyc. Nawet w tym monotonnym rozkojarzeniu był jakiś rodzaj ucieczki od jego niemożliwej do udźwignięcia odpowiedzialności, która sama w sobie stanowiła coś na kształt ponurego wyroku. Winny musi ponieść karę. Właśnie on musi ją ponieść. On, Cameron, zbrodniarz wojenny, przy którym Ridgeley jest tak samo niewinny jak czołg czy samolot. To on musi brnąć dalej. Wyjście istnieje czy nie, on musi to kontynuować. Ma do spełnienia obowiązek wobec żyjących, nie wobec nie narodzonej jeszcze przyszłości.

Czyżby? Czyżby? Nie dopraszał się o obarczenie go tą odpowiedzialnością. Ale nieznajomość prawa nie rozgrzesza człowieka. Sprawiedliwość... Sprawiedliwość... Jeśli twoje oko gorszy cię...

Jeśli twoje oko gorszy cię...

Tak, istniało jedno wyjście. Niezbyt dobre, ale zawsze wyjście. Wystarczy się tylko odwrócić i zaakceptować je.

Zdecydował się odwrócić.

Jego ręka wyciągnęła się automatycznie, by zamknąć okno. Nie umknęło przed jego dotykiem. Metal pozostał twardy i zimny, jak na metal przystało. Kontrównanie wciąż niańczyło go w nieskruszonej skorupie chroniącej przed wszystkimi nieprzyjaciółmi. Wiedział o tym. Nie mogą go tu dosięgnąć żadne zmienne prawdy, nawet jeśli przetrwali jacyś wrogowie, żeby weń nimi ciskać.

Był tu zamknięty z jednym tylko wrogiem, przed którym nie było ucieczki.

Wiedział, co znajduje się za jego plecami. Poczł to już jakiś czas temu, kiedy niczego nie podejrzewając sięgnął do drzwi. Gdy dotknął gałki, w jego dłoni coś dziwnie, łagodnie zatrzepotało. Nie spojrzł wtedy w dół. Cofnął gwałtownie rękę i wrócił za biurko. Teraz spojrz. Teraz będzie patrzył i dowie się, i zaakceptuje to rozwiązanie, które oznaczać będzie jego osobiste wyzwolenie, zrzucenie brzemienia, o które nie prosił i którego nie mógł dłużej dźwigać. Teraz był gotów spojrzeć na drzwi.

Gałka u drzwi otworzyła niebieskie oko i spojrzała na niego.

KONIEC